

ERAZM MAJEWSKI

PRACA

I

KAPITAŁ

4069

WYDANIE PIĄTE „KAPITAŁU”
SKRÓCONE PRZEZ AUTORA.



H-69006

WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA.
LWÓW — H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SKA.
ŁÓDŹ — LUDWIK FISZER. POZNAŃ — M. NIEMIERKIEWICZ.

DROGIEJ MOJEJ I DZIELNEJ

TOWARZYSZCE ŻYCIA

PRACĘ TĘ POŚWIĘCAM

AUTOR.

~~PAŃSTWA AKADEMIA NAUK
KATEDRA DIALEKTALIZMU
DIALEKTALIZMU HISTORYCZNEGO
Warszawa. 1962~~

Spis rzeczy

	<i>Str.</i>
Wstęp	1
I. Przyroda, bogactwo i kapitał. Co to jest bogactwo? . . .	4
II. Co to jest praca i czem się ona różni od zwierzęcej? . .	10
III. O niejasności pojęcia pracy ludzkiej	14
IV. Oddzielenie działalności ducha od tego procesu, który nazywamy pracą ludzką	18
V. Co to jest wartość? Wartość przedmiotowa i podmiotowa	20
VI. Materyalna władza dusz ludzkich jako czwarty czynnik przybywający do przyrody, pracy ludzkiej i kapitału . .	28
VII. Bogactwo materyalne jako dzieło dusz ludzkich,	32
VIII. O nierówności ludzi	34
IX. Głód społeczny	39
X. O własności osobistej i wolności człowieka	42
XI. O skutkach majątkowego zrównania ludzi	47
XII. Czy korzyść jednych musi koniecznie opierać się na stracie drugich	51
XIII. Wymiana i wartość wymienna	57
XIV. Cena nie ma nic wspólnego ani z wartością, ani z ilością pracy ludzkiej włożonej w dzieło	61
XV. Towar przedmiotem sprzedaży, lecz nie kupna. Ważne konsekwencye tego stwierdzenia	67
XVI. Tajemnica dźwigni i wartości rzeczywistej	75

XVII.	Dwie kategorie kapitału	799
XVIII.	Pieniądz symbolem towaru, wartości bogactwa i kapitału.	877
XIX.	Najniższa cena pracy ludzkiej wyrazem wszelkich cen i wartości. Czem jest pieniądz?	899
XX.	Teorya zysku handlowego. Związek wartości z własnością	922
XXI.	O cenie i wartości ludzi	983
XXII.	Potrzeba rachowania się z wartością ludzi	1001
XXIII.	Gdzie prawdziwe źródło naszych bogactw	1051
XXIV.	O rzeczywistych sprawcach zwrastania drożyzny	1083
XXV.	O niedostatku, ubóstwie i nędzy.	1121
XXVI.	Co mniemać o szkodliwości drożyzny środków spożywczych	1161
XXVII.	Wiek kapitalizmu	119
XXVIII.	Czemu towary tanieją zbyt powoli?	123
XXIX.	Nauka o potrzebach narodu	130
XXX.	Pro aris et focis certamen	138
XXXI.	Widoki na przyszłość.	142

Od wydawcy

Szybkość, z jaką rozeszło się 3-cie wydanie „Kapitału“ dowiodła, że szerokie koła zainteresowały się w wysokim stopniu tem dziełem, co zresztą jest zrozumiałem ze względu na przeżywany przez nasze społeczeństwo okres, okres fermentów umysłowych, okres przewartościowywania pojęć społecznych, wreszcie okres walki socjalizmu o realizowanie swoich dotychczas przeważnie teoretycznych haseł.

Z tego względu, chcąc iść na rękę ogólnemu zainteresowaniu, niezależnie od przystąpienia do 4-go pełnego wydania „Kapitału“ uprosiliśmy autora, by zechciał opracować wydanie skrócone, któreby mogło być dostępne zarówno dla tych czytelników, którym czas niepozwała zapoznać się z aktualnem tem dziełem w całej rozciągłości, jak i dla szerokich mas, potrzebujących duchowej strawy w nieco treściwszej formie.

Streszczenie takie szczęśliwie przez autora zostało dokonane, podajemy je więc w tej książce przeświadczeni, że czyniąc to w chwili obecnej, tak bardzo narażonej na zamęt pojęć socjalnych, przyczynimy się do rozjaśnienia niektórych bardziej splątanych pojęć ekonomicznych.

Warszawa w Grudniu 1919 r.

Część I.

WSTĘP.

Jesteśmy świadkami, a równocześnie ofiarami katastrofy społecznej, której możliwości w tych rozmiarach jeszcze przed kilku laty niktby nie przypuścił. Teoretyk uważałby ją nawet za nieprawdopodobną. Bezprzykładnie ciężka i uporczywa wojna wtrąciła większą część Europy w zamęt, który niesie narodom i osobnikom jeszcze cięższe ciosy i straty od tych, które zrządziły działania wojenne.

Wszystko, co uważaliśmy za trwałe, zachwiało się i skotłowało i niesie nas, wbrew naszej woli ku niedającym się przewidzieć dalszym fazom i następstwom bezprzykładnego wstrząśnienia ekonomicznego. Już nie kraj jeden, nie jakaś jedna warstwa społeczna, ale mrowie ludzkie, całej środkowej i wschodniej Europy znalazło się w położeniu pasażerów pociągu kolejowego w ruchu, którego maszynista spadł z lokomotywy.

Rozumiemy już, że grozi ona nam wszystkim lada chwila rozbiciem, jeżeli nie zdołamy jakimś wysiłkiem przytomności i energii zatrzymać w porę bezrozumnych czynników, które nas ponoszą.

I teraz dopiero ujawnił się w całej jaskrawości fakt, że nie mieliśmy jeszcze prawdziwie naukowej ekonomii, a nawet socjologii, bo zjawisko, o którym mowa, zaskoczyło nas jako coś niespodziewanego.

W obliczu wszelkiej katastrofy w dziedzinie zjawisk przyrody niema wahań w świecie uczonych, niema sporów co do jej natury, a więc i co do środków zaradczych, bo mamy niezachwiane linie wytyczne, oparte na niezłomności praw natury, których rozpoznanie co najmniej pozwala szukać bez omyłki środków zapobiegawczych. Tak dzieje się w przypadkach klęsk, powodzi, posuchy, epidemji.

Tutaj, w obliczu katastrofy społecznej nie umiemy się nawet zorientować: co się stało? Nie wiemy, co czynić, od czego zaczynać? Ci, na których wiedzy powinniśmy polegać i od nich spodziewać się wszczęcia akcji ratunkowej, wygłaszają sprzeczne definicje, zalecają sprzeczne środki zaradcze, a czas upływa, struktura społeczna załamuje się i niesie coraz dotkliwsze spustoszenia. Katastrofa w oczach przybiera coraz potworniejsze rozmiary, tembardziej utrudniając ratunek, zarówno jak przewidywania: czem się skończy.

Do czasu wielkiej wojny świat uczyli się, że rozumie już do gruntu mechanizm wszystkich zjawisk gospodarczych, skutkiem czego nie może być na tem polu dla świata niespodzianek. Trzeba było dopiero katastrofy, która nas porwała w swój wir, abyśmy się po niewczasie przekonali, do jakiego stopnia nauka o gospodarstwie była niewykończona i do jakiego stopnia byli nieprzewidującymi ci, którzy powinni byli kierować się jej zasadami i wskazaniem. Okazali oni nawet zupełną ignorancję na punkcie najbardziej podstawowych pojęć gospodarczych. Popełniano błędy elementarne, przez szereg lat i nie znalazł się żaden teoretyk, któryby z należytą siłą przestrzegł, że te błędy muszą doprowadzić, prędzej czy później do katastrofy, właśnie takiej, która świat zaskoczyła.

*

*

*

Ekonomia społeczna i polityczna była terenem, na którym kwitły swobodnie obok siebie szkoły, oparte na sprzecznych założeniach. Wiodły one akademickie spory i szerzyły wyłączone nawzajem teorie. Prawda o jednym przedmiocie może być tylko jedna, ale w ekonomii panowało i jeszcze panuje

równocześnie kilka prawd, kilka systemów naukowych, opartych na różnych podwalinach. Każda szkoła twierdzi co innego, każda radaby układać stosunki według swoich wskazań i każda też wpływała wedle sił na układ tych stosunków.

Pomimo, że długi już szereg dzielnych myślicieli roztrząsał zjawiska gospodarcze, istnieje mnóstwo sprzecznych zapatrywań nietylko w kwestyach zawilszych, ale nawet w podstawowych. Nauka która powinna być jednakowo przez wszystkich rozumiana, rozszczepiła się na szkoły wzajem się zwalczające. Z dużą też stusnością można powiedzieć, że do dziś niewiadomo, gdzie szukać podstaw dla rozróżnienia „prawa“, od „bezprawia“, gdzie szukać podstaw dla pojęć „wartości“, „wolności“, „równości“, „własności“, „zysków“, „wyzysku“.

Zdawało się, że Adam Smith położył już trwałe podwaliny pod gmach nauki ekonomii. Głęboki ten myśliciel zrozumiał i wyjaśnił tak wiele, jak nikt przed nim, okrzyknięto go też „ojcem“ ekonomii społecznej i politycznej. Pojęcia jego i wskazania dominowały przez całe stulecie, i cóż się stało? Zjawił się drugi myśliciel i przeciwstawił się całkowicie Smithowi. Porwał on za sobą mnóstwo umysłów, choć więcej jeszcze serc, czułych na niedolę bliźnich. Był nim Karol Marx. Prawdę mówiąc nie stworzył on nic nowego, czegoby poprzednicy jego nie wiedzieli lub niedostrzegli. Doniosła jego rola w ekonomii, a właściwie w oświetlaniu praktycznych stosunków gospodarczych, jest wynikiem jednej tylko poprawki, mianowicie: jemu tylko właściwego pojmowania „pracy“ ludzkiej. Ale to wystarczyło, aby szeroki ogół przyjął tę poprawkę za wielkie odkrycie naukowe. Teorya jego nie zadowoliła umysłów głębokich, bo i nie mogła zadowolnić jako oparta na pomylce logicznej. Rozwinęła się też szeroko szkoła, zwana psychologiczną, usiłująca objaśnić zjawiska gospodarcze na zasadach całkiem odmiennych zarówno od klasycznej nauki Smitha, jak grubo materialistycznej Marxa, ale daleka jest od mety, bo nie umie udowodnić błędności tamtych, ponieważ uwikłała się w pewnem złudzeniu. Bardzo być może, że w swoim czasie niepodobna było dostrzedz niedostateczności podstaw, na których się wspierało, ale dla nas nie ulega wątpliwości, że po-

stęp na pokrewnych polach wiedzy umożliwił już od pewnego czasu korektę pojęć pierwszorzędnej doniosłości, któraby ukazała w czym leży główna omyłka dotychczasowych systemów ekonomicznych.

Tak stały rzeczy, gdy analiza istoty społeczeństwa, przeprowadzona przez nas w „Nauce o cywilizacji” odsoniła nam ekonomiczną doniosłość pewnego czynnika, niedokładnie uwzględnionego w ekonomii, a to rzuciło światło na źródło niejasności zarówno Smitha jak jeszcze bardziej i jego następców.

Zadaniem też naszym na tem miejscu będzie wyjaśnienie ważności owego czynnika w całej twórczości ludzkiej.

I.

Przyroda, bogactwo i kapitał. Co to jest bogactwo?

Aby postępować systematycznie musimy porozumieć się z Czytelnikiem co do znaczenia trzech, czy czterech wyrazów podstawowych w ekonomii, którymi będziemy operować. Są to: przyroda, bogactwo i kapitał.

Wszystko, na czego istnienie lub pojawienie się człowiek nie wywarł świadomie żadnego wpływu, jest w ekonomii przyrodą. Należy tu wszystko, co człowiek bierze od samej przyrody darmo i co jest niczym. Bywa to także nazywane *dobrem naturalnym*. Drzewo np. w lesie niczym, ryba w rzece niczym, wiatr, który obraca wiatrak młynarzowi, są to dobra naturalne.

Cóż będzie bogactwem? Bogactwem nazywa się w ekonomii wszystko, co człowiek lub zbiorowemi siłami ludzki wytwarzają czyli przetwarzają z przyrody dla zaspokojenia swych ludzkich potrzeb lub pożądań. Poza to zaliczane tu bywa i to, co wytwarza sama przyroda, jeżeli stanowi czynnik dodatni lub przedmiot użyteczny i stało się czyjąkolwiek własnością. Gdy więc ryba w rzece niczym była czystą przyrodą, także ryba w stawie jest już ludzkim bogactwem, drzewo w czymś lesie jest już jego bogactwem. Będzie niem również wszelki wytwór ludzki, który sam zrobiłem, lub od kogoś nabyłem. Więc bę-

dzie niem zarówno jabłoni w sadzie, jak koni w stajni, zboże w śpichrzu, sprzęty w mieszkaniu.

Jeżeli przyroda to ogromna różnorodność, to i bogactwo odznacza się również niezmierną różnorodnością form i przeznaczeń. Zaspakają ono niezliczone, a przeróżne potrzeby ludzkie, poczynając od najbardziej poziomych, aż do najszczytniejszych.

Przejdźmy do kapitału? Kapitałem najpowszechniej nazywają takie dobro ludzkie (dzieło ludzkie, bogactwo), które jest potrzebne lub użyte w celu wytwarzania nowych dóbr ludzkich. Trzeba więc pod tym wyrazem rozumieć tylko twórczą część bogactwa, pozostała bowiem część reprezentuje zwykłe dobro ludzkie. Zatem bogactwem zwyczajnym będzie chleb i sprzęty w mieszkaniu, kapitałem sieć rybaka, siekiera drwala, warsztat rzemieślnika, suma pieniędzy, oddana komuś za jakąś opłatą.

Zachodzi teraz pytanie: cóż przetwarza czystą przyrodę dobro naturalne, w bogactwo, albo także jeszcze i w kapitał?

Wprawdzie, do wytwarzania nowych dóbr ludzkich potrzebny jest kapitał, ale łatwo się zorientować, że nie jest to czynnik dostateczny. Sama siekiera nie narąbie drew, sama sieć nie nałapie ryb, sam warsztat nie będzie wydawał wyrobów, do których wytwarzania został przeznaczony. Bogactwo bywa nazywane dziełem ludzkiej działalności. Takie określenie nietylko nie wystarcza, ale budzi pewne wątpliwości. Gdyby miało wystarczać, wówczas nie mielibyśmy prawa mówić o bogactwie, jako o rzeczy, charakteryzującej wyłącznie działalność człowieka. Musielibyśmy się zgodzić, że i zwierzęta mają swoje bogactwo. Ryby, pochwycone przez wydrę, orzechy zgromadzone przez wiewiórkę na zimę, byłyby bogactwem wydry i wiewiórki. Różnicą między ich bogactwem, a ludzkim byłaby tylko różnica stopnia, czyli różnicą urozmaicenia i skomplikowania, nie zaś istoty. Przez takie określenie zatrarlibyśmy najważniejszą różnicę między zwierzęciem, a człowiekiem, na którą wszyscy, nawet materyaliści, kładą nacisk i pomimo to nicbyśmy nie zyskali dla wyjaśnienia źródła bogactwa. Wprawdzie są jeszcze między ekonomistami ludzie, którzy nie rozumieją jaskrawej różnicy między działalnością,

a powiedzmy nawet twórczością ludzi, a zwierząt, ale to nas nie upoważnia do naśladowania podobnej krótkowzroczności. Wszak tacy powiadają, że „działalność gospodarcza umożliwia istnienie zarówno jednostki jak gatunku“. Nigdy! Właśnie aby bogactwo ludzkie odróżnić najjaskrawiej od rzekomego zwierzęcego, które w istocie swojej jest tylko przyrodą i niczem więcej, wystarczy zwrócić uwagę na tę okoliczność, i to rozstrzygającą wszelkie wątpliwości, że to, co nazywamy bogactwem ludzkim nie jest wcale konieczne człowiekowi, ani do utrzymania życia, ani do podtrzymania rodu. Ono mogłoby nie istnieć całkiem bez szkody dla istnienia rodu ludzkiego, jako jednego z gatunków jestestw żywych. Przecież ród ludzki istniał bardzo długo w przedczłowieczym stanie na ziemi, obywał się bez „ludzkiej” twórczości, żył, jak żyją zwierzęta w puszczech swoich i nie zginął. Wytwarzał sobie legowisko, jak to czynią niedźwiedzie oraz ptaki, polował, jak polują zwierzęta drapieżne, żywił się owocami ziół, krzewów i drzew dzikich i trwał przez liczne tysiącolecia. Wytwarzanie tedy bogactwa wcale nie jest kwestią życia, bo możnaby żyć i dziś w lesie samymi płodami natury, jak żyją zwierzęta.

Skoro tak, to trzeba się z tem zgodzić, że „wytwarzanie bogactwa” jest już zjawiskiem nadzwierzęcem i musi też zaspakajać jakieś potrzeby nie zwierzęce, czyli nadzwierzęce. Choćbyśmy na wszystko inne w świecie ludzkim zamknęli oczy, a mieli otwarte do dostrzegania tych nieprzeliczonych dzieł, które na każdym kroku uderzają nas w świecie ludzkim, ale też tylko w świecie ludzkim, już wystarczyłoby to do wygłoszenia twierdzenia, że samo powołanie do istnienia tych nieprzeliczonych przedmiotów najrozmaitszego przeznaczenia bez których obywają się zwierzęta, świadczy o jakiejś zasadniczej różnicy między „działalnością“ ludzi, a zwierząt, i co za tem idzie o wewnętrzną różnicę, która musi istnieć między wszelkiem zwierzęciem, a człowiekiem.

Żywoć zwierząt, nawet gromadnych, jest daleko prostszy. Nie znają one ani cząstki tych potrzeb, które odczuwają ludzie nie mniej dotkliwie od głodu fizyologicznego. Żywoć

zwierząt, to przedewszystkiem dążenie do sytości. Jest to nieustanne odczuwanie jakiegoś braku i dążenie do usunięcia tego uczucia przykrego kosztem pewnych wysiłków.

Jeżeli sprowadzimy żywot ludzi czyli jestestw, żyjących w społecznej formie bytu do ostatecznych ogólników, to okaże się nam tem samem, mianowicie szeregiem wysiłków, zmierzających do zastąpienia uczucia cierpienia przez uczucie zadowolenia. Ale różni się jaskrawo właśnie podwójnością potrzeb.

Zwierzęca dążność do sytości nie milknie, bo nie może milknąć w żadnym, choćby najbardziej uduchowionym człowieku. Ale ona nie zaspakaja człowieka. Ponad tą poziomą potrzebą rozpościera się rozległa sfera już czysto człowieczych potrzeb. Zdawałoby się, że tę drugą kategorię łatwiej zaspokoić, jeżeli posiadziemy pewną sumę rzeczy, których pożądaliliśmy czyniąc wysiłki w celu ich zdobycia, ale nieprawda. Obie kategorie jednako są nienasycone, gdyż głód fizyologiczny lubo daje się względnie łatwo zaspokoić w społeczeństwie, odnawia się w ciągu całego żywota, druga znowu kategoria potrzeb, chociaż mogłaby znaleźć kres, nie znajduje zaspokojenia, albowiem stale wzrasta. Człowiek żyje w ustawicznej pogoni za zadowoleniem swych pragnień ludzkich i bez względu na stopień powodzenia rzadko znajduje uspokojenie, albowiem wciąż sięga po nowe zadowolenie, dostrzega bowiem coraz nowe przedmioty, godne pożądania. To, co zrazu budziło tylko prostą ciekawość, staje się po pierwszym zadowoleniu miłem i pożądanem, a po otrzymaniu, czy osiągnięciu staje się już nową potrzebą, której niezaspokojenie przyprawia o cierpienie. Oczywiście, że owo cierpienie usiłujemy usuwać, ale dalsze zaspakajanie nie daje nam już tej sumy zadowolenia, co początkowo, bo przyzwyczajenie stępiło żywe uczucie przyjemności. Jeżeli więc nie odczuwamy z tej strony braku, wnet zjawia się inne, nowe pożądanie, będące zarodkiem przyszłych radości, ale i cierpień. Gdy bowiem ów drugi apetyt dozna raz i drugi zaspokojenia, już przeobrazi się w nową potrzebę.

Każdy też krząta się tak, jakby był wiecznie głodny, i jest

on istotnie głodny tym głodem społecznym, który nigdy nie daje się nasycić. Sięgamy po coraz nowe zadowolenia, bo istotnie cierpimy brak idealny, tylko nie wszyscy rozumiemy, że człowiek, jako człowiek, jako dusza, zawsze musi cierpieć, pragnąc czegoś, aby doznawać uczuć miłych, zupełnie, jak ciało, które musi doznawać głodu, aby doznawało przyjemności jego zaspokajania. Różnica w tem tylko, że człowiek sam sobie wynajduje coraz nowe przedmioty, na kanwie których osnuwają się kontrasty czuć przyjemności i przykrości, pragnień i zadowoleń, gdy zwierzę dochodzi automatycznie do odczuwania głodu i nie doznaje pragnień innych.

Wspomnieliśmy, że „bogactwo” to ogromna różnorodność form i przeznaczeń. Z tego wynika, że działalność twórcza, która te przedmioty powołuje do istnienia musi odznaczać się wielkiem urozmaiceniem uzdolnień twórczych. I tak jest w samej rzeczy, jest nawet więcej. Bogactwo składa się po największej części z rzeczy, które nie każdy umie wykonać.

Ta niejednakowość twórczości charakteryzuje wyłącznie świat ludzki, zwierzęta bowiem w jednym gatunku wszystkie są jednakowo uzdolnione do zaspokajania swych potrzeb zwierzęcych.

Nasze potrzeby są bardzo urozmaicone, ale uzdolnienia mocno ograniczone i z tego to właśnie i jedynie powodu bogactwo krąży od ludzi do ludzi.

Każdy daje drugiemu to, co umie wykonać, a bierze w zamian od niego takie rzeczy pożądane, których sam nie potrafiłby wytworzyć, ale właśnie tamten umie.

W większej dopiero gromadzie ludzkiej możemy znaleźć takiego, czyja działalność może zaspokoić bardziej wyszukaną potrzebę. Można powiedzieć, że jesteśmy bardzo uniwersalni w używaniu, ale mocno ograniczeni w wytwarzaniu. Zaspokajamy też swe potrzeby tylko przez to, że się wzajem uzupełniamy.

I właśnie tylko ta okoliczność jest przyczyną powstania ekonomii, która nas poucza, jakimi zasadami należy się kiero-

wać przy zamienianiu się dobrami, aby się wzajemnie nie krzywdzić.

Gdy się dobrze rozważy cośmy wyżej powiedzieli, będziemy zmuszeni postawić sobie pytanie: co za władzą szczególną obdarzeni są ludzie i tylko ludzie, skoro przerabiają przyrodę w nieogarnioną różnorodność rzeczy potrzebnych, użytecznych lub miłych tylko ludziom, a w dodatku rzeczy, które nie każdy choć jest człowiekiem, zdolny jest wytworzyć. Cóż o tem mówią ekonomiści?

Choć większość ich utrzymuje, że to wszystko jest dziełem ludzkiej pracy, odpowiedź taka nie może nas zadowolnić. Taka definicya jest zbyt ogólnikowa, a powiedziawszy prawdę nic nie mówi, wyobraźni naszej nie podsuwa nic coby mogło dać materyał do wytworzenia jasnego pojęcia o tem zjawisku, które nazywamy pracą.

II.

Co to jest praca i czem ona różni się od zwierzęcej?

Co to jest praca w ogólności o tem poucza nas fizyka. Pokonanie jakąś siłą jakiegoś oporu nazywa się w fizyce pracą. Praca będzie tem większą, im większy pokonała opór. Może ona być mierzona iloczynem siły i drogi¹⁾.

Zachodzi pytanie: czy taką pracę użyteczną mamy rozumieć pod ekonomicznym terminem pracy ludzkiej?

Nie! Gdyby praca ludzka była tem samem, czem „praca“ niedźwiedzia, kozy lub myszy, byłoby w najwyższym

¹⁾ Energię mechaniczną określa się za pomocą pracy, która jest iloczynem z siły (mechanicznej) przez drogę, przebytą w stosunku do kierunku tej siły.

stopniu dziwnem, czemu zwierzęta wolne, nie wytwarzają dla siebie urozmaiconego bogactwa. Praca ludzka musi zatem różnić się czemś zasadniczem od pracy zwierząt.

Czemże się ona różni? Marx powiada, że praca ludzka, jest to zużywanie siły roboczej ludzkiej. Gdy pod siłą roboczą pojmuje się zwykle energię użyteczną, wydawaną (przez ciało żywe albo maszynę) na pokonywanie oporów zewnętrznych, to trzeba przyznać, że określenie Marxa jest zbyt ogólnikowe i wcale nie jasne. Zdaje się ono mówić, że praca ludzka jest użytecznym wydawaniem, czyli spożytkowaniem siły fizycznej osobnika i możnaby też oczekiwać, że nasz ekonomista ma na myśli tylko siłę fizyczną (tkwiącą w człowieku, jako w motorze), ale rzeczywistość jest inaczej. Pod „siłą roboczą” ludzką, rozumie Marx „świadomą i celową działalność ludzką w celu wytwarzania”.

Jest to niewiele mówiący ogólnik i należy sobie z tego zdać sprawę w całej pełni.

Przedewszystkiem wypada podnieść okoliczność, że świadomość i celowość są to warunki niezbędne przy wykonywaniu czynności nawet czysto mechanicznych przez istotę żywą.

To samo dotyczy celowości. Gdy tedy Marx nie określił bliżej granic świadomości i celowości, niezbędnych, ale i dostatecznych w pracy ludzkiej, to w jego pojęciu „pracy ludzkiej” mieści się wszelkie minimum świadomości i celowości.

Dopiero, gdy tę okoliczność uwzględnimy, spostrzeżemy, jak niewiele¹⁾ odróżniają pracę ludzką od pracy zwierząt oba warunki „pracy ludzkiej”, wymienione przez Marxa.

Można się zgodzić i na taką definicyę, ale pod tak pojętą pracą, albo siłą roboczą wolno rozumieć tylko to, co się w definicyi mieści i nic nad to.

¹⁾ Nie powiadamy: „wcale nie odróżniają”, lecz tylko niewiele.

Jednak Marx operuje w rozumowaniach swoich nie tylko tak ciasnym pojęciem siły roboczej ludzkiej.

Za pracę uważa nie tylko wydawanie fizycznej energii „użytecznej”, lecz pracę użyteczną jakąkolwiek, choćby nawet wcale nie dawała się wyrazić w kilogramometrach.

Wypada więc stwierdzić, że operuje on pojęciem bardzo źle ograniczonym i tak niewyraźnie zdeterminowaną „siłą roboczą” (czy „pracę”), uważa za jedyne (oprócz przyrody), źródło bogactwa. Jeszcze raz mamy pełne prawo postawić dwa skromne pytania. Czemu żadne zwierzę nie zdobyło się na wytworzenie czegoś analogicznego do bogactwa ludzkiego, choć wszystkie posiadają świadomość i celowość, wystarczające im w pełni do egzystencji, a następnie drugie: czemu ludzka praca przewyższa od pewnego czasu przedhistorycznego wszelkie prace zwierzęce?

Powiedzą nam, iż w pracy ludzkiej tkwi więcej świadomości i celowości, niż w „pracach” zwierzęcych. Jakkolwiek tego rodzaju dodatek rujnuje już ścisłość poprzedniego określenia pracy, bo tam wcale nie powiedziano, ile świadomości i celowości czyni z pracy ludzkiej coś specyficznie ludzkiego, to i ten dodatek nie pomaga jeszcze do dokładnego rozróżnienia obu „sił roboczych”, zwierzęcej i ludzkiej, gdyż ani wskazuje skąd się bierze owo „więcej”, ani co ono wnosi do pracy, ani co ten dodatek wart, jako źródło bogactwa? Podkreślić przytem należy, że w pojęciu pracy ludzkiej u większości ekonomistów zawarta jest tylko jakaś przeciętna siła robocza ludzka, której nie usiłowano szczegółowiej analizować.

Tego nie kryją ekonomiści szkoły Marxa. Oni nie tylko nie usiłują stopniować różnych prac ludzkich, ale je nawet rozmysłnie generalizują.

Trzeba tedy stwierdzić, że nie szukano i nie uwzględniano w pracy ludzkiej nic, czegoby brakło w pracy zwierząt, która nie daje bogactwa. Jeżeli nawet zechcemy przyjąć że Marx ma na myśli pierwiastek psychiczny, to i jego uwzględnienie nie rozstrzyga jeszcze o niczem, albowiem pierwiastek psychiczny, lubo skromny, tkwi również w pracy zwierząt,

ilość zaś jego oraz jakość w ludzkiej sprowadzono, do jednej przeciętnej. Zostawiono więc całkowicie bez odpowiedzi kwestyę, czem oraz do jakiego stopnia siła robocza (praca) ludzka różni się od pracy zwierząt, jak również nie zatroszczono się o zbadanie, czy można wprowadzać pojęcie przeciętności do różnych prac ludzkich.

Wobec wstrzemięźliwości co do pierwszego pytania musimy wyrazić domysł, że jednak w pracy ludzkiej kryje się taki czynnik, którego całkiem brak w zwierzęcej, i jego to właśnie obecność decyduje o różnicy skutków pracy ludzkiej. Istnieje jakiś czynnik, którego owi ekonomiści nie uwzględnili w obrachunkach, choć objęli w definicyi, a to nie może być uważane za ścisłą metodę.

Rewizya tedy panującego w ekonomii pojęcia „pracy ludzkiej” daje nam w rezultacie wielkie niewiadome.

Ponieważ jednak jest to pojęcie tak ważne, jak żadne inne, nie mamy prawa zniechęcać się pierwszym niepowodzeniem. Musimy starać się odszukać w pracy ludzkiej czynnik, różniący ją od pracy zwierząt, a wymieniony u ekonomistów bardzo niedokładnie i ogólnikowo.

Powiedzą nam, iż w pracy ludzkiej tkwi więcej elementu psychicznego niż w zwierzęcej—i to stanowi o różnicy skutków, musimy jednak zaznaczyć, że rozważamy tutaj początki bogactwa, a zatem taką epokę, w której człowiek nie miał w sobie elementu psychicznego więcej, niż inne bliskie mu organizacya zwierzęta. Wprawdzie nikt z ekonomistów nie zaprzecza temu, że umysły ludzkie różnią się między sobą jakościowo oraz ilościowo, ale w ekonomii Marxa, różnic indywidualnych nie bierze się w rachubę. „Wszystkie siły robocze ludzkie powinny być uważane za jedną prostą siłę“.

III.

O niejasności pojęcia pracy ludzkiej.

Gdy wyłoniła się kwestya miary porównawczej dla różnych wytworów ludzkiej działalności, Smith zawyrokował, że skoro źródłem produktu jest praca ludzka, przeto tylko ilość pracy może być miarą w aktach zamieniania się dziełami ludzkiemi.

Wprawdzie nie rozstrzyga on w jaki sposób ma być mierzona praca jednego człowieka, aby za nią sprawiedliwie mógł otrzymać równą ilość pracy innego. Głęboki ten myśliciel spostrzegł, że jest to zadanie niezmiernie trudne, więc, rzekł się zadania ponad siły. Uznał, że najwłaściwiej będzie zostawić każdemu swobodę w ocenianiu swej pracy, albowiem niekępowane współzawodnictwo najlepiej ureguluje wymianę produktów oraz ich cenę. Wszelka przesadna ocena spotka się z oporem i musi uleść słusznej obniżce.

Inaczej odnieśli się do tej sprawy późniejsi ekonomiści pozytywni, Ricardo, a zwłaszcza Marx. Nie chcąc pozostawiać wytwórcom swobody w ocenianiu własnych wytworów według ich widzimisię, obrali za miernik długość czasu pracowania”.

Według Marxa, każda rzecz, wytworzona przez człowieka, ma tylko jedną stałą i istotną wartość, wartość ludzkiego czasu poświęconego pracy. Pracowanie, będące źródłem produktu, pochłania siły i czas, więc czas, poświęcony trudowi pracy, jest źródłem produktu. A skoro tak, przeto należy wszelką pracę osobników oceniać długością jej trwania.

Wprawdzie zaraz nastęrczała się wielka przeszkoda do mierzenia miarą czasu wyników nawet najmniej złożonej pracy. Nawet jeżeli uznamy godzinę pracy za jednostkę, mogącą służyć za miarę wartości produktu, to czyż czas trwania pracy może decydować o ilości trudu, rzeczywiście zużytkowanego? Wszak pracowity lub zręczny wytwórca wykona w cią-

gn godziny to, na co nieudolny, niewprawny, powolny albo leniwy zużyje trzy godziny, albo nawet więcej.

Czyż w wyrobie osobnika nieudolnego, powolnego lub leniwego będzie rzeczywiście tkwić trzy razy więcej trudu, przeobrażonego w realne bogactwo, niżeli w wyrobie pilnego lub sprawnego? Czyż wytwór pracownika leniwego będzie miał istotnie trzy lub cztery razy większą wartość od wytworu pracowitego? Więc czyż sam czas pracy może być zarówno źródłem jak miernikiem wartości produktu? Nigdy! Zauważył to sam Marx i musiał dla ratowania zasady obstać „cenną” miarę zastrzeżeniami praktycznymi. Z takiej potrzeby zrodziło się pojęcie „przeciętnej pracy społecznej”. Oto jak rzecz Marx formułuje: „Społecznie potrzebną pracą jest czas pracy, wymaganej do wytworzenia pewnego użytecznego przedmiotu przy istniejących społecznie normalnych warunkach produkcji i społecznie przeciętnym stopniu uzdolnienia oraz natężenia pracy”.

Na zastosowaniu podobnego miernika oparła się cała budowa społecznego systemu Marxa i nie tylko jego zwolenników, ale większości ekonomistów społecznych. Uznano, że zastosowanie metody mierzenia użytecznej działalności ludzkiej czasem jej trwania zapewni najsprawiedliwszy podział dóbr między ludźmi. Skoro nie możemy pracy ludzkiej mierzyć kilogramometrami, przeto trzeba pracę mierzyć tylko czasem jej trwania, wartość zaś wytworów, czasem, niezbędnym do ich wytworzenia. Przy takiej zasadzie nie może być już więcej mowy o krzywdzie jednych, nieprawym zaś zysku innych.

Teorye Smitha i Marxa są tak konsekwentnie zbudowane na tem zasadniczem rozumowaniu, że musiały olśnić nadzwyczajną prostotą nawet umysły głębokie. A jednak, czemu się to dzieje, że żadna z tych teorii nie zapanowała? Czemu zresztą z tej samej podstawowej koncepcji pracy Karol Marx wyprowadził wskazania, wprost przeciwne wskazaniom Smitha.

Główna przyczyna tego spoczywa właśnie w niejasności, która tkwi u podstawy, w samym pojęciu pracy ludzkiej. „Praca produkcyjna”, albo „industry” jest pojęciem wprost

ciemnem. To ogólnik, który nic nie mówi. To wcale nie czynnik, któryby cośkolwiek zrozumiale objaśniał. Miejmy odwagę raz to przyznać.

Operowanie pracą ludzką, niby jakąś niezłożoną siłą roboczą, już przez to samo okazuje się procedere n zgoła nie naukowym, że nie tłumaczy najbardziej bijących w oczy faktów ekonomicznych. Nie wyjaśnia np. czemu bogactwa przybywa statecznie w niektórych tylko społeczeństwach, gdy w innych trzyma się ono zaledwie w mierze albo nawet uszczupla się?

Na takie pytanie dotychczasowe systemy ekonomiczne nie dają nam odpowiedzi prawdziwie naukowej i jasnej.

Upatrywano np. głównie, jeżeli nie jedyne źródło wzrastania bogactw w powszechnym wzroście pracowitości. Niektórzy znowu chcieli widzieć źródło nierówności bogactwa w mniejszej lub większej umiętności oszczędzania. Zwłaszcza Smith podniósł do wielkiego znaczenia oszczędność i słusznie, albowiem nicby z tego nie wynikło, choćby naród był nawet najpracowitszym, ale łatwo marnował wytworzony nadmiar. Ale czyż oszczędność, dodana do pracowitości, wystarcza do wytłumaczenia takiego nagromadzenia się bogactwa, jakie widzimy w niektórych społeczeństwach? Nie! Oszczędne używanie owoców pracy mogłaby istotnie powiększać zapas społeczny, ale tylko powoli i zawsze w jednym tempie, bo gdy źródło (praca) było zawsze jednak ograniczone siłami organizmu, to przyrost zapasów musiałby zależeć tylko od wzrostu oszczędności w używaniu. Zapas nie mógłby się wzmacniać, bo w tym celu musielibyśmy wszyscy w zamożniejszych społeczeństwach stawać się coraz większymi skąpcami. Czyż jednak naprawdę nie dzieje się odwrotnie? Nie ulega przecież wątpliwości, że w społeczeństwach, rosnących w zamożność, wszyscy coraz więcej zużywamy; potrzeby nasze rosną, lecz nie maleją. Skądże więc przybywanie coraz obfitsze, gdy ubywanie jest również coraz silniejsze?

A zatem oszczędność jest tylko jedną z przyczyn jego wzrastania, ale nie może być jedyną. Bogactwo wcale nie jest jedynie zobiektywizowaną, czy też „zakrzepłą w dziełach ludz-

kich pracą ludzką”, jak się wyrażają klasycy i mechanicy. Ono musi być stanowczo czemś więcej i czemś o wiele więcej.

W stwierdzeniach, że bogactwo, to prosty rezultat pracy, pojmowanej po Marxowsku, tkwi dowód, że zwolennicy prostej teorii pracy byli nie tylko złymi przyrodnikami i filozofami, ale nawet słabymi obserwatorami.

Naprzód w społeczeństwach biednych nie pracuje się tak mało, a w najwzrostszych tak dużo, jakby tego wymagał stosunek bogactwa do ilości sił ludzkich w krańcowo biednych i krańcowo bogatych społeczeństwach. Jeżeli możnaby utrzymywać, że ludy, trwające na łonie bujnej przyrody, pracują niewiele, to nie da się tego samego powiedzieć o ludach, żyjących na obszarach skąpo uposażonych w płody natury, których to obszarów jest najwięcej. A przecież i na ostatnich utrzymują się społeczeństwa zarówno bogate, jak i biedne.

Powtóre należy brać w rachubę, że nawet i samo zużywanie bogactwa pochłania znaczną część ludzkich „sił roboczych” oraz czasu. Zużywanie jest także swego rodzaju pracą. Jest ono także szeregiem wysiłków, absorbujących siły organizmów naszych. Gdy zużywam owoce pracy swojej — wówczas nie tworzę i odwrotnie. To przecież jasne.

Gdy człowiek bardziej jest skłonny do odpoczywania i próżniactwa, niż do pracy, to w społeczeństwach bogatszych o wiele więcej znaleźlibyśmy osobników, marnotrawiących czas, siły fizyczne i bogactwo, niżeli to znieść może najpobłażliwszy rachunek.

Gdyby więc założenia ekonomistów były słuszne, to ani bogactwo ani używanie nie mogłyby się nigdzie dalej powiększać,—wprost dla braku na to sił i czasu, zaabsorbowanych już całkowicie na tworzenie, używanie i zużywanie bogactwa oraz traconych w próżnowaniu, tymczasem nigdzie podobnego stadium bądź nasyceń, bądź zapracowania nie zauważono. Przeciwnie u narodów, gdzie zużycie bywa największe, widzimy nie tylko największy dobrobyt, ale jeszcze najwyższy wzrost bogactwa.

Gdy to zważymy, to musimy przyjść do przekonania, że wytwarzanie bogactwa, nie może odbywać się wyłącznie kosztem wydawania energii fizycznej ciał ludzkich.

Bogactwo ludzkie—to ogromna różnorodność materiałów, kształtów i przeznaczeń. Nie może ona płynąć z samej pracy. Różnorodność form bogactwa, zaspokajając potrzeby stanowczo nadzwierzęce, musi płynąć także z czynności nadzwierzęcych (por. III), musi być wynikiem jakiejś właściwości nadzwierzęcej. Uwzględniając tę oczywistość ekonomiści znajdują rozwiązanie bardzo proste. Oto dzieła ludzkie płyną z sił, tkwiących także w psychice specjalnie ludzkiej. Takim orzeczeniem zaspakajają oni odrazu swe zakłopotanie i są przekonani, że już wszystko objaśnili. Jednak tak nie jest.

Cóż bowiem zniewala obce siły do współpracy z człowiekiem i na jego korzyść? Skądże bierze się różnorodność sił i czynności ludzkich? Skądże odmienność i różnorodność uzdolnień? Ale następuje się ważniejsze pytanie: mianowicie: Cóż zniewala siły obce martwe lub żywe siły przyrody do pomagania człowiekowi — i to każdemu inaczej? O tem, aby czynnikiem były ludzkie siły fizyczne, niema co myśleć, albowiem pokonywanie oporu fizycznego ludzką fizyczną siłą roboczą odebrałoby wszelki zysk, mogący wynikać dla ludzi z pracy samej przyrody. Niechże woźnica ciągnie opornego osła, który nie chce ciągnąć taczki, a zobaczymy, że tyle się napracuje, ileby się spracował, — ciągnąc sam taczkę. Cóż więc zniewala przyrodę do „pracy” na rzecz „człowieka”?

IV.

Oddzielenie działalności ducha od tego procesu który nazywamy pracą ludzką. Oddzielenie od pracy ludzkiej działalności ducha.

Ustawicznie słyszy się o „siłach” psychicznych, bez przerwy brzmią nam w uszach „siły duchowe”, „siły umysłowe”

i t. d., tymczasem czas to już sobie raz wyperswadować, albowiem procesu psychicznego nie można uważać za siłę. Utarty sposób wyrażania się, lubo bardzo zakorzeniony, nie uprawnia nas jeszcze do wręcz nienaukowego sposobu przedstawiania sobie zjawisk. Czas pozbyć się złudzenia, jakoby wewnątrzny proces psychiczny był jakąś rzeczywistą siłą.

Samem myśleniem nie poruszamy nawet słomki. Cóż więc warte myślenie jako praca? Wyobraźmy sobie, że wszyscy ludzie poza czynnościami, niezbędnymi dla zaspokojenia głodu, tylko myślą, a zrozumiemy, że po najdłuższym szeregu pokoleń, nie powstanie z myślenia uajmniejsze bogactwo ludzkie. To samo dotyczy uczuć i woli.

Czas wielki pójść nawet dalej i zaznaczyć, że to, co ekonomiści nazywają pracą psychiczną, jest biegunowo przeciwnie gospodarczemu pojęciu pracy, albowiem efekty fizyczne ludzkiego pracowania, muszą być stale mniejsze, od efektów pracy czysto fizycznej ludzkiej, której nie towarzyszy skomplikowane myślenie. Myślenie jest procesem, który absorbuje czas i siły organizmu, ale nie może być pracą w gospodarczym znaczeniu wyrazu, gdyż samo przez się nie zwiększa sił fizycznych ciała, nie pokonywa oporów fizycznych, nie dodaje nic do samej „pracy”.

Powtarzamy to, aby się uwydatniła jaknajdosadniej niesłuszność przypisywania wszystkich bogactw pracy ludzkiej fizycznej, a tembardziej zmieszanej z t. zw. niesłusznie pracą psychiczną.

Musimy więc dotychczasowe pojęcie pracy ludzkiej, oczyścić przez odcięcie od niej pierwiastku psychicznego wyższego, — i trzeba ograniczyć wyłącznie do zużywania surowej siły roboczej fizycznej ludzkiej.

Pierwiastku psychicznego nie wolno łączyć z pracą fizyczną w jedno integralne pojęcie pracy ludzkiej produkcyjnej.

Skutki fizyczne mieszanego pracowania muszą być mniejsze od skutków ludzkiej pracy czysto-fizycznej, choćby od noszenia ciężarów. Im bardziej przeważa w czyjśm pracowaniu element psychiczny, tem wydatek

zewnątrzny osobistych sił lizycznych jego musi być mniejszy, tem mniej dobra ludzkiego zostanie wyprodukowane bezpośrednio własnymi siłami osobnika.

W takim razie cóż zostało w „pracy ludzkiej” po odjęciu od niej jedyne go pierwiastku, który ją różni od pracy zwierząt? Nic więcej nie zostało, bo i nie powinno zostać. „Praca” spadła nam nareszcie do tego znaczenia, jakie mieć stale powinna i właśnie dopiero teraz sprawa zacznie się wyjaśniać. Zacznie się wyjaśniać dopiero po odcięciu od siebie braci syamskich, związanych nieprawowicie w ekonomii w jedną niby nierozdzielną całość.

Droga do rozwikłania zagadki twórczości ludzkiej, nie wiedzie przez klasyczne pojęcie pracy ludzkiej. Właśnie w tem złączeniu czynników, których łączyć w jedno nie wolno, tkwi źródło wszystkich sprzeczności i nieporozumień ekonomicznych oraz socyologicznych, tkwi także źródło niepokonanych do dziś dnia trudności w ocenianiu wartości dzieł ludzkich.

W świecie ludzkim musi koniecznie istnieć coś takiego, co własnymi siłami przyrody przeobraża przyrodę w bogactwo.

Ależ to byłaby potęga bezprzykładna, zawołasz czytelniku.

Że to potęga, pomimo, że nie jest siłą fizyczną, temu nie będziemy przeczyć, ale co do bezprzykładności jej — o tem pozwalamy sobie wątpić, kwestyę tę rozwinęliśmy na innem miejscu. Tutaj wypada zaznaczyć, że bez względu na to, czem jest ta potęga, siedlisko jej w łonie osobników ludzkich.

V.

Co to jest wartość? Wartość przedmiotowa i podmiotowa.

Cóż jest punktem ciężkości całej kwestyi stosunków materialnych w życiu praktycznym, jak i w nauce ekonomii?

Ponieważ bogactwo ludzkie musi krążyć od wytwórców do spożywców gdyż wszyscy jesteśmy jednocześnie i wytwórcami (pewnych przedmiotów) i spożywcami (innych przedmiotów), przeto zachodzi ustawicznie praktyczna potrzeba porównywania różnych dzieł i prac ludzkich, abyśmy się zamieniali sprawiedliwie. Aby np. posiadać przedmiot pożądany, którego nie umiem sam zrobić, muszę go dostać od wytwórcy lub posiadacza przez oddanie mu wzamian czegoś, czego on pożąda, lub co mu może być pożyteczne albo miłe. Tymczasem wzajemna użyteczność ludzi komplikuje się i wzrasta. Ludzie z postępem wytwórczości wytwarzają coraz więcej dzieł, na których powstanie składa się nie praca jednego człowieka, ale kolejno całego już szeregu ludzi albo pracujących kolejno nad dostarczeniem na rynek takich dzieł, albo pracujących łącznie. Na każdym więc kroku zachodzi potrzeba rachowania się z tem, co kto daje wzamian za to, co otrzymuje, albo też co kto wnosi do dzieła zbiorowego.

W poszukiwaniu tedy jakiejś miary, nadającej się do oceny, oceniania niepodobnych do siebie wytworów, wyłoniła się kwestya wartości. Prosty rozsądek wskazuje, że powinniśmy sobie oddawać równe wartości, aby nikt nie został pokrzywdzony. Otóż nie jest to zadanie tak łatwe, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. Ekonomiści oddawna biedza się nad wynalezieniem miernika, ale dotychczas napróżno.

Od chwili, gdy uznano niemal za pewnik, że praca ludzka jest źródłem bogactwa, czyli dzieł ludzkich, od chwili, gdy wyrozumowano, że o wartości przedmiotowej dzieła ludzkiego decyduje ilość zużytej na wytworzenie jego pracy ludzkiej, od tej chwili nie odczuwano już nawet potrzeby poddania pojęcia pracy ścisłej analizie. A jednak właśnie w tych dwóch pojęciach: pracy ludzkiej oraz „wartości”, tkwiącej w przedmiocie spoczywa źródło najcięższych nieporozumień, a dodajmy, i najcięższych błędów, pokutujących we wszystkich systemach ekonomicznych.

Dawno już temu jeden z ekonomistów, Schramm, powiedział, że „jeżeli teoria wartości Marxa jest prawdziwa, to dalszym jego wnioskiem nic zarzucić nie można, jeżeli jednak

jest błędna, to cały system Marxa upada“. Słowa jego można zastosować nie tylko do teorii Marxa, ale do wszystkich ekonomicznych, i tylko podziw bierze, czemu tak długo utrzymują się wątpliwości, pomimo dociekań tylu głów dzielnych?

Dziś jeszcze można również powtórzyć znamienne słowa Ricardo, że „znikąd nie wypłynęło tyle błędów w nauce ekonomii, co z powierzchownego i niedokładnego wykładania wyrazu wartość”¹⁾.

To jest powodem, że musimy zająć się z całą uwagą kwestią pracy i kwestią wartości, od których właściwego rozumienia tak wiele zależy. Możemy zaś to zadanie podjąć tem śmielej, że nasza teoria cywilizacji właśnie na te pojęcia rzuciła decydujące oświetlenie, ostatnie zaś przewroty ekonomiczne, których jesteśmy świadkami, stały się żywą ilustracją trafności naszych dedukcji teoretycznych. To, czego jeszcze przed sześciu laty musieliśmy pracowicie dowodzić i to z zastosowaniem całego aparatu logicznego oraz ostrożnego wnioskowania, dziś stało się przez samo życie, przez bieg wypadków jasnym, jak na dłoni, więc mocno ułatwia zarówno wykład, jak śledzenie za jego podstawnością.

Człowiek stojący zdala od kół profesorskich i od świata uczonych ekonomistów, słusznie może doznać zdziwienia, gdy się dowie, że kwestya „wartości” oddawna urosła do godności całej osobnej „nauki o wartości”, ździwiłby się zaś jeszcze bardziej, gdyby się dowiedział, że dotychczas żadna z wyłożonych teorii nie dostąpiła uznania powszechnego. Natworzono już tyle rodzajów wartości, że nawet historykowi ekonomii trudno się w tem wszystkim orientować. W końcu doszło do tego, że krytyczni badacze, jak np. Gottl, uznali „wartość” wprost za wyraz, bez treści, bezpotrzebnie wprowadzony do ekonomii.

Poruszać w tak fatalnych warunkach kwestyę wartości nie należy do zadań wdzięcznych, gdy jednak niepodobna jej pominąć, bo nie jest wyrazem bez treści, lecz przeciwnie,

¹⁾ Ricardo. Principes de l'économie politique, t. I str. 8.

pojęciem, niezbędnem w ekonomii, obierzemy drogę najkrótszą i zajmiemy się tylko dwoma biegunowo przeciwnymi sobie pojęciami wartości, będącymi osią wszystkich pojęć szczegółowych. Rozpatrzmy dwie wartości: przedmiotową i tak zwaną podmiotową, która to ostatnia w rzeczy samej wcale nie powinna być mianowana wartością.

Najwięcej zamętu wniosła do sprawy wartości przede wszystkim dwuznaczność tego słowa w pospolitem użyciu.

Jeżeli coś jest mi potrzebne, użyteczne, pożądane lub miłe, powiadam zwykle, że to ma dla mnie wartość, albowiem „pozbawionemi wartości” są dla nas rzeczy niepotrzebne. Użyteczność tedy i pożądalność schodzą się z praktycznym pojęciem wartości tak prosto i łatwo, że pierwsi ekonomiści (jak Condillac) tłumaczyli wartość przedmiotów ich użytecznością. Jednak dość zadać sobie pytanie, czy taka „wartość” tkwi w przedmiotach, aby zrozumieć, że ona nie jest wcale tem; czego od wieków szukają myśliciele. Oni szukają takiej wartości, która tkwi w samych przedmiotach.

Otóż, jeżeli jeden i ten sam przedmiot może mieć w tym samym czasie różny stopień użyteczności dla różnych ludzi oraz dla mnie samego w różnym czasie i okolicznościach, jeżeli może mieć dla jednego „wartość”, a dla innego wcale nie mieć jej wcale, czyli równocześnie może mieć wartość i nie mieć jej, — to łatwo przyjść do przekonania, że taka podmiotowa wartość jest tylko sądem (sądami) o użyteczności przedmiotów rozpatrywanych. Będzie ona właściwie pożądalnością, która tkwi w nas samych, w naszych pojęciach, nie zaś w przedmiotach. Każdemu może przedstawiać się cokolwiek inaczej, bez względu na istotną wartość tych przedmiotów. Wartość tedy prawdziwą chcemy i musimy pojmować jako własną i stałą wartość rzeczy, bez względu na rodzaj i stopień pożądania, który wywołuje u różnych ludzi i w różnych chwilach. Chodzi zatem o jakiś stały przedmiot, tkwiący w stanie utajonym w każdym dziele, bez różnicy, nadający mu niezaprzeczną wartość realną i nadający się na miernik czyli na miarę w aktach zamiany niepodobnych między sobą przedmiotów. Twórcy szkoły klasycznej w ekonomii, Smith,

Ricardo, Say uznali, że tylko taką wartością powinna zajmować się ekonomia.

Już geniusz Arystotelesa doszedł do tego samego wniosku. Szukał też on gorliwie takiej wspólnej treści we wszystkich dziełach ludzkich, ale nie mógł znaleźć. Analiza jego rozbiła się o wielką ścisłość myślenia; wykreślił też nawet zadanie z liczby rozwiązalnych.

Również i Adam Smith, głowa odznaczająca się wielkim rozumem i przenikliwością, skapitulował przed trudnościami zadania. Uznał więc za najwłaściwsze zostawienie każdemu swobody w ocenianiu dzieła własnej pracy, albowiem, zdaniem jego, spółzawodnictwo między wytwórcami najlepiej uregułuje wymianę produktów, mianowicie ich cenę. Wszelka przesadna cena spotka się z oporem odbiorców i będzie musiała ulegć słusznej redukcji.

Inaczej ujęli tę sprawę późniejsi ekonomiści „pozytywni”, nawet sam Ricardo, ale zwłaszcza Marx. W niecierpliwości swojej postanowili oni ominąć nieprzewyciężone trudności, których nie można było rozwiązać i zawyrokowali, że miarą wartości przy zamianach powinien być „czas pracy”.

Rozumowanie ich było proste. Wytwarzanie pochłania siły i czas. Skoro więc pracę, włożoną w przedmiot nie łatwo dostrzedz w gotowym wyrobie i zmierzyć, przeto najlepiej wartość przedmiotu mierzyć długością czasu trwania pracy osobnika. Każdy tedy wytwór ma według nich jedną i stałą wartość ludzkiego czasu roboczego.

Wprawdzie zaraz nastęrczała się wielka wątpliwość, czy czas trwania pracy może decydować o ilości siły rzeczywiście zużytkowanej? Wszak pracowity i zręczny wytwórca wykona w ciągu godziny to, na co nieudolny, niewprawny, powolny lub leniwy zużyje trzy godziny, albo więcej. Czyż w wyrobie tamtych tkwić będzie trzy razy więcej wartości, niż w wyrobie pilnego lub sprawnego?

Nigdy! Zauważył to sam Marx. Jakże tedy utrzymać powagę miernika, tak genialnie wynalezionej? Okazało się niezbędnym obstarwić cenny miernik zastrzeżeniami praktycznymi.

Z takiej to potrzeby zrodziło się pojęcie „przeciętnej pracy

społecznej". I chociaż praca różnych osobników miewa z wielu względów bardzo różną wartość, oparł on na zastosowanie podobnego ogólnego biernika całą budowę swego systemu ekonomicznego.

Gdy zaś lepszego środka do mierzenia wartości dzieł i prac nikt nie mógł wskazać; pogodzono się z myślą, że mierzenie użytecznej działalności ludzkiej czasem jej trwania zapewni najsprawiedliwszy podział dóbr między ludzi. Pomysł Marxa olśnił zrazu umysł, zapewne z powodu swej nadzwyczajnej prostoty, a równocześnie jako środek do ukrócenia ciężkich nadużyć, których się dopuszczali t. zw. kapitaliści nad ludem roboczym. Brał on w obronę uciśnionych, zyskał więc także serca dusz, czułych na nędzę bliźnich.

Czemże się to jednak dzieje, że świat naukowy nie poprzestaje na wynikach, osiągniętych przez Marxa, lecz jedni poprawiają Smitha, inni rewidują Marxa, jeszcze zaś inni szukają całkiem nowych podstaw do uregulowania stosunków gospodarczych? Dla czego nigdzie stosunki te nie zostały uporządkowane według wskazówek Marxa?

Oto dlatego, że najbardziej bijące fakty ekonomiczne przeczą jego teorii. Teorya ta nie wyjaśnia np. czemu bogactwa przybywa statecznie tylko w niektórych społeczeństwach, czyli narodach, gdy w innych znowu trzyma się ono zaledwie w mierze, albo nawet uszczupla się. Nie wyjaśnia dlaczego w czasach przedhistorycznych bogactwo przyrastało wszędzie bardzo słabo, gwałtownie zaś przyrasta u niektórych tylko narodów, tam, gdzie cywilizacya stoi najwyżej.

Skąd taka nierówność skutków pracy, której przypisuje się jednakową wartość?

Na takie pytanie teorya Marxa nie daje odpowiedzi prawdziwie naukowej i jasnej. Nie dają jej także inne dotychczasowe systemy ekonomiczne.

Upatrywano np. główne źródło wzrastania zamożności narodów w powszechnym wzroście nie tylko pracowitości, ale i umiejętności oszczędzania. Zwłaszcza Smith podniósł do wielkiego znaczenia oszczędność, i słusznie, albowiem nicby z tego nie wynikło, choćby naród był nawet najpracowitszym,

ale łatwo marnował wytworzony nadmiar. Ale czyż oszczędność, dodana do pracowitości, wystarcza do wytłumaczenia tego wielkiego nagromadzenia się dóbr ludzkich, jakie widzimy wyłącznie w niektórych społeczeństwach.

Nie, nie wystarcza! Nie ulega przecież wątpliwości, że wszyscy coraz więcej zużywamy; potrzeby nasze z pokolenia na pokolenie rosną, lecz nie maleją. Skądże więc przybywanie w krajach o wysokiej cywilizacji coraz obfitsze, gdy zużywanie jest tam również coraz większe?

W twierdzeniach, że bogactwo, to prosty rezultat pracy ludzkiej, pojmowanej po Marxowsku, tkwi dowód, że jego zwolennicy byli nie tylko złymi przyrodnikami i filozofami, ale nawet słabymi obserwatorami.

Przecież człowiek już z natury bardziej jest skłonny do próżniactwa, niż do pracy, do używania, niż do produkowania i oszczędzania. W tych warunkach w społeczeństwach bogatszych możnaby znaleźć o wiele więcej osobników, marnotrawiących czas, siły i bogactwo, niżeli to znieść może założenie większej pracowitości oraz oszczędności w tych społeczeństwach. Gdyby założenia ekonomistów były słuszne, to ani bogactwo, ani używanie nie mogłyby się nigdzie wśród ludzi dalej powiększać wprost dla braku na to sił i czasu, zaabsorbowanych już całkowicie na tworzenie, używanie i zużywanie bogactwa oraz traconych w próżnowaniu. Tymczasem nigdzie podobnego stadyum bądź nasycenia, bądź zapracowania nie zauważono. Przeciwnie tam, gdzie zużycie bywa największe, tam widzimy nie tylko największy dobrobyt, ale jeszcze najwyższy wzrost bogactwa.

Dlaczegoż to Anglikom i Francuzom bogactwa szybko przybywało od pewnego czasu i przybywa, pomimo, że zużywają najwięcej, gdy tymczasem oszczędniejszym i niemniej zabiegliwym Grekom bogactwo narodowe przyrasta o wiele słabiej? Czemże wytłumaczyć fakt, że przed półtora tysiącem lat stosunek zamożności tych narodów był odwrotny? Grecya opływała w bogactwa wówczas, gdy biedni mieszkańcy Anglii i Francji wiodli żywot bardzo surowy na łonie tej samej przyrody?

Albo weźmy Amerykę Północną. Czemuż dzielni Czerwonoskórzy, będąc przez tysiące lat panami swej ziemi, nie doszli do tych wyników — do których w ciągu paru stuleci doszli przybysze? Na swój sposób nie mniej oni pracowali od przybyszów, a choćby nawet dopuścić pewną różnicę w pracowitości, to czyż może ona tłumaczyć tak nieporównanie inny stan zamożności, jaki jest udziałem tych ludów na tej samej ziemi?

Gdy to wszystko zważymy, to nawet bez przeprowadzania szczegółowych obrachunków musimy przyjść do przekonania, że wytwarzanie bogactwa nie może być wynikiem wyłącznie energii ciał ludzkich. Gdybyśmy jednak chcieli przyjąć, że człowiekowi przychodzi z pomocą jeszcze siły przyrody, mianowicie praca maszyn i zwierząt, to i wówczas nic nam to nie wyjaśni, albowiem pokonywanie oporów fizycznych „ludzką siłą roboczą”, co wynika z materialistycznych podstaw teorii Marxa, odbierałoby wszelki zysk, mogący wynikać dla ludzi z „pracy” „przyrody”. Niechże woźnica ciągnie opornego osła, a zobaczymy, że tyleż się napracuje, ileby się spracował ciągnąc sam taczkę.

Trzeba się więc zgodzić, że w świecie ludzkim musi istnieć koniecznie coś takiego, co bez pracy ludzkiej zniewala siły przyrody do pracy na rzecz człowieka, co własnymi siłami przyrody przeobraża przyrodę w bogactwo, czyli co zmusza przyrodę do współpracy z człowiekiem.

Ależ to byłaby potęga bezprzykładna! zawołasz Czytelniku. Że to potęga — temu nie będziemy przeczyć, choć co do bezprzykładności jej pozwalamy sobie wątpić o tem. Siedlisko tej potęgi w osobnikach ludzkich, ale już poza granicami sił fizycznych ciała.

VI.

Materyalna władza dusz ludzkich jako czwarty czynnik przybywający do przyrody, pracy ludzkiej i kapitału.

Jest jeden taki element, którego brak w ciałach zwierzęcych. Jest nim ludzki pierwiastek duchowy, czyli rozum i przeróżne umiejętności. Nie jest on siłą. Jakież więc jego miejsce w ekonomii?

W rydwanie ekonomii materialistycznej pierwiastek duchowy jest istnem piątym kołem u wozu. Marx, jak to już wspominaliśmy, utopił wszelkie wpływy psychiczne całkowicie w pojęciu „przeciętnej pracy” ludzkiej i bliżej już tych wpływów nie rozbiera, ani jakością ich nie interesuje się. Przeważnie nie dostrzeżono nawet tego. Nad ekonomistami zaś, którzy chcieli uwzględnić władze psychiczne, ale nie wiedzieli, jak się wziąć do tego, nauka wczorajsza przeszła do porządku dziennego, albo ich lekceważy, jak się lekceważy nieumiejętne dowodzenia.

W tych warunkach dopóki nie zorientujemy się dokładnie co do roli psychiki, będzie najwłaściwiej oczyścić dotychczasowe pojęcie pracy ludzkiej przez odczepienie od niej ludzkiego pierwiastku psychicznego.

Cóż pozostanie w takim razie w „pracy ludzkiej” po odjęciu od niej jedynego czynnika, który ją odróżnia od pracy zwierząt? Nic więcej, prócz najprostszej świadomości i celowości, charakteryzujących również pracę zwierząt, bo i nie powinno nic więcej zostać.

My wydzielamy czyste pierwiastki z rudy o nieznanym składzie, z rudy, którą operuje Marx, wydzielamy zaś w tym celu, aby badanie naukowe, dać mogło wyniki ścisłe.

Chodzi nam o to, aby nie operować nadal nieanalizowaną mieszaniną. Być może, że sprawa zacznie się wyja-

śniać, gdy praca spadnie nam do tego znaczenia, jakie mieć stale powinna, skoro się ją bierze w charakterze czynnika jednakięj wartości w każdej pracy, jak to czyni Marx. Więc odtąd „pracą” będziemy nazywać produkcyjne, świadome i celowe wydawanie jakiegokolwiek energii fizycznej ciała ludzkiego i nic ponad to.

Ale w takim razie cóż poczniemy z duszą, która nie może powiększać rozporządzalnych sił ciała? Zkądże jakikolwiek jej wpływ realny na twórczość ekonomiczną?

Zaraz to rozpatrzmy. Choć władze psychiczne [nie są wcale „siłami”, materyaliści całkiem mylnie zrobili z procesu wytwarzania dóbr ludzkich bezduszny mechanizm. Władze te odgrywają w gospodarstwie materialnem rolę pierwszorzędną.

Przedewszystkiem należy stwierdzić, że czynnik ten ma władzę nad siłami ciał naszych i wszak inaczej nte nazywanoby go „władzami”. Związek naszych władz psychicznych z ciałem występuje przecież dostatecznie w każdym świadomym czynie żywego człowieka.

Dusza to porusza naszym ciałem. Ale jest więcej. Dusza może włądać nie tylko czynnościami własnego ciała, ale również siłami innych ludzi, pozostających w łączności przez mowę. Osobnik ludzki może wyręczać się siłami innego osobnika. Trzeba tylko, aby ów drugi pozostawał z pierwszym w komunikacji i w zgodności woli. Jedna dusza, jedna głowa może pobudzać inne do oddziaływania na ich ciała podobnie łatwo, jak sama oddziałuje na organy własnego ciała. Jeden rozkaz może poruszyć do zgodnego działania równie łatwo dwóch ludzi, jak dwustu lub więcej. Wówczas jedna myśl i jedna wola pobudza siły fizyczne choćby setek i tysięcy ludzi do wykonania np. w ciągu godziny tak wiekiej pracy, której ciało rozkazującego nie byłoby w stanie wydać przez całe życie. Władza duszy odpowiednio wpływowej może rozciągać się choćby na cały naród.

Jednak czas spostrzedz się, że nie byłoby w narodzie wcale znacniejszego bogactwa, gdyby działalność duszy kończyła się na prostem wyręczaniu się siłami innych ludzi. Ciała ludz-

kie wydawałyby bowiem zawsze jednakowo ograniczoną sumę energii fizycznej. Więc może zachodzić i rzeczywiście zachodzi jeszcze coś innego i o wiele ważniejszego?

Ludzkie władze psychiczne wciągają jeszcze do pracy na rzecz człowieka siły przyrody. Wszak rozporządzamy niezliczonymi narzędziami sztucznymi, które są przecież najrzeczywistszym uzupełnieniem ciał ludzkich. Są one niezmiernie ważnym źródłem najrozmaitszych sił i to takich, których same nasze ciała niezdolneby były nigdy wydawać.

W narzędziach sztucznych ludzie uzupełnili warte siły ciał własnych. Jedne narzędzia odgrywają rolę specjalnych członków ciała, jakgdyby przedłużenie oraz zróżnicowanie ręki lub nogi (młot, cęgi, dłuto, nóż, pędzel, łyżwy, samochody, okręty), inne grają rolę substelniejszych zmysłów (lupa, luneta, drobnowidz, ciepłomierz, mikrofon, odczynniki chemiczne i t. d.), jeszcze inne części ciała, o takich własnościach, których żadne jestestwo żywe nie mogłoby posiadać; (np. piece hutnicze, naczynia przechowujące kwasy i żrące substancje, materye wybuchowe i broń palna, płyty fotograficzne). Z tych powodów narzędzia odrzucalne, uzupełniając ciało — pozwalają indywidualności wykonywać przedmioty, których człowiek samymi rękami, nigdyby nie był w stanie wytworzyć.

Odrzucalność tych uzupełnień ciał ma szczególną wagę. Człowiek bowiem może zmieniać dowolnie specjalne uzdolnienia, zatrzymując je tylko póki to jest dla niego potrzebne. Pozatem pozostawia go ciągle jednakim i pozwala mu korzystać z urozmaiconych dóbr powszechnych.

Gdy orzeł ma wzrok bystry na odległość, człowiek z lunetą przewyższa go, ale tylko, gdy chce tego. Nie potrzebując już sondować wzrokiem przestrzeni odległej, odrzuca dalekowiedz i może patrzeć przez mikroskop, zdobywając znowu widnokreśli, niedostępne dla orła. Dzięki odrzucalności może być uniwersalnym w rozległych granicach, pozostając zawsze podobnym do innych ludzi, więc mogąc dzielić z nimi mnóstwo wspólnych myśli, uczuć i dążeń.

Teraz dość będzie zapytać: czegoż dziełem są te wszystkie

narzędzia, których sama przyroda nam nie daje, aby zrozumieć że one są dziełem nie ciał naszych, ale władz duchowych, które nimi kierują. Ponieważ zaś doszliśmy już poprzednio do pewności, że bogactwo, to dzieło pracy ludzkiej i kapitału (czyli narzędzi naszej twórczości), przeto teraz okazuje się, że skoro narzędziami owemi kierują nasze władze duchowe, przeto t'o wszystko, co stanowi bogactwo materialne, zawdzięczamy duszom. W ten sposób w machinie działa wcale nie „praca” ludzka siłami przyrody zewnętrznej (np. motoru i palącego się węgla pod kotłem parowym), ale wprost rozum ludzki pracą przyrody, przy minimalnym stosunkowo udziale fizycznej pracy ciała ludzkiego lub ciał ludzkich.

Cała tajemnica obfitego wytwarzania bogactwa na tem polega, że osobnik ludzki przy małym nakładzie pracy swego organizmu wyręcza się ekonomicznie pracą sił przyrody.

Wmawiano w nas, że to wszystko, co tworzy cywilizacya, to dzieło pracy ludzkiej. Teraz rozumiemy, że to jest wprost dzieło dusz. Cóż bowiem znaczy ten drobny nakład sił fizycznych własnych, który ludzie wydają przy pracy, gdy on stanowi tylko drobny środek, potrzebny do uruchomienia wielkich sił przyrody. Odgrywa on rolę tylko pierwszego pchnięcia.

Naprawdę całe nasze bogactwo to dzieło tylko naszej człowieczości.

Jeśli u zwierząt nie widzimy „bogactwa”, to nie tylko dla tego, że go nie umieją sporządzać, ale bardziej z tego powodu, że go nie potrzebują, a nie potrzebując, bo nie mają o niem pojęcia. Gdyby kiedy odczuły jego potrzebę, z pewnością zdobyłyby się zwolna, pracą licznych pokoleń na jego wytwarzanie, czyli stałyby się czemś wewnątrznie podobnem do ludzi. Wytworzyłyby w sobie dusze, sobie właściwe, ale twórcze i umiejące korzystać ze swej twórczości.

Całe nasze bogactwo, to dzieło tylko duchowości, której źródłem nasza społeczność czyli związanie się w społeczeństwo jednostek wzajemnie uzupełniających się w tym celu, aby mózdz, przez wzajemne wyręczanie się, korzy-

stać i z dóbr, których osobiście nie moglibyśmy sobie wytworzyć. Społeczeństwo, to wielka nieustająca przez wieki spółka, która powstała dla jaknajlepszego wyzyskiwania martwych sił przyrody na korzyść członków spółki. W spółce tej rozmyślnie specjalizujemy się w uzdolnieniach twórczych, aby ekonomiczniej wytwarzać sobie to, co ogólnie określiliśmy mianem „dzieł ludzkich”, albo bogactwa.

Gdzież więc tajemnica większej produktywności społeczeństw najbardziej rozwiniętych?

W potęgze wciąż wzrastającej sumy ich władz duchowych. Potęga ta wspiera się na narzędziach, któreimi osobniki ludzkie przeobrażają wedle swej woli przyrodę czystą w bogactwo materialne. Rozporządzając lepiej rozwiniętymi i liczniejszymi narzędziami, naród włada doskonalszym i potężniejszym ciałem, które sobie zbudował. Zaprzęga większą ilość sił martwych do służenia sobie. Mówiąc krótko, ludzie i narody w chwili działania twórczego literalnie ożywiają swym duchem pewną ilość materii obcej, oraz pewną ilość sił zewnętrznych i czynią z nich realne uzupełnienie swego żywego ciała, posłuszne skinieniom duszy. Każdy osobnik ludzki może wprawiać w działanie rozumem swoim pewną ilość i jakość t. zw. martwych sił przyrody, zależną od jakości jego władz duchowych.

VII.

Bogactwo materialne jako dzieło dusz.

Bogactwo lubią nam przedstawiać ekonomiści głównie pod kątem widzenia ilościowym, jako pewną masę wartości lub użyteczności, a spuszczają z uwagi wzgląd na jego jakość. Tymczasem właśnie tylko ogromna różnorodność tej

masy bogactwa nadaje jej wartość oraz użyteczność. Bogactwo jednokształtne nie byłoby wcale bogactwem. Owa różnorodność form płynie bezwarunkowo z różnorodności dusz i dla tego musimy ją związać w związek przyczynowo-celowy tylko z duchem.

W ten sposób, mamy w narodzie kompleks realny przedmiotów i podmiotów, istniejący tylko przez ich ścisłą współzależność. I nie dość, że ten związek materii z duchem istnieje; ów kompleks rozwija się pod postacią bezustannego procesu stawania się, zagłady i znowu stawania się, ale ściśle uporządkowanego nie zaś bezładnego.

Z tak dostrzeżonego stosunku płynie nie małej wagi konsekwencya. Oto trzeba się pogodzić z uznaniem równoległości obu zjawisk, to znaczy przedmiotów i podmiotów, i skoro przedmiot nazwalibyśmy bogactwem, to i przyczynę oraz warunek jego istnienia oraz powstawania, mamy prawo nazwać również tem imieniem. Obok bogactwa form materialnych dostrzegamy więc w społeczeństwie istnienie źródła duchowego, z którego owe formy biorą początek, źródła — ale zarazem i celu, dla którego owe formy istnieją. Siły czysto cielesne, którym ekonomiści tak ważną przypisali rolę, stanowią w powstawaniu tych form — samo tylko narzędzie. Reprezentują one w akcie stwarzania raczej czystą przyrodę, ślepią siłę mięśni, niewładną nie stworzyć, władną tylko niszczyć, dopóki sama sobie zostawiona. Dopiero władze ducha są ową potęgą, która powołuje do istnienia ogół tych form materialnych. Póki tych władz niema — bogactwo materialne nie zjawi się, póki różnorodność tych władz niewielka, małą również musi być różnorodność form bogactwa. Więc to wszystko, co powstaje jako dzieło ludzkie, płynie głównie z tej potęgi, która stanowi ideę tych wszystkich form, prawdziwą ideę twórczą. **Bogactwa form materialnych bez równego bogactwa idei być nie może.** Więc też świat idei, rozpinający się w narodzie, jest drugim jego bogactwem, albo raczej pierwszym, bo niezbędnym do

tego, aby drugie mogło powstawać i wogóle miało jakąś rację istnienia.

*

*

*

Widzimy jak słuszną była powściągliwość w określaniu roli człowieka w twórczości gospodarczej. Gdyśmy określali bogactwo mianem „więcej, niż przyrody”, odstąpiliśmy wówczas od kwalifikowania samego człowieka. Zwróciliśmy jedynie uwagę w jego działalności na coś, co powołuje do istnienia bogactwo, a nie płynie z natury zwierzęcej. Nie nazwaliśmy tego pracą ludzką, lecz działalnością ciała i duszy. Teraz rozumiemy, że wystarcza, jeśli dusza ma władzę nad własnym ciałem, bo przez nie nabiera władzy nad przyrodą.

Dopiero więc analiza „pracy” klasyków upewniła nas, że każdy osobnik ludzki stanowi mieszaninę „przyrody” z bogactwem. Należy mianowicie z razu do czystej przyrody jako produkt czystego życia, z bogactwem—staje się po wytworzeniu się w nim specjalnie ludzkiego elementu psychicznego.

Przez sam fakt narodzin i cielesnego rozwoju jest surową materyą społeczną; czynnikiem społecznym staje się w ciągu życia dopiero przez ducha.

VIII.

O nierówności ludzi.

Jest jedno wielkie złudzenie, ogromna omyłka podniesiona do godności prawdy, której nie trzeba dowodzić: równość ludzi. Trudno o większą omyłkę, większe nieporozumienie większy fałsz. Dedukcja ta, to z jednej strony skutek zbyt płytkiego tłumaczenia sobie wzniosłych wskazań etycznych, na-

kazujących widzieć w każdym brata i miłować go, jak siebie samego, z drugiej jednak skutek zbyt zoologicznego traktowania człowieka. Z zasady wielkiej w sferze uczucia, z chęci zniesienia wielu niesprawiedliwości w stosunkach społecznych, wyrosła w sferze myśli wcale nielogiczna dedukcja następująca: skorośmy podobni między sobą, skoro mamy się miłować i wspierać, więc jesteśmy równi. Oto rozumowanie materyalistów, którzy do człowieka przystosowują żywcem miarę, używaną z pełną słusnością w stosunku do zwierząt jednego gatunku, które istotnie różnią się między sobą w bardzo szczupłych granicach. Oto filozofia od podstaw błędna, bo nie dostrzegła, że prawo ewolucji mające pełne zastosowanie do wszystkich organizmów,—nie wystarcza do tłumaczenia zupełnie w y j ą t k o w y c h na ziemi zjawisk świata l u d z k i e g o. A przecież najważniejszą cechą, odróżniającą ludzi od zwierząt jest właśnie ich niejednakowość funkcjonalna i potencjalna (p. Teorya człowieka i cywilizacji str. 4), ich niejednakowość niewidoczna dla zmysłów, ale faktycznie jaskrawo przejawiająca się w niejednakowych działaniach, w niejednakowych skutkach owych działań. Choć zupełnie podobni cieleśnie pod względem siły i rodzaju twórczości materialnej, ludzie różnią się między sobą w stopniu większym, niżby to można z pozoru przypuszczać.

Że tego nie dostrzegli przyrodnicy, dziwić się im nie można, ale humaniści mogliby wykazać więcej niezależności od metod ściśle fizycznych i biologicznych. Dla zrozumienia człowieka konieczne jest zachowanie się z jego duszą.

Pytam, czy najprostsza obserwacja potwierdza tezę o równości ludzi? Jedyne ciała nasze są względnie podobnie sobie, dusze są nieskończenie różne. Naród—to nie gromada, to zbiór najrozmaitszych wielkości i jakości.

Jeżeli milion osobników zwierzęcych, myszy czy wróbli uzmysłowimy sobie pod postacią miliona kulek równej wielkości, to ze względu na bardzo drobne różnice psychiczne, zachodzące między osobnikami, będzie to również milion prawie jednakowych całości psychicznych. Ale milion ludzi w społeczeństwie przedstawia zgoła inny obraz.

Pod względem cielesnym będzie to również milion kulek jednej wielkości, ale pod względem duchowym żadna dusza nie będzie odpowiadać rozmiarom ciała. Wszystkie będą większe, tylko niejednakowo większe. Lecz rozmiary nie wyczerpują wcale różnic rzeczywistych. W grę wchodzi tu jeszcze i jakość. Dusze nawet przy jednej wielkości mogą się różnić między sobą. Czyż więc ich funkcjonowanie można nazwać funkcjonowaniem równych i równowartościowych całości? A przecież jeszcze działalność osobników ludzkich może być pożyteczna lub szkodliwa dla innych, więc doniosłość dynamiczna jednych może się rozciągać daleko poniżej zera na skali społecznej: dobro, zło; gdy innych znowu daleko powyżej owego punktu neutralnego. Gdyby takie różnice między nam były obojętne dla innych, jak również dla dobrobytu w narodzie, możnaby nie zwracać na nie uwagi, ale nasze różnice są przecież różnicami udziału w działaniu, więc nie dość je różnić, trzeba je niejednakowo szacować.

Niema już chyba takich, którzyby nie dostrzegali stałego zjawiska, „niesprawiedliwości społecznej”; jedni boleją nad niemi, inni radziby je usunąć, lecz tu dopiero zaczynają się trudności, nie tylko wykonania, ale sformułowania zasady. Stosunki ludzkie tak są skomplikowane, tyle w nich niewiadomych, że sumienny badacz spostrzega, iż brak jeszcze podstawy do reformowania stosunków społecznych. Reformy zaś dokonywane na oślep, czy na domysł, byłyby raczej niepewnymi i mocno ryzykownymi próbami dokonywanymi na żywym organizmie, niżeli lekarstwem na chorobę niesprawiedliwości społecznej.

Istnieje tedy paląca potrzeba dociekań, ale zarazem konieczność doskonałego spokoju i bezstronności, takiego spokoju, jakby tu nie o nasze najżywotniejsze interesy chodziło. Gorączkowe szukanie zaślepia najczęściej, zwłaszcza gdy przedmiot badania skomplikowany, jak nasz, a mieni się, zależnie od obrazu, albo z góry już nam narzuconego punktu widzenia.

Po stwierdzeniu istnienia dwóch bogactw zupełnie odrębnych: materii społecznej i potęgi społecznej, oraz faktu, że klasyczna „praca ludzka”, zależnie od prze-

wagi w niej potęgi społecznej, jest w bardzo niejednakowym stopniu produkcyjna, możemy przejść do kwestyi kapitału. Wyrazem kapitał najpowszechniej oznaczają dobro ludzkie, potrzebne lub użyte do wytwarzania nowych dóbr ludzkich. Różnica więc między zwykłym dobrem (= bogactwem), a kapitałem polega na tem, że ostatni zużywa się na to, aby się przeistoczył w nową formę innego bogactwa.

Przy takim pojęciu kapitału, musimy nazwać kapitałem również tę część władz duchowych (rozumu, wiedzy, uczuć i woli) narodu lub osobnika, która jest potrzebna do wytwarzania nowego bogactwa.

Dopóki osobnik nie oddaje się pracy produkcyjnej, póty reprezentuje jedynie pewną sumę bogactwa duchowego. Kapitałem (duchowym) staje się jego bogactwo dopiero z chwilą oddania się pracy produkcyjnej. Ale i wówczas, ta tylko część bogactwa, które w swej osobie reprezentuje, staje się kapitałem, jest potrzebna i użyteczna w jego pracy, reszta pozostaje nadal prostem bogactwem.

Podobnie, jak materya społeczna może być albo tylko bogactwem, albo jeszcze i kapitałem, tak samo może być potęga społeczna albo tylko bogactwem, albo także jeszcze kapitałem. Stwierdzamy tedy istnienie dwóch kategorii kapitału¹⁾, których rola i ważność nie są jednakie: Kapitał materyalny i duchowy.

Kapitał duchowy tem różni się od materyalnego, że jest pierwszym i niezbędnym warunkiem bogactwa materyalnego, a nawet wogóle bytu społecznego. Gdyby wiedzy, umiejętności czysto ludzkich i zróżnicowanych nagle nie stało, wówczas zdarzyłoby się ze społeczeństwem to samo, co się zdarza z organizmem, gdy zawieszają się w nim czynności życiowe odtwórcze i twórcze. Stałoby się trupem. Zastój w odtwarzaniu bogactwa duchowego pociągnąłby rychło zupełny

¹⁾ Pojmowanego w sensie klasycznym, dawnym. Dodajemy to zastrzeżenie dlatego, że później kapitał określi się nam inaczej, czyniąc proces gospodarczy zrozumialszym.

zastój w odtwarzaniu dobra materialnego. Rozwój społeczny ustąpiłby miejsca dezorganizacji, twórczość destrukcji, których kresem byłoby doszczętne wyniszczenie się bogactwa materialnego, z drugiej zaś strony zanik dusz w narodzie.

Niezbędność bogactwa duchowego w tem się zaznacza, że gdy utracone nagle materialne może być względnie łatwo odtworzone w narodzie, w którym nie wygasły mądrość, wiedza, uczucia i wola, — odwrotny stosunek obu bogactw byłby niemożliwy.

Gdy teraz weźmiemy pod uwagę, że praca pracy nie równa, że pewnym pracom towarzyszy i przewodniczy niezmiernie wielka ilość kapitału duchowego (wiedzy i mądrości), gdy innym zaledwie minimalna jego ilość, to zrozumiemy jak dalece wyniki różnych prac „ludzkich” muszą być odmienne.

Źródłem bogactwa materialnego jest tedy nie zwykła „praca ludzka”, ale dopiero kapitał duchowy, połączony z pracą fizyczną ludzką w jedno działanie na przyrodę.

Takim połączeniem potęgi społecznej z materią społeczną jest każdy osobnik ludzki, czynny produkcyjnie, ale rzecz rozumiała, osobniki te reprezentują mieszaninę tych pierwiastków w najrozmaitszym wzajemnym stosunku. W jednych działa drobna ilość „bogactwa duchowego”, w innych bardzo wielka. Stąd społeczna doniosłość prac jednego i drugiego może się różnić niezmiernie. Da się to wyrazić w języku ekonomicznym w ten prosty sposób, że osobniki ludzkie reprezentują bardzo rozmaitej wielkości kapitały duchowe przy bardzo jednakowych siłach fizycznych.

Dopiero, gdy się to zważy, odłoni się w całej nagości, prostactwo i niedokładność metody, która każe oceniać i mierzyć wartość pracy osobników samą długością czasu, poświęconego na pracę. Metoda taka mogłaby być dobrą wówczas, gdyby chodziło o interesowanie się samym wydatkiem sił fizycznych, rzeczywiście dość jednakowych u wszystkich osobników. Ale gdy metoda ta pomija udział w „pracy” indywidualnej potęgi, u jednych drobnej, u innych bardzo wiel-

kiej, to grzeszy krańcową niedokładnością, u względnia bowiem to, co mogłoby być, jako prawie jednakowe, pominięte, pomija zaś to, co samo jedno stanowi o stopniu twórczości.

Wszak i o wielkości narodu, o realnej mocy jego, a równocześnie o wielkości jego bogactwa materialnego decyduje wcale nie ilość osobników, nie ilość dusz, lecz ich wielkość oraz jakość. I nie tylko to. Decydującą okolicznością będzie tu jeszcze wielkość kapitału duchowego czynnego w narodzie. Można bowiem wyobrazić sobie naród, posiadający bardzo znaczną liczbę osobników bardzo bogatych duchowo, ale biernych. Wówczas bez względu na wielkość swego ogólnego bogactwa duchowego, naród ten będzie reprezentował drobny kapitał czynny i będzie może produkować mniej, niż inny naród, znacznie uboższy duchowo, ale czynniejszy i bardziej twórczy. Pierwszy będzie wielkością, zagrożoną w stagnacji, złotem, zamkniętym w skrzyni, drugi małością wprawdzie, ale twórczą, żywą, więc wzrastającą w siły. Ten będzie jakgdyby mądrym próżniakiem, posiadającym szybko swe bogactwo, tamten niezbyt uczonym, ale pracowitym dorobkiewiczem, prędko przychodzącym własnymi siłami do potęgi.

IX.

Głód społeczny.

W „Prolegomenach” poznaliśmy doniosłą rolę wibracji mówionego, szczególnego środowiska społecznego, w którym kąpie się niejako człowiek od kolebki aż do zgonu i które niweczy fizyczne odległości między indywidualiami. Dzięki mowie i pismu dusze obcuja ze sobą bez względu na przestrzeń i czas, kosztem niewielkiego wydatku pracy fizycznej. Obcuja

nawet z pokoleniami minionemi. Co zaś najważniejsza, one same istnieją tylko dzięki „mówionemu” i władają nie tylko siłami innych ciał ludzkich, ale jeszcze siłami martwej przyrody.

Tak szeroka władza czyni z ogółu coś jakgdyby jedno wielkie ciało, a zarazem wielką duszę, splecioną z dusz indywidualnych, władającą narzędziami sztucznymi. Śmiało możemy powtórzyć, że naród przez bogactwo duchowe czynnych w nim osobników, stwarza bogactwo materialne z czystej przyrody. Myśl rozumna, krzewiąca się w narodzie przetwarza przyrodę w bogactwo. Ale nie sama myśl, dokonywa tego, boć za sprężynę całego procesu twórczego, który wciągnął w swój wir nawet martwe siły przyrody, musimy poczytać sumę dążeń ludzkich czyli aktów woli. Bez woli, bez chcenia, myśl nicby sama nie działała.

Więc zachodzi pytanie: czemu to myśl i wola tworzą cośkolwiek? Przecież czysta żądza tworzenia nie może być zrozumiałą przyczyną wysiłków fizycznych, które składają się na pracę twórczą. Przecież do pracy, nikt nie porywa się dla samego pracowania. Chociaż bywa, że pracujemy dla samej przyjemności, to jednak daleko częściej pracowanie stanowi przykrość. Czemuż nawet w takich razach pracujemy? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy, wciągając do naszego rozważania trzeci psychiczny składnik duszy—czucie, przeobrażone w znacznej części w uczucia ludzkie.

Najczęściej pracujemy dla uniknięcia przykrości. Aby to zrozumieć, dość zważyć, czym jest żywot zwierząt w stanie natury. Jest on nieustannem odczuwaniem potrzeb, dążnością do ich zaspokojenia oraz zaspakajaniem kosztem pewnych wysiłków. Jest walką z brakiem. Życie zwierzęce, to szereg wysiłków, zmierzających do zastąpienia uczucia cierpienia przez uczucie zadowolenia. To przedewszystkiem dążenie do sytości.

Otóż stan społeczny różni się tylko skomplikowaniem i obszernością skali odczuć; sprowadzony do ostatecznych ogólników, musi być tem samem, różniąc się tylko podwójnością potrzeb. Zwierzęca dążność do sytości, nie milknie w osobniku choćby najbardziej uduchowionym. Druga

dopiero dążność, jest już czysto-społeczną potrzebą duchową. Zdawałoby się, że tę drugą łatwiej zaspokoić, ale obie kategorie jednak są nienasycone, gdyż głód fizyczny, odnawia się w ciągu całego żywota, druga znowu—nie znajduje zaspokojenia, bo stale wzrasta.

Jednostki ludzkie naprózno dążą do stanu „sytości”, ale dążą, bo kres jego ustawicznie się oddala. Człowiek, żyje w ustawicznej pogoni za zadowoleniem swych pragnień ludzkich; lecz rzadko znajduje zaspokojenie, albowiem wciąż sięga po nowe zadowolenia, sięga zaś dlatego, że w miarę wspinania się wyżej, dostrzega coraz nowe i coraz liczniejsze przedmioty, godne pożądania.

To, co budziło zrazu tylko prostą ciekawość, po pierwszym zaspokojeniu staje się rychło pożądanem, więc brak tego wywołuje już lekką przykrość, której pragniemy się pozbyć przez nowe zadowolenie pożądania. Ale po krótkim szeregu zaspokojień staje się już potrzebą.

Więc żołnierz marzy o stopniu podoficera, ale zostawszy nim, marzy o stopniu oficera; stawszy się kapitanem — radby być pułkownikiem i t. d. Każdy człowiek zdrowy krząta się tak, jakby był wiecznie głodny i jest on istotnie głodny tym głodem społecznym, który nigdy nie daje się nasycić. Nie wszyscy rozumiemy, że dusza zawsze musi cierpieć (pragnąć czegoś), aby doznawać zadowoleń, zupełnie tak samo, jak ciało zawsze musi doznawać głodu, aby doznawało przyjemności jego zaspokajania. Różnica taka tylko, że dusza musi wynajdywać ciągle przedmioty, na których kanwie osnuwają się kontrasty czuć przyjemności i przykrości, gdy ciało automatycznie dochodzi do czucia głodu. Głód społeczny sięga w najidealniejsze nawet sfery działalności. Na tle elementarnej walki o sytość toczy się więc na wyżynie bytu w cywilizacji druga jej edycja, „szlachetniejsza”.

Różnie można taką walkę nazywać. Bywa ona walką o utrzymanie się na poziomie raz zdobytym, częściej dążeniem naprzód, zdobywaniem tego samego, co mają inni. Sprężyną jej głód materii spo-

łecznej lub potęgi społecznej, głód posiadania, władzy, wiedzy lub rozkoszy.

Materyalne dobra, przechodzą z rąk do rąk i stają się przedmiotem pożądania ogólnego. Pogoń ta, nie dająca nikomu spocząć, popycha do coraz nowych skomplikowań.

Ekonomiści szkoły Marxa potępiają całe te wyścigi, a kto głębiej umie patrzeć w świat przyrody, ten nie będzie pytał: co znaczą te wyścigi bo zrozumie, że to, co żyje — usiłuje trwać. Naturze nie chodzi o przyjemność osobnika, ale chodzi o jego byt, o trwanie. Otóż to samo jest z głodem społecznym. Naturze społecznej nie chodzi również o przyjemność indywidualów, ale tylko o byt utworu, który raz powstał. Bez tego głodu, bez tych cierpień nie zjawiałaby się cywilizacja, duch nie dążyłby do tworzenia, cywilizacja do rozwoju.

Dążność do stanu sytości społecznej w tem jest podobna do zwykłego uczucia głodu, że w okresie pełni rozwoju narodu lub osobnika — nagromadza więcej, niż zużywa, wchłania więcej, niż wydziela, czyli, potracając zużyte, stanowi dążność twórczą, czynnik, nagromadzający bogactwo społeczne obu kategorii.

X.

O własności osobistej i wolności człowieka.

Na tle tylko co przeprowadzonych porównań zjawia się pytanie, do kogo mają należeć owoce pracy osobnika ludzkiego? Czy do niego samego, czy do społeczeństwa? Zjawia się kwestya prawa własności osobistej, prywatnej. Prawo to oddawna poddawano uzasadnianiu, krytyce lub negacyi.

Pytanie: czy mamy prawo do całkowitych owoców swej pracy należy postawić przedewszystkiem na tle pytania: czy zwierzę ma takie prawo i czy człowiek, zostawiony na łonie czystej przyrody, ma je również?

Na tym punkcie niema żadnej wątpliwości. Wszystkie prawodawstwa zgadzają się, że dzieła czystej przyrody, będące dobrem niczyjem, każdy może brać darmo. Tak biorą zwierzęta, zostające na łonie niczyjej przyrody, tak bierze i człowiek.

Obdarzony temi samemi instynktami, radby brać zawsze darmo wszystko, ale przychodząc do społeczeństwa wszędzie natrafia na własność cudzą, na zakaz, wszędzie za to, co chce otrzymać, każą mu płacić z razu prośbą (dopóki nie umie pracować), później pracą. Rychło powiadają mu, że chcąc mieć — trzeba tworzyć, bo gdybyśmy wszyscy chcieli brać darmo (przemocą albo prośbą), prędko wszystkobyśmy zużyli i nie byłoby co brać.

Skąd taka różnica między światem zwierzęcym, a ludzkim? Różnicy żadnej niema. Polega ona na prostem złudzeniu, że zwierzę bierze coś darmo. Tak nie jest.

Ono za to co bierze, płaci siłą i to hojnie, bo życie całe upływa mu na tych zabiegach. Praca¹⁾, to wcale nie wynalazek ludzki. I zwierzęta na swój sposób pracują, a nawet ciężko—cała różnica, że nie wiedzą o tem. Zatem dopiero wiedza jest jego wynalazkiem i wespół z „pracą” dają mu to, za czem ludzie gonią.

Jedynie tylko niczyje może się stać mojem przez prosty akt wzięcia w posiadanie. Poza tem, mojem może już być tylko to, co sam powołałem do istnienia, co sam stworzyłem.

Dzieła więc ludzkie charakteryzują się tem, że stanowią własność czyjąś: twórców, posiadaczy lub społeczeństwa. Gdy mojem może być to co sam stworzyłem, przeto prawo do owoców własnej pracy wydaje się być **prawem społecznem podstawowem**.

Francuska „Deklaracya praw człowieka i obywatela” z roku 1789 (artykuł drugi i siedemnasty) głosi, że „własność jest przyrodzonym prawem człowieka i obywatela, **prawem świętem i nietykalnem**”.

1) W znaczeniu użytecznego wydawania energii organizmu.

A skoro jednak socjaliści, syndykaliści i komuniści usiłują kwestyonować własność indywidualną, — wypada sprawdzić, kto się myli? Ku temu posiadamy jeden środek, ale pewny.

Oto równocześnie z kwestyą własności indywidualnej wyłania się kwestya wolności indywidualnej. Jak wiadomo, właśnie przeciwnicy własności prywatnej są bezwzględnyimi rzecznikami wolności człowieka. Zachodzi więc przedewszystkiem pytanie: Czy mamy prawo do władania samym sobą?

Człowiek, będąc „dobrem ludzkim”¹⁾ już przez to samo musi być uważany za czyjąś własność. Do kogóż on należy?

Mogą tu być dwie odpowiedzi. Albo każdy jest panem siebie, albo też musi być niewolnikiem bądź jednostek, bądź grupy. Stajemy tu przed dylematem: wolności człowieka (czyli swobody osobistej), albo też niewoli społecznej.

Oba poglądy mają swoich namiętnych rzeczników i obrońców. Ze względu, że człowiek zawiera w sobie element psychiczny, który wnikł weń od społeczeństwa, ze względu, że jest poniekąd dłużnikiem społeczeństwa, można utrzymywać, że on jest własnością narodu. Ale to jest ogólnik nadto szeroki. Zważmy przecież, że człowiek jest równocześnie dziełem: pracy swego otoczenia, mimowolnych oddziaływań otaczających [osobników, oraz dziełem pracy własnej (nad kształceniem siebie).

Jesteśmy więc, jako dusze — produktami zarówno pracy cudzej, jak własnej, a poza tem, dziełem wpływów bynajmniej nie celowych, czyli w pewnej części jesteśmy prostą wypadkową oddziaływań środowiska społecznego. Ludzie kształtują się psychicznie wprost pod wpływem cywilizacyi, na łonie której żyją, w której są pogrążeni. Rolę czystej przyrody, która otacza zwierzę, ale także i człowieka, uzupełnia względem dusz ludzkich inna przyroda, na którą zwierzęta są zgoła nieczułe, mianowicie cywilizacya z jej tysiącznemi formami.

Skoro nie praca innych, uczyniła osobnika tem, czem

1) Produktem społeczeństwa, nie zaś samej natury.

jest (a tylko praca taka nadaje prawo do uważania osobnika za dzieło, a więc i za własność urabiających)—najśluszniej przeto byłoby nazwać osobnika częściowo własnością grupy, w części zaś musi być uważany za bezsporną własność swoją.

Jednak nie zmienia to już losu jednostki, czy ma być własnością społeczeństwa, lub też jego cząstki, bo i tak, czy owak, nie miałby człowiek wolności osobistej. Przeciw takiemu pogładowi można jednak wytoczyć poważny argument.

Zaden człowiek nie prosił, aby go społeczeństwo formowało, ma więc pewne prawo nie poczuwać się do żadnych obowiązków względem innych. Jeśli chce być wolnym, ma do tego prawo, bo nie zawierał z nikim układu, któryby go swobody rozporządzania sobą pozbawiał.

Który z tych dwu poglądów jest prawdziwy? Nie pytam który słuszny, lecz który prawdziwy, bo prawda polega na zgodności naszych poglądów na rzeczy z faktycznymi stosunkami, istniejącymi między rzeczami.

Może się to wydać dziwnem, gdy powiem, że oba poglądy są prawdziwe, pomimo, że są sprzeczne. Człowiek jest równocześnie własnością swoją i społeczną, jest wolnym, a zarazem niewolnikiem. Bezwzględna swobodę człowieka i bezwzględną niewolę społeczną można sobie tylko imaginować. W naturze ludzkiej oba te przeciwieństwa nie są przeciwieństwami, gdyż wyrażają tylko wyjątkowe stanowisko człowieka.

Lubo człowiek stanowi rzoczywiście część całości społecznej, to przecież reprezentuje on indywidualium.

Jak można pogodzić swobodę z niewolą? Bardzo prosto. Człowiek zawiera w sobie element psychiczny, wprowadzony w znacznej mierze przez społeczeństwo, ale nie mówmy, że przez to musi już być własnością społeczną, gdyż nic to nie wyraża od chwili, gdy wszyscy nią jesteśmy. Być własnością wszystkich—jest to także być w części i swoją.

„Społeczeństwo”, to abstrakcja wyższa, z którą nie spotykamy się nigdy oko w oko. Spotykamy się tylko z ludźmi. Jeżeli więc każdy ma do mnie pewne (nniejsze lub

większe) prawo, lecz i ja również do każdego takie samo, to prawa nasze, niwelują się wzajemnie¹⁾.

Niezależność bezwzględna trwa tylko póty, dopóki osobnik nie potrzebuje nic od nikogo.

Z chwilą, gdy zwróci się z żądaniem zaspokojenia jakiegokolwiek potrzeby własnej, nie może tego wymagać od nikogo darmo.

Gdziekolwiek tedy zwrócimy się z żądaniem usług, natrafiamy na wolnych ludzi, panów swych czynów i dzieł. Równe prawa pociągają za sobą równe obowiązki. Za usługi trzeba oddawać usługi. Chcąc wolności własnej, musimy uznawać cudzą, żądając własności dla siebie, trzeba uznać cudzą. Brać darmo wolno tylko dobro niczyje, poza tem aby brać — musimy dawać.

*
* *
*

Teraz* musimy wspomnieć o trzecim sposobie przychodzenia do własności, o otrzymywaniu bez dawania.

Gdy każdy ma prawo własność swoją sam zużyć, więc ma równe prawo zaoszczędzić, choćby dla oddania innemu wedle swej woli. Brać bez dawania nie mamy prawa, ale rozporządzać swoją własnością, mamy prawo i w ten sposób ktoś może przyjść do własności bez pracy własnej, oraz bez pogwałcenia praw innych²⁾.

¹⁾ Nie niwelują się tylko obowiązki względem bezpośrednich wychowawców, a co za tem idzie i odpowiedzialność wychowawców względem wychowywanego.

²⁾ I dopiero z powodu, że najmniejszą całością społeczną jest zię osobnik, ale rodzina, zjawiła się potrzeba ograniczeń w prawie łroporzadzania nawet własnością prywatną. Wszelako ograniczenia te nie tylko nie naruszają zasady, lecz skierowane są ku jej przestrzeganiu.

Byt społeczny opiera się na istnieniu rodziny, czyli naturalnej caostki, która posiada ciągłość większą od ciągłości osobnika, bo łączy przeszłość z przyszłością, dziadów z wnukami. Z nieuniknionego podziału pracy w granicach rodziny, z niepełności bezpośredniej usług wzajemnych w zakresie rodziny, a zwłaszcza z bezpłatno-

XI.

0 skutkach majątkowego zrównania ludzi.

Myśliciele, nie zdający sobie sprawy z natury twórczości społecznej, wyobrażają sobie, że każdy, kto wznosił się na wyższe szczeble bytu społecznego, musiał ovladnąć tem, co powinno należeć do stojących niżej. Wyobrażają sobie, że wszelki zysk społeczny jednych musi opierać się na stracie

ści usług, świadczonych dzieciom przez rodziców, płyną prawa i obowiązki, ograniczające swobodę członków rodziny w rozporządzaniu wspólną własnością oraz władza kierownicza „głowy” rodziny.

Z samej przyrodniczej niepodzielności takiej komórki społecznej, a równocześnie z jej nieprzerwanej ciągłości w czasie, płynie solidarność interesów dzieci i rodziców. Miłość rodzicielska otacza dzieci najczulszą opieką, czyni je droższymi nad życie i skłania do ofiar oraz wysiłków altruistycznych na rzecz dzieci. Ona jest głównym źródłem oszczędności. Jeżeli rodzice otrzymali zaszczędzone przez swych rodziców dobro, to z kolei, przez miłość rodzicielską starają się je pracą i oszczędnością powiększyć „dla dzieci”. Nie oszczędzanyoby „dla obcych” tak gorliwie i z takim zaparciem się siebie. Nie byłoby też w innych warunkach owych oszczędności. I dlatego można powiedzieć, że dzieci bez pogwałcenia praw innych osobników w społeczeństwie korzystają z zapasu, nagromadzonego przez najbliższych im krwią, jako ze swojej własności. One mają to, co dano im dobrowolnie i co dla nich oszczędzano. Gdy zaś w ten sposób rodzice spłacają dług, zaciągnięty u swych rodziców, prawo krępuje do pewnego stopnia nawet złą wolę głowy rodziny, gdyby się przejawiała względem prawych dziedziców pod postacią ograniczeń w pośmiertnem rozporządzaniu majątkiem.

Podnoszono już w ekonomii pierwszorzędną doniosłość społeczną oszczędności. Otóż zanim zaczniemy krytykować słuszną dziedziczenia, pamiętajmy, że bodźcem do oszczędzania nie jest wyłącznie egoizm osobisty, ani bezwzględny altruizm, ale jedynie altruizm względem dzieci, czyli egoizm rodzinny. Gdyby go prawo nie ochraniało znikłoby najpotężniejszy bodziec do wysiłków twórczych i do oszczędzania, a wraz z tem przestałoby się wytwarzać bogactwo w takiej obfitości, jak widzimy.

innych, że wszelkie bogactwo jednych stało się powodem ubóstwa lub nędzy mniej obrotnych lub zabiegliwych.

Nie wniknęli tacy myśliciele należycie w mechanizm cywilizacji, zapominają o tej doniosłej, a przecież elementarnej prawdzie, że materii społecznej przybywa przez stwarzanie jej, nie jest więc ani potrzebne, ani konieczne odbieranie innemu, aby posiadać więcej, niż mają inni. Może to być stworzone na nowo. I w istocie, dopóki cywilizacja wznosi się, póty dzieł ludzkich przybywa daleko więcej niż ubywa. Dzieje się to dzięki działalności tych, którzy łakną tworzenia dla samego tworzenia, jak również więcej tworzą, niż trwonią. Tak jedni, jak drudzy pierwaj sami ustępują z powierzchni ziemi, niżeli ich dzieła, często tak wielkie i niewyczerpane, że sami nie mogli nawet cząstki ich przez użycie zniweczyć ¹⁾.

W podobnych warunkach czyż może być mowa o tem aby wszystko, czem się cieszą więcej posiadający — miało być nieprawnie zagarniętą własnością mniej posiadających? O ile to nie własny dorobek bardziej twórczych, jest to przeważnie dziedzictwo po silnych duchem (rozumem), jest to dzieło dusz wielkich, nie zaś ciał słabych. Są to rzeczy, wydarte przyrodzie siłami samej przyrody za sprawą ducha, nie zaś siłami mięśni maluczkich. O tem należy pamiętać i z tem rachować.

*
* *

Czemże jest w takim stanie rzeczy dążność do zniesienia własności prywatnej i do równego podziału dóbr — co wydaje się niektórym myślicielom nie tylko stosunkiem pożądanym, ale i jedynie sprawiedliwym?

¹⁾ Te właśnie dzieła stanowią niby szkielet olbrzymiego jestestwa zbiorowego, niby rafę koralową, którą nowe żyjątka tylko nadbudowują. Ludzie, jak miękkie i znikome żyjątka koralowe rychło umierają, ale potomstwo ich trwa na miejscu wśród szkieletu cywilizacji. Nowe zatem żyjątka nawet bez dziedziczenia dziedziczą zarówno dobra materialne jak duchowe i do dawnych dorzucają nowe.

Zdaje się, że wobec nierówności ludzi, byłoby ono nie tylko pogwałceniem prawa własności, ale także zaprzeczeniem wolności osobistej.

A jednak wypisywano i wypisuje się jeszcze na sztandarze ludzkości dwa hasła: „Precz z własnością prywatną!” obok żądania „wolności dla wszystkich”.

Trzeba zdumiewającego zaślepienia, aby nie widzieć, że jedno drugie wyłącza. Pod hasłem: precz z własnością, bo ona niesie krzywdę słabszym, przemoc i niewolę — sankcjonowałyby się przemoc i niewolę, tylko w większych jeszcze rozmiarach.

Jeśli bowiem własność prywatna płynie z prawa rozporządzenia sobą, to usiłowanie zrównania własności wszystkich byłoby nie tylko zamachem na własność prywatną, ale nieprzerwanym łańcuchem gwałtów przeciw wolności osobistej, co więcej, gwałtów przeciw wszystkiemu, co nieprzeciętne. Ponieważ zaś bogactwo ludzkie stoi tylko tem i pomnaża się, że w narodzie istnieje sfera najwięcej przyczyniająca bogactwa, przeto zrównanie ich z najmniej produkcyjnymi, obniżenie i zatrata,—byłoby ciosem, wymierzonym w samo źródło bytu społecznego i w jego rozwój duchowy i materialny.

Przyjaciół „ludzkości”, dość potężny do odegrania roli niwelatora społecznego, stałby się prawdziwym niedźwiedziem z bajki. Zabiłby wprawdzie muchę niesprawiedliwości na czole przyjaciela, ale równocześnie zabiłby w nim człowieka. Wypędziłby z ludzi duszę. Zachodziłoby to powoli, ale nieuchronnie. Materialna (więc połowiczna) równość, będąc wynikiem nieprzerwanego łańcucha wywłaszczeń, gdyby mogła być ściśle przestrzegana aż do końca, stałaby się w końcu także i duchową równością—ale w bezsilności.

Wszak najważniejszym źródłem bogactwa są osobniki, które posiadły wielką moc ducha. Wszak źródłem bogactwa jest element psychiczny, wprzęgający samą przyrodę do produkcji bogactwa. Sama praca mięśniowa (nie poparta elementem psychicznym) pozwalałaby człowiekowi zaledwie nie umrzeć z głodu—dawałaby więc tyle właśnie — ile daje zwierzętom. Z chwilą, gdy największe nawet bogactwo duchowe

osobiste zostało zrównane w prawach do owoców własnej wytwórczości z każdym najmniejszym, znikłaby racya dążenia do rozwijania w sobie mocy duchowej, twórczej, nikt bowiem nie pielęgnuje tego, co nie daje korzyści¹⁾. Powiedzą nam może, że to już kwestya praktyczna, poprawmy więc wyrażenie „racya dążenia” przez dodanie uwagi, że znikłoby także i warunki istnienia dusz wielkich i mocnych bowiem one do pojawienia się i trwania potrzebują odpowiedniego środowiska duchowego i materialnego.

Wszystkie więc wysiłki ponad powszedniość, wszystkie protuberancye ducha, główne przyczyny twórcze bogactwa stopniowo malałyby pod obuchem żelaznego prawa równości, ustępując mierności, spadającej coraz niżej, aż do zupełnego zaniku, z drugiej strony z powodu braku warunków do ich istnienia i odtwarzania się. Byłoby to zwycięstwo Pyrrhusowe uniwersalnej pseudosprawiedliwości nad cząstkową niesprawiedliwością, zwycięstwo grubej materyi na gruzach ducha oraz na gruzach materyi społecznej.

Wielkie pytanie, czy o takim rezultacie poprawy stosunków społecznych marzyli szlachetni rzecznicy równości materialnego uposażenia.

Jan Jakób Rousseau powiadał, że dobrym jest stan natury, złym stan społeczny z powodu licznych jego stron ujemnych i niesprawiedliwości. Zaiste, jeśliby chodziło o pozbycie się stanu społecznego, wówczas idealne zrównanie materialne byłoby wyborym do tego sposobem, ale kto ciekaw rozkoszy dobrego „stanu natury” niech o nie zapyta lepiej przyrodników, niżeli marzyciela. Zdaje się, że powracając do stanu natury, ludzie wpadliby tylko, jak z deszczu pod rynnę.

Cierpienia, związane z bytem społecznym, nie znikłyby, bo to nieodłączne towarzysze nawet z wykłętego życia, na równi z rozkoszą. Zabrakłoby jedynie statystyków, kronikarzy i spektatorów wiecznie jednakowego na świecie widowiska. Znikłoby tylko skomplikowanie cierpień i nieszczęść,

¹⁾ Za miskę soczewicy prędzej można sprzedać brata swego Abła niż szukać górlie skarbu, który mamy oddać innym.

zabrakłoby świadomości rejestrującej zło i dobro, ale same nieszczęścia i rozkosze wypełniałyby i nadal czarę wszelkiego życia, bo życia bez czucia żaden filozof nie zdołał sobie wyobrazić, czuć zaś można tylko naprzemian przyjemność i przykrość, rozkosz i ból. Niemasz życia, któreby dawało wyłącznie tylko uczucia miłe. Niema mocarza, któryby mógł zapewnić samo szczęście, samo zadowolenie. Tępiciele nierówności materialnej byłby tylko niwelatorem wyższych rozkoszy i cierpień do poziomu mierności; odbierałby wyższe dobra, nie usuwając mimo to cierpień i nieszczęść.

* *

Aby ocenić w pełni doniosłość czynnika psychicznego, którego nasi wielcy ekonomiści szkoły materialistycznej nie uwzględnili, musimy niezapominać, że skutki osobistej pracy jednego człowieka mogą przewyższać o miliardy razy skutki pracy innego osobnika, zależnie od tego, jaka ilość bądź sił przyrody, bądź kapitału dopomaga mu w pracy.

Zachodzi więc pytanie: jak mamy zapatrywać się na wynik działalności złożonej; czy cały wynik mamy przypisać twórcy, czy też tylko tę część, która płynie bezpośrednio z jego własnej siły fizycznej, zużytej na wykonanie zadania? Jest to pytanie ważne, bo zasadnicze.

Rozwiązanie jego zależy od tego, czy człowiek przybrał do pomocy niczyje siły przyrody, czy też kapitał, a więc, czy pomoc sam sobie przybrał, czy mu jej dostarczono?

XII.

Czy korzyść jednych musi się koniecznie opierać na stracie innych?

Gdybyśmy produkty ludzkie zawdzięczali tylko własnej pracy ludzkiej, wówczas, wobec trudności trafnej oceny wy-

tworów cudzych, o których wytwarzaniu słabe mamy pojęcia, rzadko zdarzałyby się zamiany, nie przynoszące straty jednej ze stron. W większości przypadków wymiana produktów działalności ludzkiej kończyłaby się, nawet bez złej woli, zyskiem tylko jednej strony, stratą zaś drugiej. Bystrzejszy lub przebieglejszy zyskiwałby najczęściej, mimo to korzyść z zamiany zawsze byłaby niewielką. W rezultacie względna równość posiadania, powszechne ubóstwo byłyby normalnym zjawiskiem bytu społecznego.

Więcej jeszcze. Ponieważ owoce pracy zawsze byłyby skromne, przeto musieliby pracować wszyscy, prócz dzieci, chorych i starców. W tych warunkach uboższymi musieliby być stale ci, którzy posiadają więcej dzieci, starców lub chorych. Unikano by utrzymywania dzieci, postarzałych rodziców i chorych, próżniacy i niedołęgi nie mieliby dostatecznych podstaw bytu. Utrzymywałyby się też stale znaczna równość posiadania przy bardzo słabym przyroście ludności i okrucieństwie obyczajów.

Znaczniejsze bogactwo byłoby zjawiskiem wprost nieznanem, naprzód dla tego, że dojście do niego byłoby niezmiernie trudne nawet dla bardzo pracowitego i przebiegłego, powtóre, że możnaby się bogacić tylko zbyt wyraźną krzywdą innych, więc rychło bogaty obudziłby czujność i nienawiść wyzyskiwanych, potrzebie, że w takich warunkach bogaty musiałby się wprost ukrywać ze swem bogactwem, co odebrałoby mu większą część racyi bogacenia się.

Takie stosunki, z pewnemi wyjątkami nie są rzeczą nieznaną. Życie ludów, pozostających w tak zwanym stanie „dzikości” daje ich obraz dość wierny. Przyczyna leży w słabej wydajności pracy wszystkich, uwarunkowanej powszechną ciemnotą i powszechną bezsilnością gospodarczą.

Sam więc fakt, że stosunki społeczne w bardziej oświeconych społeczeństwach, nigdy nie układały się w wyżej wskazany sposób, dowodzi, że założenie co do natury samej „pracy” jest nieprawdziwe.

Rodzi się pytanie po co bierzemy od innych, gdy mu-

simy równocześnie dawać? Czy nie prościej byłoby nic nie brać i nic nie dawać?

Dociekania w tym względzie uwydatniają te właściwości bogactwa, że musi ono krążyć od ludzi do ludzi, albowiem tylko krążenie jego może zaspokajać nasze potrzeby, z drugiej zaś strony, że tylko zamiana pozwala nam brać więcej niż dajemy i to bez krzywdy oddającego. Gdyby miało być inaczej, mielibyśmy prawo wręcz utrzymywać, że wszelkie zamiany pozbawione były sensu.

Wyjaśnienie, że zysk jednych bez krzywdy innych jest normalnem zjawiskiem społecznem, będzie celem niniejszego rozdziału. Przyczyna tak dziwnego zjawiska leży w samej naturze bogactwa i w podstawowych właściwościach duszy.

W tem miejscu musimy przypomnieć (p. rozdz. II), że bogactwo to ogromna różnorodność, zaspokajająca potrzeby zarówno poziome, jak szczytne,

Gdy zjawiła się różnorodność przedmiotów i potrzeb, musiała się ona już tylko zwiększać, albowiem nowe przedmioty wywoływały nowe pożądanía, nowe zaś pożądanía powoływały do istnienia znowu coraz inne przedmioty. Zjawił się łańcuch nieprzerwany przyczyn przeobrażających się w skutek i skutków, przeobrażających się w przyczyny.

Narzędzia pierwotne poczęły się tu i owdzie doskonalić pod wpływem doświadczenia, niejednakowość funkcjonalna osobników. Z upływem wieków dzieła ludzkie stawały się coraz rozmaitsze.

Pożądamy niekiedy tego, cośmy sobie tylko wyobrazili ale najczęściej tego, co już istnieje i o czem wiemy, że jest miłe lub użyteczne. Dzieła więc ludzkie, będące w posiadaniu innych, stają się przedmiotem pożądanía wielu tych, którzy nie umieją ich sporządzić, ale widzą u innych. Aby pojąć taki przedmiot, muszą go dostać od wytwórcy lub posiadacza.

Skoro powstała między osobnikami wymiana dobrowolna, ustaliła się ona rychło jako najłatwiejszy sposób zaspokajania pożądań,

Ludzie stali się coraz użyteczniejszymi sobie i przestali się uniknąć właśnie dlatego, że jeden umie to, czego inny nie umie — i że wymieniają między sobą owoce nie tyle swej pracy, ile umiejętności. Dzięki takiej metodzie zaspokajania potrzeb, stali się oni specjalistami w wytwarzaniu, a (mniej więcej) uniwersalnymi w używaniu. Taki jednak ich charakter mógł się wykształcić tylko na skutek niejednakowości duchowej.

Wprawdzie głównym motywem zamiany jest zdobycie przedmiotu użytecznego, jednak dodatkowym celem jest jeszcze chęć egoistyczna zapłacenia jak najmniej, czyli zdobycia więcej, niżeli sam daje.

I właśnie ta dążność znajduje pełne zaspokojenie przy większej części wymian.

Tranzakcje wymienne dlatego nie wymagają bardzo dokładnego rachowania się z własną pracą, włożoną w produkt, że obok materii, której dostarczyła darmo przyroda i obok własnej pracy producenta, każdy niemal produkt pracy nawet ręcznej zawiera jeszcze w sobie pewną ilość¹⁾ pracy martwych sił przyrody, wprzęgniętej do produkcji przez „siły psychiczne”.

Jeżeli więc Paweł zamienił niebacznie owoc 10 godzin pracy własnej na owoc 7-miu godzin pracy Gawła, to powierzchownie biorąc, transakcja dała Pawłowi stratę trzech godzin jego pracy, w gruncie jednak rzeczy stosunek ten może się przedstawiać wcale nie tak źle. Najczęściej, obie strony dużo zyskują. Aby to dostrzedz, trzeba wprowadzić do rachunku pracę ludzką oszczędzoną w produkcji umiejętności i wprawnej. Wyobraźmy sobie, że Paweł i Gawł zamienili się wytworami, sporządzonemi przez każdego z nich osobiście, ale przy pomocy niejednakowych narzędzi sztucznych. Wówczas Paweł oddał owoc 10-godzinnej pracy własnej, dokonywanej przy pomocy narzędzi oraz wprawy osobistej, które mu oszczędziły dajmy na to 30 godzin pracy. Oddał on tedy

¹⁾ Często bardzo znaczną.

za wyrób cudzy równo wartość 40 godzin pracy własnej bez narzędzi.

Gawęł znowu oddał owoc 7 godzin pracy własnej, ale narzędzia jego i wprawa oszczędziły mu przytem 25 godzin pracy, oddał więc równowartość 32 godzin pracy własnej bez narzędzi. Gdy to uwzględnimy okaże się, że Paweł nie tylko nie stracił 3 godzin pracy, lecz nawet trzykrotnie zyskał, gdyż za 10 godzin pracy własnej otrzymał przedmiot, mający dla niego osobiście wartość co najmniej 32 godzin pracy, czyli stracił pozornie 3 godziny, rzeczywiście jednak zyskał co najmniej 22 godzin.

Gawęł zyskał pozornie 3 godziny, naprawdę zaś zyskał co najmniej 33 godzin.

Zysk obu wprawdzie jest nierówny, ale o rzeczywistej stracie nie może być mowy.

Wyraziliśmy się tutaj, że Paweł dostał przedmiot, mający dlań wartość co najmniej 32 godzin pracy. Wypada powiedzieć, co ma za znaczenie słówko „co najmniej”. Otóż Gawęł oszczędził samemu sobie 25 godzin pracy (gdy wkładał własnej tylko 7), Pawłowi jednak oszczędził on niewątpliwie jeszcze znacznie więcej. Gdyby bowiem Paweł chciał sam sporządzić taki przedmiot, to nawet przy posiadaniu narzędzi Gawęła, ale bez jego znajomości rzeczy, bez wiadomości skąd brać materiały surowe i t. d., pracowałby znacznie dłużej, zepsułby dużo materiałów i otrzymałby wytwór o wiele mniej doskonały, lub też wcaleby go nie zdołał sporządzić. A cóż dopiero wypadłoby—gdyby musiał wpiery zdobywać sam narzędzia, potrzebne do wytworzenia produktu Gawęła.

W rzeczywistości tedy stosunek zamienny przedstawia się jeszcze znacznie korzystnej dla obu.

Paweł wydał 10 godzin pracy własnej umiejętności za to, na co nie wystarczyłoby mu może nawet sto i więcej godzin pracy przy narzędziach Gawęła, ale bez jego znajomości rzeczy. Otrzymał więc przedmiot pożądania za bezcen. Gawęł wydał 7 godzin pracy za przedmiot, którego by nie sporządził choćby pracował sto lub więcej godzin, przy narzędziach

Pawła, ale bez jego znajomości rzeczy, otrzymał więc również przedmiot pożądania swego również za bezcen. I tylko skutkiem takiego stosunku pracy wydanej do pracy, która musiałaby być wydana, gdyby każdy pracował dla siebie, ogólna suma bogactwa produkowanego przez ludzi może rozrastać się, nawet pomimo rozrzutnego zużyciwania.

Dzięki wyspecjalizowanym narzędziom odrzucalnym, podziałowi pracy i wymianie, ludzie pracują coraz owocniej i każdemu łatwo zbywa znaczny nadmiar, przyrost, darowany mu przez przyrodę dzięki interwencji jego duszy.

Naszkcicowaliśmy tu stosunek wymienny w najprostszych jego zarysach, bez pretensyi do poruszania skomplikowań, które wytwarza daleko idący podział pracy, coraz większe różnicowanie się uzdolnień¹⁾, powstawanie narzędzi coraz bardziej złożonych, zrzeszanie się celem wykonywania dzieł bardzo złożonych i wielkich oraz celem coraz bardziej masowej i maszynowej produkcyi i t. d.

W tej chwili chodzi nam jedynie o uwydatnienie tego faktu, że przy specjalizacyi pracy i wymianie produktów albo usług każda cena (nietylko monopolowa i amatorska, nie tylko normalna rynkowa, ale nawet najbardziej wygórowana rynkowa), którą płacimy (w warunkach normalnych) za cudzy wyrób (bądź jednostki bądź grupy) jest o wiele niższa od tej, którąbyśmy musieli zapłacić pracą własną i własnym przemysłem. Innemi słowy, każda rzecz, którą własnowolnie otrzymujemy drogą wymiany, bywa dla nas o wiele cenniejszą (oczywiście w różnym stopniu) od rzeczy, którą oddajemy. Zawsze wyroby obce nabywamy zbyt tanio w stosunku do obiektywnej i subiektywnej wartości jaką one mają dla nas.

¹⁾ Albo trafiający się często brak specjalnych uzdolnień lub narzędzi.

XIII.

Wymiana i wartość wymienna.

Ale po co my się zamieniamy wytworami naszej działalności? Czy nie prościej byłoby samemu wytwarzać wszystko, co nam potrzebne. Zapewne, ale cóż na to poradzić, kiedy nie jesteśmy uniwersalni w wytwarzaniu, lecz tylko w używaniu. Każdy z nas umie uczynić zadość tylko małej części swych potrzeb, pozatem o zaspokojenie reszty musi się zwracać do innych.

Spostrzegliśmy, że sprężyną wszystkich zabiegów naszych jest niemiłkający w zdrowym człowieku głód społeczny, czyli pożądanie przedmiotów użytecznych lub miłych. Przedmiotów takich dostarczyć nam mogą tylko inni ludzie. Ponieważ zaś prawie nikt nie odda ich nam dobrowolnie darmo, więc musimy je brać albo przemocą, albo tylko za zgodą posiadacza. W pierwszym przypadku musiałbym użyć swojej siły na odebranie, w drugim również siły, ale już tylko w celu otrzymania przedmiotu upragnionego za zgodą posiadacza. Zamiast więc zużywać siłę w celu odbierania, a później tracić na obronę przed odbieraniem można jej użyć do wytwarzania większej ilości dzieł, które umiem sporządzić, a których „on” nie umie, ale napewno może potrzebować — i wystarczy oddać mu owo dzieło wzamian za przedmiot, którego pożądam. Wówczas siła moja z narzędzia przemocy przeobrazi się w narzędzie twórczości, a gdy to samo zajdzie z drugiej strony, obie siły ujemne i szkodliwe przeobrażą się w dodatnią i pożyteczną. Kosztem siły, która byłaby strwoniona w akcie wydzierania, powstaje akt twórczy i nowe dzieło ludzkie. Na miejsce gwałtu występuje więc wymiana dobrowolna.

Oto dlaczego się zamieniamy. Jest to dla obu stron korzystne. System pracowania dla innych kryje w sobie źródło takich korzyści, jakich nie daje system wystarczania sobie. Zarazem zaś taki system, ugruntowany na wzajemnej

użyteczności, jest przyczyną powstania całej nauki ekonomii która ma badać słuszność zamian, abyśmy nie popełniali bądź omyłek mimowolnych, bądź nadużyć. Właśnie w tym celu zjawiła się potrzeba miernika dla prac i dzieł ludzkich, abyśmy jedni drugich nie krzywdzili przy zamianach.

Rozpatrzmy się tedy w sytuacji, która wytwarza konieczność płacenia sobie wzajemnie trudem za trud, własnością swoją za własność cudzą.

Zjawiają się dwa przedmioty budzące pożądanie, „mój” i „jego” oraz chęć dobrowolnego oddania sobie wzajemnie przysługi. Jako konsekwencya takiej sytuacji musi się zjawić potrzeba oceny, oszacowania obu dzieł, bo przedmiot, który ofiarowuje jest zapłatą, za ten, który biorę wzamian. I otóż dochodzimy do punktu drażliwego w nauce gospodarstwa. Zwykle powiadają nam, że ocena polega na porównywaniu wartości i przedmiotów, będących objektem wymiany, ale w tem orzeczeniu popełnia się logiczne salto morale. My bowiem sprowadzamy tylko dwie usługi do jednej ceny. Czegóż oceną jest cena przedmiotu pożądanego? Nie jakiejś tam wartości, o której nikt nie myśli w akcie targu, lecz szacowaniem trudu własnego, który poniosłem oraz domyślnego trudu cudzego, który „on” poniósł, a o którego wysokości mam bardzo słabe pojęcie. Więc używane są wszystkie zasoby doświadczenia, domyślności i sprytu, aby odgadnąć: czy nie zostanę pokrzywdzony, ale cała ta wiedza praktyczna nie prowadzi do ocen dokładnych ani pewnych. Zamieniamy się potrosze na „chybił-trafił” i jakoś dochodzimy do zgody, a co ciekawsze, najczęściej nie wychodzimy pokrzywdzeni. Czem się to dźać może? Oto tem, że my sobie płacimy tylko ceny, ale nie wartość przedmiotów wymienianych. Tej wcale nie znamy, domyślamy się tylko jej istnienia my, teoretycy, którzy usiłujemy zgłębić tajemnicę zysków realnych, które daje nam twórczość nasza obok niewątpliwego zaspokojenia subiektywnych pragnień.

Kto sprawę zamieniania się wytworami przenikliwie rozważa, ten natychmiast spostrzeże, że gdyby produkty ludzkie były dziełem tylko poziomej pracy, wówczas owoce pracowa-

nia z a w s z e b y ły b y s k r o m n e, utrzymywałyby się też stale znaczna równość posiadania. Znaczniejsze bogactwo byłoby zjawiskiem wprost nieznanem, albowiem bogacić się możnaby tylko wyraźną krzywdą innych. Nie byłoby więc to cierpiane, jako jawne i ciężkie przestępstwo.

Takie stosunki nie są rzeczą nieznaną. Życie ludów, pozostających w tak zw. stanie „dzikości” daje ich obraz dość wierny. Przyczyną takiego stanu słaba wydajność pracy, uwarunkowana powszechną ciemnotą.

Sam więc fakt, że stosunki w bardziej oświeconych społeczeństwach nigdy nie układały się w ten sposób wskazuje, że założenie co do pracy musi być nieprawdziwe.

Aby jednak postępować systematycznie, choć wiemy już w czym ono chybia, postarajmy się zrozumieć: czemu ludzie tak chętnie zamieniają się swemi dziełami i własnościami?

Oto dla tego, że dzięki swym specjalnym uzdolnieniom pracują coraz owocniej. W dziełach ich tkwi coraz więcej pracy martwych sił, więc każdemu łatwo zbywa pewien nadmiar, darowany przez przyrodę, za sprawą jego mądrości, pozwalającej mu korzystnie oddawać własny wyrób za wyroby cudze.

Śmiało też możemy już odsłonić tę prawdę, że każda cena normalna rynkowa, którą płacimy za cudzy wyrób, jest o wiele niższą od tej, którąbyśmy musieli zapłacić pracą własną. Zawsze wyroby obce nabywamy zbyt tanio w porównaniu do ich przedmiotowej wartości.

Gdybyśmy się zaś uparli przy zdaniu, że w towarach nabywamy pracę, to należy pamiętać, że nie może to być nabywaniem pracy cudzej, ale raczej własnej, za oszczędzonej nam za sprawą władz psychicznych producenta. Gdy zaś obaj wymieniający są najczęściej w tem samym położeniu, łatwo zrozumieją, że obaj odnoszą korzyść, żadnej nie ponosząc straty.

To jest cecha zamian normalnych. Rzecz prosta, że zdarzają się zamiany, w których tylko jedna strona odnosi korzyść, ale nie mogą one świadczyć przeciw zasadzie. Jednak ponieważ się zdarzają, zjawia się potrzeba oceny obu produktów, potrzeba porównywania ich wartości”:

I oto zjawia się tajemnicze, a doniosłe słówko „wartość” obok pragnienia posiadania miary, któraby pozwoliła przy wymianach oddawać możliwie „równe wartości”.

* *

Wspominaliśmy już, że pojęcie wartości płacze się bardzo łatwo z pojęciem użyteczności, które nie może być przewodnikiem przy zamianach. Wspominaliśmy także, iż myśliciele oddawna próżno poszukiwali miary, pozwalającej sprawiedliwie wymierzać wartość przedmiotów niepodobnych; że poszukiwali próżno czegoś, coby we wszystkich dziełach ludzkich tkwiło i nadawało się do mierzenia. I wiemy już, że wielu ekonomistów dostrzegło ten wspólny pierwiastek w pracy. Niektórzy, jak Adam Smith, zorientowali się zaraz, że jednak praca na miernik się nie nadaje, ale w zapale nieścisłego myślenia nie dostrzegł tego, albo nie chciał widzieć Marx, autor najgłośniejszej teorii pracy. Wyzyskał też z największym talentem i rozmachem myśl swoją, pociągając za sobą mnóstwo umysłów z pośród niezadowolnionych z istniejącego porządku gospodarczego.

Jakkolwiek jednak teoria Marxa olśniła wiele umysłów nadzwyczajną swoją prostotą, a zyskała sympatyę dusz wzniosłych bolejących nad upośledzeniem klas ciężko pracujących, poczęły się podnosić coraz silniejsze, czysto naukowe wątpliwości nie tylko co do trafności samej zasady, ale i co do jej słuszności w praktycznym zastosowaniu. Jednak trzeba to sobie powiedzieć, że ponieważ lepszego miernika nikt nie mógł znaleźć, bo go nie ma z powodu ogromnej zawiłości rachunku, jaki trzebaby przeprowadzać, więc myśl Marxa wciąż znajduje zwolenników, gotowych do wprowadzenia jej w życie. Całej jej niejasności i bezpodstawności nie umiano rozwikłać i dowieść z tego powodu, że autor jej spletał do ostateczności trzy pojęcia ekonomiczne: wartość przedmiotową z użytecznością (czyli z tak zwaną wartością użytkową) i z ceną. Proces wymienny przedstawił całkiem mylnie i długo nie umiano się na tem poznać, a właśnie owo błędne przedstawienie tego

procesu było fundamentem dla całej wzniesionej na nim budowy.

Aby to wytłumaczyć w sposób najprostszy, musimy oświadczyć, że proces wymienny nie odbywa się wcale przez szacowanie ilości pracy cudzej, tkwiącej w towarze. Przecież motywem pożądanego przedmiotu cudzego jest wcale nie praca cudza, ale tylko określone przymioty przedmiotu cudzego. Choćbym przypuszczał, że tam pracy cudzej wcale nie zużyto, pożądanie moje przez to się nie zmniejszy. Nie pytam nawet ile tej pracy biorę, a choćbym pytał, nie dowiem się. W tej samej niewiadomości pozostaje i druga strona — i jakoś dochodzimy do zgody.

Aby zrozumieć czemu tak łatwo dochodzimy do zgody i czemu rzadko czujemy się pokrzywdzeni—trzeba zwrócić uwagę na okoliczność niezmiernie ważną, że zamiana nasza nie jest prostą, lecz możnaby ją raczej nazwać skrzyżowaną. Ja daję towar za nie-towar i on daje towar za nie-towar. Mój przedmiot jest tylko dla mnie towarem, jego zaś tylko dla niego. Podobna okoliczność niweczy gruntownie ten charakter transakcyi, który chcieli jej nadać ekonomiści obozu antipsycho-logicznego.

XIV.

Cena niema nic wspólnego ani z wartością, ani z ilością pracy ludzkiej, włożonej w dzieło.

Nie dosyć na tem. Całą kwestyę wartości powikłano z trzecie jeszcze rzeczą, mianowicie z ceną, z zapłatą.

Wiadomo, że o wysokości zapłaty decyduje wprost p o d a ż i p o p y t, często zaś proste „widzi mi się”. Każdy przedmiot

może mieć ceny rozmaite. Wygłaszamy przecież sądy: „kupiłem coś tanio”, „kupiłem drogo”. W tych wyrazach mieści się myśl, że zapłaciłem coś niżej wartości lub drożej niż warto. Jakieżże tedy prawem cena towaru może być uważana za jego wartość?

Gdy jestem głodny w oblężonem mieście, cena bochenka chleba może przewyższyć w iście fantastyczny sposób jego „wartość przedmiotową”, zamienną, która ma być wyobrazicielką pracy, wyłożonej na wyprodukowanie owego bochenka¹⁾. Naprózno będę się wówczas powoływał na jego „wartość” normalną. Wobec konkurencyi innych głodnych, oddam nawet cenny zegarek za chleb, od którego zależy utrzymanie mego życia.

Jeśliby cena miała być wartością towaru, wówczas złoty zegarek byłby wartością owego bochenka. O którejże to wartości mowa? O „przedmiotowej?” Nigdy! Więc może o „użytkowej?” Także nie, albowiem nawet w chwili oddawania zegarka za chleb mam pełne poczucie niesprawiedliwości tej zamiany. A zatem, to co oddaję za chleb, to tylko cena. Dość tego przykładu, aby zrozumieć, co za sprzeczności mieszczą się w teorii Marxa. Zastanówmy się tylko: U niego źródłem wartości (przedmiotowej) ma być praca. Miarą wartości—znowu czas pracowania. I nagle—wyrazem wartości cena, która zależy tylko od zmiennych konjunktur rynku! W cóż się obraca ścisłość teorii, oparta rzekomo na niewzruszonej podstawie? Teoria wartości Marxa jest jednym wielkiem nieporozumieniem.

Wszak jeżeli przedmiotowi skończonemu nadała pewną „wartość”, pewna „ilość pracy”, to ilość tej pracy nie może się już zmniejszyć, ani powiększyć, więc i wartość jego musi pozostać niezmienna, bez względu na to, czy przedmiot zostanie sprzedany za rzecz mniejszej wartości lub większej. On

¹⁾ Dowodów tego w naszym okresie wielkiego zrujnowania równowagi handlowej mieliśmy i mamy jeszcze na każdym kroku tysiące. Zbytecznem byłoby przytaczać ceny wielu produktów, ceny przewyższające dawne, normalne, o kilkadziesiąt a nawet znacznie więcej razy.

wartość swoją obiektywną (wkład „pracy”) nosi w sobie, jedną, niezmienną, bez względu na losy, które staną się jego udziałem. Ale pomimo to może mieć choćby sto cen różnych.

Jeśli każdą z tych cen zaczniemy nazywać wartością w coś się obróci logika?

W jakiejże nauce mogłaby być cierpiana podobna sprzeczność pojęć podstawowych.

A jednak Marxiści tolerują takie sprzeczności i nawet zdają się ich nie widzieć. Mimo to obstają przy doktrynie, jako rzekomo opartej na ściśle naukowych podstawach.

Marxiści dlatego potępiają stosunki oparte na spółzawodnictwie, że ono rujnuje niegłęboko ujętą teorię wartości, teorię, która z powodu idei z góry powziętych pomieszała wartość przedmiotową, niezmienną, z ceną rynkową, ulegającą wahaniom.

Gdy cena nie zależy od ilości „pracy” w przedmiocie, ale od ilości takich przedmiotów na rynku, czyli od ilości pożądających, od spółzawodnictwa, — przeto zamiast spostrzedz, że ceny nie można identyfikować z wartością przedmiotową, zamiast cofnąć się z drogi, która doprowadziła do błędu i sprzeczności, obmyśla się środki, z pomocą których, dałoby się uchylić spółzawodnictwo, najpotężniejszy bodziec twórczości i cywilizacji. Spółzawodnictwo sprawia, że cena nie przedstawia nic stałego, a ponieważ teoria chce, aby cena była wyrazem wartości i to wartości „czasu pracy” — ponieważ teoria chce, aby czas pracy by miarą zarówno wartości, jak i ceny, więc wniosek prosty: — spółzawodnictwo jest szkodliwe i wszystko jest szkodliwe, co sprawia, że czas pracy nie bywa miernikiem ceny. Należy dążyć do ujednostajnienia ceny z wartością przeciętną „pracy!”

Zaślepionego ideologa mało obchodzi kwestya wykonalności takiego zadania i trwałości stosunków, opartych na przymusowej cenie, mało obchodzą skutki, jakieby podobna korekta porządku społecznego sprowadziła, bo jemu chodzi o dopasowanie rzeczywistości do idei z góry powziętej. *Pereat mundus — fiat doctrina!*

Cóż więc się robi na widok cen amatorskich lub wy-

muszonych przez konieczność, rażąco przeczących teorii? Powiada się, że one nie powinny wchodzić w rachubę, bo to są wyjątki. Niechby i tak było, możnaby się zgodzić na istnienie wyjątków od reguły, ale wówczas tylko, gdyby istniały jakieś ceny, niezależne od okoliczności. Takich cen jednak niema wcale, najmniejsza bowiem chwiejność ceny, tyleż waży dla teorii co największa — a wszystkie ceny normują się zależnie od okoliczności, nic wspólnego z „wartością przedmiotu” nie mających. Istnienie więc samych wyjątków od rzekomej reguły najdobitniej świadczy o iluzoryczności reguły.

Wysokość zapłaty i wartość przedmiotowa są to pojęcia zgoła odrębne i nie zależą od jednych przyczyn. Gdy wartość towaru musi być jedna — skądże przypuszczenie, aby którakolwiek z cen miała być synonimem wartości. Jeśli nawet która była zgodna z wartością—co się może zdarzyć i zdarza, będzie to tylko przypadkowa zbieżność. A tymczasem nawet w elementarnych podręcznikach powtarzają nam, że regulatorem wartości (!) jest stosunek podaży do popytu” (np. Stecki). Przecież tu najwyraźniej mowa o cenie, ale bierze się ją za jedno z wartością!

Cóż warta ekonomia, która takich rzeczy nie rozróżnia? A jednak jest to wspólną wadą wszystkich teorii ekonomicznych, że mieszają cenność z wartością.

Wniosek z powyższego płynie następujący:

1) Wartość przedmiotowa nietylko Marxa, Kautsky’ego oraz innych mechanistów, ale nawet i szkoły psychologicznej nie jest wartością przedmiotową.

2) Wartość zamienna wszystkich razem — także nie jest wartością przedmiotową, nie jest wogóle wartością, lecz ceną.

3) O cenie decyduje przedewszystkiem niestały stosunek, zachodzący między ilością przedmiotów danego gatunku, a ilością oraz zamożnością pożądaną, czasem zaś przypadek lub przymoc.

Czyli: cena niema nic wspólnego ani z wartością przedmiotową, ani z pracą.

Aby się najdosadniej przekonać, że cena miema nic wspólnego ani z wartością, ani z pracą, wyobraźmy sobie, że wszystko, co ludzie produkują, powstaje bez pracy ludzkiej. Wyobraźmy więc sobie, że sami ludzie są glebą, z której powstają wszystkie dobra w tej samej ilości i doborze, jak dotychczas. Załóżmy dalej, że ludzkie gusta i potrzeby są po dawnemu zróżnicowane. Ludzie zatem używają bez pracy. Tworzy za nich przyroda, tylko, że tworzy w ograniczonej ilości. W takim razie bogactwo zostanie czem było, tylko nie będzie nazywane „pracą zobiektywizowaną”, bo pracy niema.

Pierwszym skutkiem podobnej sytuacji będzie, że dobre owe przestaną być wartością w sensie szkoły Marxa.

Jakże ludzie będą się obdzielać płodami bez wartości przedmiotowej, ale pożądanymi? Czy będą je sobie darmo oddawali, skoro ich nic nie kosztują?

Nic podobnego nie zajdzie. Gdyby ktoś swoje przedmioty zaczął oddawać darmo, wówczas pożądanicy rozbiorą je w jednej chwili i posiadacz rychno się opatrzy, że wyrządził sobie krzywdę, albowiem choćby mu ten i ów równie darmo udzielił swego dobra, to jednak wielu rzeczy potrzebnych nie otrzyma w taki sposób, gdyż producenci rozdali je w pierwim innym. Następną też partycję dóbr swoich, zacznie już oględniej rozdawać, żądając wzamian od „piekarza” chleba, od „szewca” butów, od „zegarmistrza” zegarka i t. d. I tak zacznie kupczyć, bacząc, aby mu „dobra własnego” starczyło na zaspokojenie możliwie największej ilości potrzeb własnych. Przedmioty nie mające wartości przedmiotowej (wartości pracy) i nikogo nie nie kosztujące, będą posiadać mimo to cenę i staną się towarami.

Stosunki ułożą się, jak układają się dzisiaj. Wszystko będzie się odbywać tak, jak gdyby praca była i odgrywała rolę którą jej klasycy i mechanicyści przypisują.

* * *

Aby stało się jasnym, że nie popełniliśmy dowolności w powyższem rozumowaniu, dość będzie zaznaczyć, że praco-

wanie to tylko jeden warunek tworzenia, ale ogólny. Drugim, równie niezbędnym jest już swoista twórczość osobników zróżnicowanych. W ten drugi warunek nie wszyscy są jednakowo uposażeni, a właśnie tylko on jest źródłem i przyczyną różnorodności dzieł.

O ile więc chodzi o „ten”, nie zaś „tamten” przedmiot, lub „jakikolwiek”, — to takiego warunkiem koniecznym jest swoista dla takiego przedmiotu twórczość osobnika czy osobników. Wiadomo, że kowal nie wytworzy trzewika lub garnka, szewc nie zrobi zamku do drzwi. Swoista twórczość każdego jest ograniczona, ale pomimo to, jest niezbędna, bo nie daje się zastąpić przez żadną inną twórczość. I taką „twórczość” mielibyśmy niwelować pod nie mówiącą nazwą „pracowania”.

Ależ z taką twórczością, mamy do czynienia w całej przyrodzie i rachujemy się z nią na każdym kroku — a nie nazywamy jej wcale „pracowaniem przyrody”¹⁾.

Nie praca zatem jest źródłem dzieł ludzkich, ale specjalne zdolności, czyli własności twórcze osobników zróżnicowanych. Bez nich ludzie tyleby właśnie tworzyć mogli—co zwierzęta.

¹⁾ Swoista twórczość jabłoni wywołuje powstawanie jabłek, twórczość zaś daktylowca — powstawanie daktyli. Wolno utrzymywać, że „źródłem” jabłek jest wewnętrzna „praca” jabłoni, ale kogóż obchodzi kwestya: czy jabłoń „pracuje?” Nas obchodzi to tylko, że jabłoń tworzy to, czego żadna inna roślina nie tworzy. Ilekroć więc potrzebujemy jabłek, musimy zwrócić się koniecznie do jabłoni. Nam potrzebne są tedy własności twórcze jabłoni, nie zaś „praca” przyrody, gdy chodzi o jabłka, własności twórcze żyta, gdy chodzi o ziarna żyta, własności jesionu, gdy chodzi o drewno jesionu, własności twórcze kury, gdy chodzi o jaja.

Analogicznie z tem wszystkim—gdy potrzebujemy butów musimy się zwrócić do twórczości szewca, nie zaś do kowala, stelmacha lub tkacza, tylko do specjalnych wytwórców. Trud ich jest nam tak obojętny, jak wewnętrzna praca roślin w tworzeniu owoców nam użytecznych, nieobojętną tylko jest ich fachowa twórczość, której nie może zastąpić żaden inny rodzaj twórczości.

XV.

Towar przedmiotem sprzedaży, lecz nie kupna. Ważne konsekwencje tego twierdzenia.

Marx powiada w swym „Kapitale”, że dzieła ludzkie, jako wartości (przedmiotowe) są wyrażeniem pracy ludzkiej, wydanej na ich wytworzenie (patrz Kapitał, wyd. pol., t. I, str. 17). My doszliśmy do innego wyniku. Przekonaliśmy się, że zamiana praktykuje się dlatego, że jest korzystna dla obu stron, ponieważ pozwala nam wszystkim brać więcej, niż dajemy z siebie, i to bez krzywdy drugiego.

Tajemnica takiej praktyki kryje się właśnie w wartości przedmiotowej, ponieważ bywa ona zwykle większa od ceny i wcale niezależy od ilości pracy własnej, wkładanej w wytwory.

Teraz możemy pokusić się o wytłumaczenie przyczyny, dla której proces wymiany został ujęty i przedstawiony niewłaściwie.

Trzeba tylko przedtem omówić wyraz „towar”, którym wypadnie się posługiwać. Wyraz ten kryje znaczenie, co do którego nie powinno być wątpliwości.

W oczach ekonomisty wszystko, co wchodzi do obiegu gospodarczego, jest towarem.

Jednak każdy przedmiot staje się towarem tylko gdy jest wystawiony na sprzedaż, pozatem pozostaje zwykłym dobrem ludzkim. Gdy mowa o towarze, może być mowa tylko o jego cenie. Przedmiotowa wartość towarów jest nam prawie zawsze nieznaną; znamy tylko ich ceny. To, o czym Marx mówi, jako o wartości, jest tylko ceną¹⁾,

¹⁾ On sam przecież nie pozostawia co do tego wątpliwości. Wszak powielekroć zapewnia, że cena—, to pieniężny wyraz wartości towa-

* * *

Wiadomo, że jedna pomyłka w rachunku lub rozumowaniu, zwłaszcza początkowa, pociąga za sobą cały szereg innych i kończy się zejściem na fałszywe tory. Tak się stało z teorią, która wzięła mylnie cenę pracy za jej wartość. Trzeba było póty naginać rzeczywistość do fałszywego założenia aż się wybrnęło niby z trudności przez takie jednak zaplątanie sprawy, że już pogwałcenie logiki ukryło się w natłoku rozumowań naciąganych. Omyłkę utopiono właśnie w odmieć, który wytworzono dokoła pojęcia „towaru”.

Z „towaru” zrobiono coś tak zagadkowego, że trzeba już wysiłków, aby nie zatonać w odmieć abstrakcyi. Autorowie obozu mechanistycznego zdołali najeżyć kwestyę towaru takimi trudnościami, że mogą onieśmielić nielada wyrobiony umysł. ¹⁾

ru“ (Kapitał, rozdz. 3, str. 26), albo „to nazwa pieniężna pracy“, zrealizowanej w towarze (rozdz. 3, str. 29). Miesza on ustawicznie wartość z ceną; nie waha się przeciw powtórzyć zdania Hobbesa, iż „wartością człowieka jest jego cena, czyli to, co trzeba zapłacić za używanie jego siły“.

¹⁾ Oto, co mówi Marx w pierwszym rozdziale swego „Kapitału”: „Towar wydaje się na pierwszy rzut oka czemś bardzo pospolitem, czemś, co się rozumie samo przez się. Rozbiór nasz pokazał jednak, że to rzecz bardzo złożona, pełna subtelności metafizycznych i teologicznych. O ile go rozpatrujemy, jako wartość użytkową, niema nic tajemniczego ani w tem, że zaspakają przez swe własności potrzeby ludzkie, ani tem, że jego własności zawdzięczają swe istnienie pracy ludzkiej“...

„Cóż bowiem prostszego nad to, że czynność ludzka przekształca dostarczane przez naturę materję dla nadania im użyteczności. Tak np. forma drzewa zmienia się, gdy zeń zrobimy stół, a pomimo to jednak stół pozostaje drzewem, rzeczą zwyczajną, podpadającą pod zmysły. Postać rzeczy wnet się zmienia, skoro tylko występuje, jako towar. Wtedy jest on zarazem pochwytnym i niepochwytnym i już nie staje prosto na ziemi, lecz się wspina na swej drewnianej głowie wobec innych towarów i wyrabia jeszcze dziwniejsze sztuki, niż gdyby się puścił w tany”. K. Marx. Kapitał. Rozdz. I, str. 16.

W ten sposób rozpoczyna Karol Marx swój sławny rozdział, traktujący pytanie: „dla czego towar ma charakter fetysza?” Bo i to jeszcze trzeba przypomnieć, że Marx demaskuje niby fetyszowy jakoby charakter „towaru“, mający utrudniać pospolitym umysłem jego zrozumienie, zwolennicy zaś jego traktują owo dowodzenie jako coś kapitalnego

Mocno wierzymy, że kto raz pomiesza cenę z wartością, temu towar musi ukazać się jako rzecz, obdarzona własnością wyłaniania z siebie tego, czego, jak się zdawało, nikt w nią nie wkładał. Mianowicie, z towaru, będącego skończoną wartością, wyłania się przy zamianie wartość większa od poprzedniej. Marx nazywa to, co się nagle ukazało, — wartością dodatkową, Kautsky nadwartością, pospolici ludzie — zyskiem. Ponieważ jednak cuda nie dzieją się na świecie, trzeba było znaleźć prozaiczną genezę tej nadwartości, która zjawiła się nagle. Skądże się wzięła? Skoro, zdaniem Marxa, nie było jej poprzednio w towarze, a nie mogła powstać z niczego, przeto musiała zostać komuś wydarta. Nadwartość powstała tedy z... krzywdy spożywcy, albo robotnika, albo obu razem, wyzyskanych przez... kapitalistę. Cud rzekomy został wyjaśniony bardzo prosto i... pouczająco.

Rozumowanie to z gruntu fałszywe, oparte zostało na błędnym założeniu ¹⁾.

Skoro tylko przestaniemy uważać bezzasadnie cenę kosztu za wartość, sprawa przybierze inną postać. Faktem zostanie, że towar, wyrobiony czy kupiony za określoną cenę, został sprzedany za cenę wyższą, dając w rezultacie zysk wytwórcy lub sprzedawcy.

Skądże się bierze zysk?

Ramsay, dobrze znany Marxowi, nie miał co do tego wątpliwości. „Gdyby zysk nie istniał w towarze przed operacją zamiany, nie mógłby istnieć i po operacji²⁾. Twierdzenie to wyraża on jeszcze dobitniej, gdy mówi, że „idea zysków, płaconych przez spożywców, jest całkiem niedorzeczna”.³⁾

Słuszne spostrzeżenie, że w towarze musi tkwić już od początku wartość większa od ceny, za jaką zostaje sprzeda-

¹⁾ Że cena kosztu równa jest wartości towaru.

²⁾ G. Ramsay. An Essay on the Distribution of Wealth Edynburg, 1836. str. 184.

³⁾ Ramsay, l. c., str. 184.

ny, bardzo się Marxowi podobało, ale, z trafnego spostrzeżenia mylnie wyprowadził wnioski. Chcąc koniecznie sobie wytłumaczyć istnienie w towarze przyszłego zysku, mimo, że wobec fałszywego założenia było to niepodobieństwem, — stworzył w walce z piętrzącymi się trudnościami, całą teorię kapitalizmu i wyzysku „pracy” przez „kapitał”, konsekwentnie musiał szukać wytłumaczenia w grauicach doktryny. Musiał świadectwu rachunku powiedzieć, że kłamie.

„Róbcie, co chcecie, powiada, wartość dodatkowa (=zysk) nie powstaje ani przy zamianie równoznaczników, ani też przy zamianie wartości nierównych. Wogóle obieg, nie stwarza wartości”¹⁾, i nie może być źródłem zysku²⁾. „Tworzenie” się wartości dodatkowej... nie może wynikać ani z tego, że jedni sprzedają towary powyżej ich wartości, ani z tego, że inni kupują je taniej”³⁾. „Cała klasa kapitalistów pewnego kraju nie może ciągnąć zysków sama z siebie”⁴⁾, a więc... skoro pokrzywdzonym musi tu być ktoś, a nie może tu być nim kapitalista, bo on zyskuje, przeto musi być pomocnik jego, t. j. ten, od którego kapitalista kupuje pracę.

Nie mogąc pojąć, aby istota towaru, polegała na istnieniu w nim pewnej ilości pracy, której bezpośrednio nikt w ów towar nie wkłada, Marx istnienie w towarze większej ilości pracy ludzkiej, którą wkładają weń wytwórcy, — nazywa złudzeniem.

Demaskuje tedy owo złudzenie twierdząc, że (owa) pozornie większa wartość (wartość dodatkowa = zysk) wypływa z niedopłaconej wedle wartości⁵⁾ pracy robotnika.

Jak widzimy Marx po zamianowaniu ceny wartością znalazł się w położeniu bez wyjścia. Chcąc być konsekwentnym, musiał błąd podstawowy zmyć kosztem oczernienia

1) K. Marx, Kapitał, wyd. polsk. str. 55.

2) K. Marx, I. c. 53.

3) Marx, I. c. str. 54.

4) Marx, I. c. str. 55.

5) Zapomniał już, że sam mówił, iż „wartością człowieka jest jego cena!”

wszystkich kupujących pracę. Zamiast zrezygnować z twórczenia teorii naukowej, dopóki do gruntu nie zrozumiał zjawiska istotnie zagadkowego, zanadto sobie zaufał—dzięki niepospolitej zręczności dyalektycznej, wytworzył naukę (teorię) o powszechnym wyzysku „pracy” przez „kapitał”; o wyzysku, mającym płynąć już z samej natury „ustroju kapitalistycznego”. Nie nadużycia, potępił, ale postawił pod pręgierzem cały istniejący ustrój społeczny, jako oparty zasadniczo na wyzysku najuboższych. Wyobraził sobie nawet, że można go zastąpić lepszym porządkiem. Uwierzono mu skwapliwie, bo jakże nie uwierzyć dobrej nowinie, że jeżeli cierpimy brak, to z cudzej winy, a więc da się to naprawić. Rozgoryczył w ten sposób szerokie masy, zapalając w ich sercach pochodnię nienawiści do „pijawek, tuczących się ich krwią”, rozdarł społeczeństwo i tak już zwaśnione na tle niemiłknącego w nikim głodu społecznego, na dwa jeszcze bardziej wrogie obozy, bo obudził nadzieje, które ziścić się nie mogą, i dojrzał niesprawiedliwości nawet tam, gdzie ich niema.

Jedno niedopatrzanie, zbytnia pewność siebie, szlachetna gorliwość—i jakie skutki!

Czas zrehabilitować towar. On istotnie mieści w sobie to, czego pozornie nikt weń nie wkładał, a już napewno czego nie włożyli weń robotnicy.

Jeżeli potrzebuję butów, a jestem stolarzem, nie mogę pójść do szewca z krzesłami, bo chociaż on używa krzesel, ale już je posiada. Moje krzesło nie byłoby tedy dla szewca ideałem chwili, co zaś jest obecnie jego ideałem — tego nawet nie wiem. Chociaż więc posiadam towar, użyteczny dla innych, nie łatwoby mi było znaleźć takiego szewca, który właśnie potrzebuje krzesel. Nie tylko w tym przypadku, ale prawie zawsze i każdy znajdowałby się w podobnym kłopotcie.

Weźmy drugi przykład. Jeśli jestem szewcem, również nie kupię wprost za swoje buty ani gwoździ, ani cukru, ani szafy.

Wszystkim podobnym niedogodnościom zaradza dopiero istnienie osobliwego towaru, który wszyscy biorą i dają. Jest

to uniwersalny pośrednik, niezmiernie ułatwiający zamienianie się. Nazywa się pieniądź.

Ale i pieniądź ma dwa oblicza: towaru i nie-towaru, pomimo, że, naprawdę nie przestaje nigdy być towarem i nigdy nie staje się czem innym, jak tylko towarem. Cała osobliwość dwulicowości jego bez faktycznej dwulicowości polega na tem, że jest zastępcą prawdziwych towarów, rzeczy dwulicowych, więc już w chwili pożądania pieniądza upatruję w nim to, co chcę za ów pieniądź nabyć — a zatem ideał mój.

Więc obaj kupujący zawsze wpatrzeni są w ideały, a nie w „towary” i biorą swe ideały, nie zaś towary.

Przy dokonywaniu zamiany chodzi nam zawsze o zrealizowanie ideału chwili. Ideałem naszym nie może być „towar”, ale rzecz, o której przypuszczamy, że posiada cechy, stanowiące o jej przymiotach.

Posiadacza zaś naszego ideału skłaniają do wchodzenia z nami w stosunek wymienny te same pobudki, tylko zwrócone w stronę naszego przedmiotu. A zatem tylko wtedy gdy sprzedaję widzę w mym przedmiocie towar, ale pragnę otrzymać wzamian cudzy, przedmiot pożyteczny lub korzystny, wcale zaś nie towar cudzy. I to samo dzieje się z nabywcą mego towaru.

Wyżej zaznaczyliśmy, że zamianę towarami możnaby nazwać skrzyżowaną. Ja daję towar za nie-towar, i on daje towar ale za nie-towar. W takich warunkach zarówno mój przedmiot, jak cudzy, jest Janusem o dwóch obliczach. Każdy ma jedno oblicze towaru, stale zwrócone do swego właściciela i drugie: cudzego ideału — zwrócone znowu stale w stronę kupującego. Gdy tak sobie wyobrazimy oba „towary”, łatwo dostrzeżemy, czemu „towary” gdy zmieniają właścicieli, tracą natychmiast dla obu stron swój poprzedni charakter. Oto dla tego, że one dla nich nigdy innego nie miały. Obaj nabywcy przychodzą z „towarami” — po ideały, więc po zamianie unoszą ze sobą swoje ideały, osiągnięte za cenę towarów. Obaj kupujący, a możemy także powiedzieć obaj sprzedający, przychodzą jeden do drugiego, wpatrzeni tylko w swoje „ideały”, a nie w „towary”.

Tu musimy podnieść fakt, że zwykle nie zamieniamy się towarami w tak prosty sposób¹⁾.

Wymiana tedy jest aktem równoczesnego zaspokajania dwóch braków, jest zamkniętym kołem, w którym występują dwie żądze i dwa zaspokojenia. Towar mój jest tylko sposobem zaspokojenia moich własnych żądań, ale nie przedmiotem kupna. Odgrywa on rolę zapłaty. Oto cała jego metafizyka.

Zamiana przedmiotowo korzystna niekoniecznie musi polegać na wzięciu większej ilości pracy wytwórcy mego „ideału”. Wartość przedmiotowa jest nam przecież dotychczas nieznana, musimy więc ją pierwej zrozumieć, aby zrozumieć w czym leży korzyść wymiany. Narazie możemy przypomnieć to tylko, że zamiany właśnie dlatego są tak powszechnie praktykowane, iż „pozwalają nam wszystkim brać więcej, niż dajemy, i to bez krzywdy oddającego swój towar”.

Jak to być może? Przecież to wyraźny nonsens, powiedzą nam. Wcale nie! Ekonomiści słusznie dostrzegli przedmiot wartości w dziele twórczości ludzkiej, tylko nie zrozumieli, że wartość przedmiotowa, której poszukiwali, wcale nie leży w ilości pracy, wyłożonej przez wytwórcę, ale właśnie w czemś biegunowo przeciwnem, mianowicie w pracy, oszczędzonej nabywcy. Ona to właśnie, ta praca oszczędzona, więc podarowana nabywcy, stanowi całą rzeczywistą wartość towaru, cały magnes, pociągający nas do zamieniania się; ona stanowi całą i to przeważnie ogromną korzyść, płynącą dla wszystkich z zamian. Twierdzenie to uzasadnimy na właściwem miejscu.

1) Nawet jeśli zamieniają się dwaj kupcy, nabywający do odprzedaży, zachodzi ten sam stosunek.

Jeden sprzedaje kupione buty — jako towar — ale pieniądze bierze jako swój ideał. Drugi sprzedaje pieniądze za buty, których wprawdzie sam nie potrzebuje, ale w nich widzi inny swój ideał, mianowicie większą sumę pieniędzy od tej, którą zapłaci. Ideał obu jednak, mianowicie pożytek, ucieleśniony w zysku.

*

*

*

Trudno pojąć, jak można było cały zysk, osiągnany z zamieniania się towarami, przypisywać wyzyskowi klasy ciężko pracującej! Jest to rzeczą wprost kompromitującą choćby prosty zmysł obserwacyjny marxistów, że nie dostrzegli, iż wyzysk taki — wprost nie byłby możliwy, bo niktby nie mógł długo utracać owoców swej pracy na rzecz innych.

Pomijając już wszystkie hojne szafowania, a nawet marnowania dzieł ludzkich, dość wziąć pod uwagę samo pośrednictwo w handlu. Wszak ono stale podnosi ceny kosztu niemal wszystkich towarów przez dodawanie do niej ceny pracy oraz zysku pośredników. Gdyby w cenie kupna spożywca płacił oprócz pełnej wartości towaru jeszcze cenę pracy pośredników, to niewątpliwie przepłacałby mocno przedmiot pożądany. Skutki zaś podobnego przepłacania nie dałyby na siebie długo czekać. Cały ogół pracujący, zubożałby w krótkim czasie do tego stopnia, że nie byłby w stanie zaspokajać żadnych potrzeb życia cywilizowanego. Społeczeństwa zatem żyłyby czas krótki pod obuchem najbezwzględniejszego „kapitalizmu”, póki, z nieuchronną koniecznością bankrutów nie zatonąłby wraz z kapitalistami i pośrednikami, w nędzy powszechnej, płynącej z wyczerpania sił. Tak właśnie przedstawiają nam „ustrój kapitalistyczny” adherenci doktryny socjalistycznej, ale że sprawa stoi inaczej, dowodzi tego powszechny wzrost spożywczości i wzrastająca możność zaspokajania nie tylko dawnych, ale i nowo zjawiających się potrzeb, krótko mówiąc, powszechne przybywanie bogactwa i polepszanie się zamożności nawet klas najbiedniejszych, i to właśnie tam, gdzie handel i wytwórczość są najintensywniejsze, a więc tam, gdzie klasa fizycznie pracująca powinna, według teorii, opadać na coraz niższy poziom nędzy.

Skoro więc transakcje, dokonywane w takich warunkach, nie tylko nie rujnują nabywców, ale pociągają coraz nowych, to już samo wskazuje to, że wartość przedmiotowa to-

warów musi być wyższą od wszystkich cen sprzedanych, i dlatego może wyłaniać się kolejno pod postacią cen coraz wyższych, a przecież jeszcze niższych od owej utajonej wartości przedmiotów.

Zaczynamy wreszcie rozumieć różnicę między ceną, a wartością. Gdy wielkość ceny mierzę wielkością trudu własnego, który muszę wydać dla otrzymania cudzego towaru, to wielkość wartości przedmiotu cudzego oceniam wielkością trudu własnego, który musiałbym wydać dla jego wytworzenia. Przeczowali to już dawno optymiści szkoły klasycznej (Carey, Bastiat), tylko nie umieli trafnych swych intuicji uzasadnić.

XVI.

Tajemnica dźwigni i tajemnica wartości rzeczywistej.

O wartości przedmiotu decyduje ogólna ilość pracy fizycznej, wprowadzona przez twórcę czy też twórców do dzieła, ale bez względu na jej pochodzenie. Wszystko jedno, jak dzieło zrobimy, bo wartością przedmiotową jest ogólna ilość pracy fizycznej, niezbędna do wytworzenia dzieła z materiałów, dostarczonych darmo przez przyrodę. Gdy zatem duch stanowi czynnik, dzięki któremu siły przyrody (martwe i żywe) pracują na korzyść ludzi, przeto im więcej potęgi przyrody duch nasz zaprzęże do pracy, tem więcej tworzy wartości.

Wyłączenie się siłami przyrody może iść bardzo daleko.

Pierwszy poznał to Archimedes, gdy orzekł, że zdołałby sam jeden podnieść choćby całą ziemię, gdyby tylko miał drąg dość długi, a lekki — i punkt oparcia. Wprawdzie okrzyk je-

go był tylko wspaniałą przenośnią, ale zawierał rzetelną prawdę.

Jeżeli Archimedes twierdził, że byleby miał drąg, którego ramię dłuższe dość byłoby długiem do tego, aby własną siłą fizyczną przeważył ziemię, to oczywiście miał na myśli drąg idealny, czyli matematyczny, doskonale sztywny, ale dość lekki, aby człowiek mógł nim manewrować. Miał na myśli drąg nieważki.

Zdawaćby się mogło, że taki warunek, należy do nieziszczalnych, lecz nieprawda. Drąg sztywny i nieważki — to właśnie siły przyrody, ujarzmione przez ducha naszego przy pomocy niewielkiej ilości pracy naszej fizycznej, a punkt podparcia (hypomochlion); — to także siły przyrody. Nieważkim będzie on z tego powodu, że na hypomochlionie zostaje w równowadze praca fizyczna czysto ludzka, jako część ciężka przyszłego drąga. Do jednego zaś z ramion ciężkich przyczepiona może być w dowolnej ilości praca samej przyrody, ujarzmionej przez ducha. To ramię nie ma już wagi, bez względu na ilość pracy przyrody, stanowiącej jego przedłużenie, czyli bez względu na swą długość. Zostawione w spokoju nie przeważa ono ciężaru ramienia krótszego, więc wytwarza dźwignię gotową do działania. Jeżeli po stronie ciężaru będzie spoczywać na hypomochlionie jednostka fizycznej pracy ludzkiej i po drugiej to samo, ale po za tem na przedłużeniu tego drugiego ramienia będzie przymocowane 9 nieważkich jednostek pracy przyrody-ducha, wówczas wynik pracy dźwignią będzie dziesięciokrotny¹⁾.

Drągiem i punktem podparcia jest dla nas każda maszyna, bo to przedewszystkiem splątana do niepoznania kombinacja drągów i stałych punktów oparcia²⁾, to narzędzie do czerpania energii fizycznej siłami przeważnie samej przy-

¹⁾ Jednostka nowej pracy ludzkiej pokonywać będzie zawsze, dopóki dźwignia się nie zniszczy, 10 jednostek oporu, samym tylko kosztem, dziesięciokrotnie dłuższej drogi, opisywanej przez koniec dłuższego ramienia dźwigni.

²⁾ Niezbędna do tego, aby długość opisywanej drogi zastąpić praktycznym dla człowieka szeregiem krótszych odcinków tejże drogi.

rody. I dlatego mamy prawo utrzymywać, że jeden człowiek może dokonać własną siłą fizyczną tem więcej, im więcej maszyny zaprzęże do pomocy ciała swemu¹⁾.

Prosta igła — to maszyna bardzo niedoskonała, maszyna do szycia o wiele doskonalsza: pierwsza jest mało ekonomiczna, druga o wiele oszczędniejsza. Dzieło więc, wykonane zwykłą igłą zawiera w sobie dużo dawnej i nowej pracy ludzkiej (cenneści), mało zaś pracy przyrody (wartości), — takie same zaś dzieło, wykonane maszyną do szycia, zawiera dużo pracy przyrody, niewiele zaś pracy ludzkiej.

Maszyny nie rodzą się same ale tworzy je praca ludzka z pomocą innych maszyn. Każda maszyna to amalgamat fizycznej pracy ludzkiej dawnej z użyteczną pracą przyrody, uruchomioną i pokierowaną dawniej przez ducha, — amalgamat o niezawsze jednakowej proporcji obu składników, a do tego o niewidocznym składzie. Na oko trudno ocenić ekonomiczną wartość maszyny — a w konsekwencji gospodarczą wartość dzieł, wykonywanych z pomocą maszyny w stosunku do ceny tych dzieł. I o tem trzeba ustawicznie pamiętać.

Aby z ilustrować to na prostym przykładzie, jednym z tysięcy, dość powiedzieć, że obecnie, w dobrze urządzonej fabryce śpilek, jeden robotnik przerabia dziennie drut na dwa miliony śpilek. Gdyby działał najprostszymi narzędziami, jak to się niegdyś praktykowało, z pewnością nie wyrobiłby równie dobrze wykończonych śpilek więcej nad 50 dziennie. Stosunek

¹⁾ Utrzymując tak mamy na myśli, doskonałość maszyny. Doskonałość zaś maszyny zależy od wzajemnego stosunku długości jej dwóch ramion idealnych. Jedne niewiele oszczędzają ludzkiej pracy — inne znowu ogromne jej ilości. Zależy to od doskonałości struktury — czyli ostatecznie od długości zbiorowego jej ramienia nieważkiego względem ważkiego. Im dłuższem będzie ramię nieważkie (reprezentowane przez czyste siły przyrody) w stosunku do ramienia, przedstawiającego siły fizyczne ludzkie, tem większą pracę wykonywać będą siły przyrody przy tym samym wydatku nowych fizycznych sił ludzkich.

więc pracy ludzkiej do pracy sił przyrody przedstawia się tutaj (w tej części łańcucha produkcji śpilek) jak 1 do 40,000, a jeszcze trzeba pamiętać, że praca pierwotnego robotnika, którą oznaczyliśmy jedyneką była przecież nie czystą jego pracą, lecz także połączeniem obu rodzajów pracy.

Stosunek powyższy za czasów Adama Smitha nie był taki. Na jednego robotnika przypadało wówczas 4,800 śpilek, czyli stosunek obu rodzajów pracy przedstawiał się wówczas jak 1 do 96-ciu (nie zaś jak 1 do 40,000). Cóż sprawiło, że udział robotnika zmniejszył się w tej fazie niemal 400-krotnie. Oto wzrost wiedzy technicznej, czyli wpływ kategorii psychicznej.

Kto cenę poczytuje za jedno z wartością (przedmiotową) powie, że tutaj wartość uległa odpowiedniemu zmniejszeniu, i będzie w błędzie. Skoro towar jest taki sam, jak poprzednio, to i wartość jego musi być też sama. Zmniejszeniu zaś uległa cena śpilek ¹⁾, nigdy zaś wartość.

* * *

Wartością towaru jest tedy wartość koniecznej do jego wytworzenia prostej pracy fizycznej, oceniona na podstawie pewnej stałej ceny za pewną jednostkę pracy fizycznej ludzkiej.

Gdybyśmy w towarze płacili pracę przyrody na równi z fizyczną pracą ludzką, wówczas cena towaru byłaby zawsze równa jego wartości. Ale tak się nie dzieje.

Lubo już wiemy, co jest wartością przedmiotową, rzeczywistej wartości dzieł ludzkich nie znamy, rachunek bowiem dla mnóstwa niewiadomych nie jest możliwy do przeprowadzenia. Mamy jednak środek do przekonania się o jej wysokości w sposób słabo przybliżony do prawdy. Do tego celu może służyć wiele przedmiotów, które niegdyś produkowano ręcznie, dziś zaś w sposób wielce udoskonalony, maszynowy. Przybliżoną wysokość ich wartości możemy poznać, porównywając czas dawniej potrzebny do ich wykonania

¹⁾ Lubo nie w proporcji powyższej.

z czasem dziś do tego wystarczającym. Różnica będzie zawsze wielka, a często kolosalna. Trzeba zaś i o tem nie zapominać, iż rzeczy, mających największą wartość w stosunku do ich ceny, dzieł najwyższej techniki i nauki nie ma z czem porównywać, bo ich dawniej nie było. Wartość ich bywa nieraz wprost bezcenna, pomimo, że cena pozostaje śmiesznie niska¹⁾,

XVII.

Dwie kategorie kapitału.

Gdy rozbiór pracy ludzkiej, pojmowanej po dawnemu, ujawnił nam w niej dwa odrębne składniki, to i w kapitale trzeba uwzględnić istnienie obu tych składników. Jest to amalgamat, złożony z dawnej pracy fizycznej ludzkiej oraz z dawnej pracy przyrody, wprzęgniętej jedynie przez ducha.

Kapitał nie podpada pod rozważanie wyłącznie ilościowe.

Przywykliśmy uważać każdy kapitał za substancję jednorodną, której tylko ilość przy porównywaniu należy brać pod uwagę. Przywykliśmy utożsamiać kapitał właściwy z „pie-

¹⁾ Weźmy taką np. surowicę przeciwbłoniczną, której kilkunastu kroplom zawdzięczać może życie osobnik uieoszacowanej wartości. Czyż rzeczywista jej wartość może być zgodna z jej ceną? Zarzuci mi kto zapewne, że surowica przeciwbłoniczna może mieć niezmierną wartość użytkową, ale nie przedmiotową. Odpowiem na to, że ona ma i jedną i drugą wartość wcale nie spółmierną z jej ceną, albowiem gdyby obrać dokładnie wartość czasu wszystkich ludzi, którzy pracą naukową przyczynili się wszyscy razem do odkrycia czyli do wyrobienia owej surowicy, okazałoby się, że jej cena o miliony razy jest niższą od prawdziwej wartości przedmiotowej.

niężnym". Ale pomieszano tu pod jednym mianem dwie rzeczy całkiem różne.

Dla porządku pozostawimy tymczasem na uboczu kwestyę czem jest pieniądz, a zajmiemy się właściwym kapitałem. Prawidłowe pojęcie kapitału wypływa z prawidłowego pojęcia wartości przedmiotowej.

Była tu mowa o dźwigni realnej¹⁾ oraz równoznacznej z nią maszynie, lecz czemże jest dźwignia lub maszyna, jeżeli nie kapitałem? To przecież „dobro ludzkie, i zdadne do wytwarzania nowych dóbr ludzkich”, więc to najprawdziwszy kapitał. Zmieńmy więc tylko wyrazy w poprzednim rozumowaniu, podstawmy na miejsce dźwigni lub maszyny termin gospodarczy: kapitał, a ujrzymy, że kapitał to wcale nie jednorodne nagromadzenie prostej pracy ludzkiej, lecz amalgamat o niestałym składzie, złożony z małej ilości prostej pracy ludzkiej i z wielkiej ilości pracy przyrody czyli ducha ludzkiego. Dołączmy do niego świeżą pracę ludzką, pojmowaną po dawnemu, a zacznie wytwarzać nowe bogactwo.

Wszelki kapitał, składa się podobnie jak dźwignia z dwu nierównej długości ramion, reprezentujących razem drąg prosty i sztywny.

Kapitał, to przedewszystkiem porządnym i skończonym mechanizmem, złożonym z dawnej pracy ludzkiej czystej i z dawnego ducha, który może być poruszany nową pracą ludzką (fizyczną) i nowym duchem²⁾.

Z tego powodu może on mieć różną wartość przy tej samej cenie, zależnie od stosunku w nim ważkiej fizycznej pracy ludzkiej do ducha, reprezentowanego w nieważkiem ramieniu.

Możemy zatem mówić o rozmaitej mocy twórczej kapitałów zupełnie tak samo, jak o potędze maszyny.

Prosta igła — to nie tylko słaba maszyna, ale i kapitał

¹⁾ To znaczy, że nie o „matematycznej“.

²⁾ Jest to wartość przedmiotowa, zwykle nieznaną dobrze wartości — a tylko znaną nam cenę.

bardzo słaby, albowiem wymaga dużo pracy ludzkiej do wykonania takiego dzieła, które przy pomocy potężniejszego kapitału (maszyny do szycia) wykonane będzie mniejszym nakładem pracy ludzkiej. Prosty kołowrotek, to również kapitał w porównaniu z przędzalnią parową — bardzo słaby. Wydajność pracy jednego robotnika przy ręcznym kołowrotku jest 1080 razy mniejsza¹⁾, niżeli przy pomocy „potężniejszego” kapitału.

Różnica ztąd pochodzi, że kapitał potężniejszy miał ramię nieważkie (względem robotnika) 1080 razy dłuższe od ramienia, reprezentowanego w zwykłym kapitale — kołowrotku ręcznym. Kapitałem jest ogólna ilość pracy fizycznej, zawartej w maszynie, ale bez względu na jej pochodzenie czy to z mięśni ludzkich czy z przyrody. Im tedy mniej pracy mięśni ludzkich (i czasu pracy) kosztowało wytworzenie samej maszyny, tem ona potężniejsza względnie. Im zaś taka maszyna wymaga w ruchu mniej pomocy zarówno mięśni ludzkich, jak ducha, tem będzie potężniejszą bez względu. Jakże więc tu na ślepo mówić o sile, a tem bardziej o wartości „bogactwa twórczego” gdy różnice w twórczości różnych kapitałów mogą być tak znaczne?

Zatem 100,000 rubli włożone w przędzalnię parową według cen bieżących nie będzie wyrażać ani jej wartości ani potęgi, lecz tylko cenę. Wartość jej i potęga może być rozmaita i przeważnie zawsze o wiele wyższa od wartości takiegoż kapitału, reprezentowanego w odpowiedniej liczbie kołowroteków ręcznych. I w takim razie 100,000 rubli w pieniądzech wcale nie może być ekwiwalentem bądź tego, bądź tamtego kapitału, bo można za nie zbudować fabrykę bardzo nieekonomiczną, równie jak niezmiernie ekonomiczną.

Niech nam na razie wystarczy, co tu powiedzieliśmy, mamy bowiem pomówić jeszcze o drugiej kategorii kapitału prawdziwego, która się nam wyłania, jako nieuniknio-

¹⁾ Porówn. Marx. Kapitał, prz. pols., str. 157.

na konsekwencya ujmowania go pod postacią maszyny-dźwigni.

Bogactwo materialne dzielimy na bogactwo obojętne pod względem twórczości ¹⁾ i na twórcze, to samo trzeba zastosować i do duchowego. A więc i osobnik ludzki z chwilą zastosowania swej wiedzy do pracy produkcyjnej, sam staje się kapitałem.

Mamy zupełne prawo rozpatrywać osobniki ludzkie, jako towary żywe, o ile same siebie wyprowadzają na rynek.

Łatwo stąd wysnuć wniosek, że każdy osobnik ludzki najzupełniej odpowiada nowej definicyi kapitału. Każdy mieści w sobie dwa czynniki niezbędne w kapitale: prostą siłę oraz pewną ilość specjalnej potęgi duchowej. Nie masz takiej czynności ludzkiej, godnej nazwy pracowania, w której nie byłyby zaangażowane władze psychiczne osobnika specjalnie ludzkie, chociażby bardzo nieznaczące. Wprawdzie zdarza się często, że praca człowieka miewa zaledwie nieco wyższą wartość od zwierzęcej i staje się produkcyjną dopiero w połączeniu z maszyną i przez maszynę (np. prosta praca kręcenia korbą, ciągnięcia wózka, albo przenoszenia cegły z jednego miejsca na drugie), ale najczęściej towarzyszy jej pierwiastek psychiczny specjalnie ludzki. Działa w nim jeszcze praca ducha, przeistoczona w kapitał (w szybkość ruchu, potrzebną do nadążenia za dłuższą drogą opisywaną przez długie ramie dźwigni, i tylko ta ostatnia decyduje o społecznej jej użyteczności. Najjaskrawszym przykładem takiej mieszanej pracy jest każda działalność, dokonywana z wprawą. Robotnik „wprawny może wykonać w jednym czasie i przy równym nakładzie wysiłków dwa, cztery lub nawet dziesięć razy więcej niż surowy. Popatrzmy na wprawnego składacza czcionek w drukarni — i na początkującego ucznia. Zanim ostatni złoży jeden wyraz tamten zebrał cztery wiersze, ten każdej literki szuka w kaszcie, tamtemu ręka biega od przegródki do przegród-

¹⁾ Bo przeznaczone tylko do zużycia na zadowolenie potrzeb ludzkich.

ki. On wcale nie namyśla się, gdzie danej litery szukać, nie patrzy w kasztę, palce jego trafiają zawsze i niezawodnie do właściwej przegródki.

Tak wielką różnicę w skutkach pracy wyjaśnia nam automatyzm psychologiczny. Cały szereg czynności skomplikowanych, które początkujący uczeń wykonywa świadomie, przy największym napięciu władz umysłowych, wprawny składacz dokonywa zupełnie bezwiednie. Zdawałoby się mogło, że jego praca jest czysto mechaniczna, ale tak nie jest. To wynik zlania się dwu pierwiastków... z których jeden jest siłą drugi był początkowo świadomym procesem psychicznym", ale przeobraził się w osobisty kapitał osobnika, różniący go od innych, które nie nabyły podobnego specjalnego automatyzmu". Automatyzm składacza, nabyty w trudzie jego jest nieważkiem ramieniem, które dołączone do ważkiego (do fizycznej wydajności normalnej jego organizmu) czyni z tego osobnika kapitał społeczny, ale będący własnością jego osobistą¹⁾.

Zautomatyzowanie się pewnych władz psychicznych czyni osobnika poniekąd żywą maszyną, w której działalności jest daleko więcej duszy, niż ciała i dla tego wyniki przypisywać trzeba przeważnie duszy.

Wszyscy jesteśmy z całymi uzdolnieniami naszymi i z wiedzą naszą takimi maszynami psychicznymi. Nie zdajemy sobie po prostu sprawy jak dalece wszystko „prawdziwie ludzkie” jest w nas przeważnie kapitałem, polegającym na zautomatyzowaniu dawniej świadomych wysiłków i uczynienia ich odruchami. Użyteczność sztuki czytania i pisania zaczyna się dopiero od chwili, gdy czytamy i piszemy prawie automatycznie, użyteczność sztuki rachowania zaczyna się od chwili, gdy prostsze działania arytmetyczne odbywają się w nas bez nakładu świadomości, „formy światowej”, wiadomości nasze ogólne i fachowe, wiedza chemika, leka-

¹⁾ Osobistą zaś dla tego, że płynie z indywidualnej koordynacji procesów psychofizycznych, zachodzących w jego własnym ciele.

rza, elektrotechnika, kapitana okrętu, dyrektora fabryki, wszystko to jest z a p a s e m, spoczywającym w nas poniżej granicy świadomości, w magazynach pamięci indywidualnej, skąd do świadomości wydobywa się z błyskawiczną szybkością to tylko, co w danej chwili staje się potrzebnem i wydobywa się w stanie gotowym. Im większy zapas, im lepiej dobrany i uporządkowany, tem więcej wart dla nas, zarówno jak dla innych. Ta tylko zachodzi między nami różnica, że świadomość osobnicza rządzi zasobem zautomatyzowanym niejednakiej wielkości i doniosłości. Osobniki twórcze, bez względu na ogólną wielkość ich bogactwa duchowego ¹⁾ — mogą być twórcze tylko częścią swego bogactwa.

Gdy tak spojrzymy na osobniki ludzkie, wówczas możemy je sobie przedstawić pod postacią dźwigni, bardzo rozmaitej potęgi. Wszyscy posiadamy część ważką dźwigni mniej więcej jednakową, dopiero nieważkie przedłużenie ramienia, miewa długość niezmiernie rozmałą. Rozmiary zależą tu nie tylko od ilości, od jakości wiedzy i doświadczenia, ale od ich najekonomiczniejszego uporządkowania.

Jeżeliśmy nazwali prostą igłę nie tylko słabą maszyną, ale i kapitałem słabym, to można to samo powiedzieć i o małego wykształconym człowieku. Zdolny inżynier to wielka machina psychiczna i potężna, a doniosłość jej potęgi daje się ocenić tylko w działaniu i w skutkach. Dwóch bowiem inżynierów, wyszłych z jednej szkoły i rozporządzających jednemi wiadomościami, 'możnaby nazwać ilościowo kapitałami jednej wielkości, ale pod względem mocy (więc i wartości) mogą się tak różnić między sobą, jak maszyna drukarska, systemu bardzo pierwotnego różni się od bardzo udoskonalonej.

Teraz możemy podnieść okoliczność, która przepysnie maluje ścisły związek zjawisk materialnych z duchowemi, jaki charakteryzuje świat ludzi. Możemy zaznaczyć bezwładność obu kategorii, póki zostają w oddzielności. Jeden bez drugiego gospodarczo nic nie zna-

¹⁾ Które jako czyste bogactwo nie twórcze—nie obchodzi już nas

czy. Co do maszyny jest to oczywiste, ale co do człowieka wydaje się mniej zrozumiałe.

Weźmy jako przykład dwa kapitały, zostające w stanie spokoju i bezwładności: siekierę i drwała.

Ani siekiera sama nie narąbie drów, ani drwał-kapitał nie-dokona tego bez siekiery. Kapitał bez człowieka musi być bezwładny, a właśnie nawet i sam drwał został jak gdyby bez człowieka bo uczyniliśmy kapitałem nie tylko jego umiejętność władania siekierą, ale również i jego siłę fizyczną musieliśmy dołączyć do umiejętności, aby razem stworzyły kapitał. Niema więc wcale człowieka czynnego. Mamy tylko dwa kapitały w stanie statycznym.

Aby z tych kapitałów powstała całość czynna, wystarczy złączyć je ze sobą. Z chwilą, gdy to nastąpiło, w siekierę wstępuje niejako życie i okazuje się, że drwał i siekiera są to części składowe jednej potęgi twórczej.

Czy to będą jednak części składowe jednego kapitału? Nie. Od chwili, gdy oba kapitały połączyły się z sobą, powstało odrazu coś więcej, niż dźwignia, bo dźwignia w ruchu, nie zaś w spokoju.

Cztery elementy składowe dwóch dźwigni: dwa ramiona materialne i dwa duchowe ułożyły się jak następuje:

Dwie dźwignie: ożywiona i nieożywiona połączyły się ze sobą nieważkami ramionami, skutkiem czego ważkie pozostały na przeciwnych końcach jednej przedłużonej

*) Aby zobrazować człowieka pod postacią dźwigni, trzeba unieruchomić ludzki pierwiastek czynu; inaczej człowiek reprezentowałby samą tylko nieważką część dźwigni, oddzieloną od źródła prostej pracy fizycznej. Aby człowieka wyobrazić sobie jako cały kapitał, trzeba czynną część fizyczną jego osoby zawiesić na hypomochlionie w stanie bezwładnej równowagi, bo wszelki kapitał — to wprawdzie potęga, ale w stanie spokoju. Z uwagi że maszyna jest bezwładna, dopóki nie połączy się z ludźmi, którzy ją obsługują, należy to samo powiedzieć i o człowieku, wyspecjalizowanym do twórczości materialnej, dopóki jest pozbawiony narzędzia lub maszyny.

dźwigni. Z czterech elementów dwu dźwigni powstała jedna dźwignia, złożona:

- 1) z wazkiego ramienia maszyny,
- 2) z niewazkiego ramienia maszyny,
- 3) z " " " " człowieka.

Wazka zaś część człowieka, jego siła fizyczna nie wchodzi już w skład nowej dźwigni, bo stanie się elementem czynnym. Element duchowy człowieka, przyczepjony do niewazkiego, duchowego maszyny, wytworzył dźwignię potężniejszą o całą moc duchową człowieka, ale dopiero siła fizyczna człowieka ma wystąpić jako element czynny, aby poruszać dźwignię. W ten sposób człowiek rozszczepił się i duchową swą częścią przedłużył dźwignię a siła fizyczna jego przyczepiła się do ramienia dłuższego i wywarła działanie na przedłużoną dźwignię.

Im więcej osobnik dodał swej niewazkiej potęgi szybkości do dłuższego narzędzia, tem skutki pracy narzędziem będą większe. Zobrazować to można na prostym przykładzie drwała. Pracować siekierą można z rozmaitą wprawą i umiejętnością, jeden osobnik setką uderzeń wykona tyle, co inny równie krzepki, ale manewrujący narzędziem nie tak sprawni, trzema setkami. Pierwszy wyda trzy razy tyle towaru co drugi. Nie siekiera tutaj wpływa na odmienny rezultat i nie siły fizyczne człowieka, ale jedynie zautomatyzowane władze umysłowe drwała, kierujące ruchami jego ciała i ruchami siekiery w sposób ekonomiczny.

To samo rozumowanie można zastosować do każdej pracy, więc i do działalności dyrektora skomplikowanej fabryki, gdzie pracują przy setce maszyn doskonałych setki robotników. Od pokierowania całym mechanizmem zależy powodzenie fabryki. Może ona, niedołącznie prowadzona, dawać straty— i może dawać zyski rozmaite, zależne wyłącznie od racjonalnego skoordynowania wszystkich sił i uzdolnień, czynnych w fabryce.



Przechodzimy obecnie do określenia czem jest pieniądz. Dla uniknięcia tworzenia nowych wyrazów nazwiemy odtąd człowieka kapitałem duchowym, narzędzie czyli maszynę — kapitałem materialnym albo wprost kapitałem.

XVIII.

Pieniądz, symbolem towaru, wartości, bogactwa i kapitału.

Pieniądz jest środkiem ułatwiającym wymianę towarów. Bez niego wymiana byłaby w tych rozmiarach, w jakich się odbywa — wprost niemożliwa.

Materiałem na pieniądz musi być oczywiście towar, lecz aby towar stał się pieniądzem — musi posiadać szereg przymiotów, wymaganych od dobrego środka wymiennego.

Pieniądzem bywały już skóry, futra, bydło, płótno, sztabki i bloczki kruszców użytecznych, tabliczki soli, ale z rozrostem handlu ostały się głównie kruszce szlachetne.

Tłumaczy się to licznymi ich zaletami, co jednak najważniejsza, ogromną stałością ceny. Biedzono się nad zrozumieniem tajemnicy stałości ceny pieniądza, zwłaszcza złotego, bo nie spostrzeżono, że główną tego przyczyną jest niezmiernie rzadka w towarach właściwość, że cena ich trzyma się stale w pobliżu wartości.

Złoto należy do towarów najdroższych a równocześnie najmniej poszukiwanych.

Zdawałoby się, że żaden towar nie może być równocześnie wcieleniem podobnej sprzeczności, a jednak to najczystsza prawda. Złoto jest niewątpliwie najdroższe z pośród towarów, cena jego bowiem jest zapłatą za ledwie za naj-

prostsza pracę fizyczną ludzką, rzeczywiście w nie włożoną. I stąd właśnie płynie niepospolita stałość jego ceny, konieczna do wyrażania i mierzenia ceny innych towarów.

Takiej stałości ceny nie osiągają żadne prawie inne towary, zarówno najtańsze, jak najdroższe. Złoto i srebro, stawszy się pieniądzem — przestały już być towarem, bo stały się najpraktyczniejszym zastępcą wszelkiego towaru, prostym znakiem do wyrażania bądź wartości bądź ceny towarów prawdziwych.

W podobnych warunkach nie może być aby pieniądze (złote lub srebrne) same w sobie były kapitałem. To tylko symbole kapitału, towaru. Nie mogąc zaś ulegać deprecjacji ¹⁾, bo już są możliwie najgorzej zapłacone, stają się wagą do wymierzania wartości lub ceny.

Zadziwiająca stałość ceny zawdzięcza kruszcowy materiał na pieniądze nie tylko swej rzadkości w przyrodzie, ale głównie pierwiastkowości.

Komu wiadomo, że technika nie zdołała jeszcze ani rozkładać ani tworzyć pierwiastków, ten wie, że złoto trzeba znaleźć gotowe w przyrodzie. Zrobić go nie można. Warunki jednak wydzierania złota naturze są tak ciężkie, że zdobyte złoto opędza za ledwie najprostsze potrzeby życiowe poszukiwaczy.

Jeżeli jednak pomimo to zawsze znajdują się ludzie, gotowi szukać w ziemi złota, to dzieje się to jedynie dla kapryśności przyrody, która ten kruszec rozmieściła tak nierównomiernie w piaskach czy w skałach, że górnikowi zawsze przyświeca nadzieja natrafienia od razu na większe ilości kruszcu, więc nadzieja hojnej zapłaty za ciężką pracę. Ta nadzieja ziszcza się dość często, aby zawód kopacza uczynić ponętnym dla tych, którzy nie mają nic do stracenia, ale dość rzadko, aby zmienić stosunek ceny złota do wartości. Poszukiwacz

¹⁾ Jeżeli jej ulegają w razie wielkiej obfitości, wówczas podlega ztraceniu już sama ich cenność, co czyni je tem bardziej towarem najdroższym.

złota jest tedy nieuleczalnym graczem w loteryję. Wydaje prawie zawsze więcej, niż odbiera. Że zaś wydaje ciężką pracę fizyczną, złoto chłonie ją w siebie, pęcznieje od niej, jak sucha gąbka i staje się wcieleniem najgorzej opłaconej pracy ludzkiej. I stąd płynie właściwość złota, że niżej w cenie spaść już wiele nie może.

Szlachetne kruszce wprawdzie spadają w cenie, ale następuje to z niezmierną powolnością, więc bez wstrząśnień zbyt dotkliwych. Skoro weszły w użycie i nie dają się niczem innym zastąpić, — to do poziomu ich wciąż obniżającej się ceny są dociągane ceny wszystkich innych towarów i otrzymujemy złudzenie, że wszystkie ceny towarów wznoszą się powoli, gdy w rzeczywistości tylko cena złota spada. I jeżeli na kim odbija się szkodliwie owo kurczenie się miary powszechnej, — to tylko na posiadaczach samego pieniądza, więc przedewszystkiem na kapitalistach, którzy majątek swój lokują w pieniądzach. Poza tem nikt nie traci, owszem, szeroki ogół zyskuje to właśnie, co tamci tracą.

XIX.

Najniższa cena pracy ludzkiej jedynym wyrazem i miarą wszelkich cen i wartości. Pieniądz symbolem jedynie kapitału.

Miarą zatem ceny czyli „wartości zamiennej” towarów nie może być, jak to nam powtarzano, praca ludzka, ilość czasu pracowania, ale koniecznie jakaś stała cena pracy ludzkiej.

Pieniądz jest miarą cen towarów, właśnie dlatego, że sam posiada jedną z najstalszych cen, z tego powodu, iż będąc wcieleniem najgorzej opłacanej pracy ludzkiej już niżej w cenie

spaść nie może bez straty posiadacza, a znowu wyższej ceny nie może osiągnąć, nie posiada bowiem użyteczności. Z tego jedynie powodu, stanowi bardzo dobrą miarę do wyrażania bądź ceny, bądź wartości. Ale też na tem kończy się jego rola.

Pieniądz to tylko ciężarek u wagi, pozwalający wyrazić chwilową cenę każdego kapitału, podobnie jak towaru.

* * *

Ponieważ aż nadto upowszechniło się nazywanie zapasu pieniężnego kapitałem, musimy tu użyć jeszcze jednego środka, aby jaskrawo zaznaczyć, że wszelki pieniądz może być tylko symbolem, znakiem umownym kapitału, ale nie kapitałem

„Kapitał” pieniężny, zostający w ręku prywatnem, to tylko prosty kwitek, udowadniający, że ów osobnik puścił w obieg tyle to a tyle własnego realnego bogactwa materialnego. Sam w sobie kwitek zgoła może nie przedstawiać żadnej realnej wartości, a jednak będzie bogactwem, równem odpowiedniej ilości złotych wartości.

Chociaż więc prawdą jest, że taki pieniądz, jaki dziś mamy, zawiera w sobie wielką ilość pracy, że można uważać go za prawdziwy towar, ale doprawdy nie w tym charakterze znajduje się on w obiegu, i dlatego możemy całą sumę pracy, wyłożonej na dobyte kruszców, na wybicie z nich monety i t. d. i traktować jako prosty symbol.

* * *

Pieniądz wcale nawet nie posiada warunków, niezbędnych do tego, aby był kapitałem w znaczeniu nowem, które nadajemy kapitałowi. Reprezentuje on tylko bezwładną bryłę „skryształizowanej pracy ludzkiej”, użyteczną na rynku jedynie jako dogodny

zastępca użytecznych dóbr ludzkich — i nic ponad to. Sam w sobie niezdatny on do wytwarzania nowego dobra. Kapitał w naszym rozumieniu to połączenie materji z duchem, to dźwignia, której dłuższe ramię musi reprezentować ducha, a dopiero krótsze fizyczną pracę ludzką. Tymczasem w pieniądzu niemasz wcale treści duchowej.

Chcąc koniecznie porównywać pieniądza z kapitałem, możemy go nazwać idealnym zastępcą ważkiej części dźwigni.

Ponieważ jednak zanadto już przywykliśmy pieniądza nazywać kapitałem, możemy sobie i nadal pozwolić tak go mianować, pod warunkiem, że będziemy pamiętać, iż to tylko dogodna przenośnia. Dlatego też źle przedstawiają sprawę handlową mechanisci, gdy utrzymują, że np. pieniądza jest kapitałem, zwłaszcza w ręku kapitalisty lub kupca.

Jest to błąd! Nie pieniądze rodzą nowe pieniądze, nikt bowiem jeszcze nie widział, aby dukaty mnożyły się same w szkatule. Póki pieniądza leży w szkatule, póty pozostaje bezpłodnym skarbem. Musi on wyjść pierwiej ze szkatuły do rąk obcych, ale też wówczas nie pieniądza, ale prawdziwa dźwignia za nie kupiona zaczyna pracować pod parciem cudzej pracy świeżej i cudzego ducha. Gdy jednak dźwignia materialna została kupiona za pieniądze kapitalisty, nie popełniamy omyłki, mianując jego pieniądza zastępcą kapitału materialnego, albo nawet przez skrócenie, samym kapitałem. Pamiętajmy tylko, że tutaj pieniądza bezduszny został już wymieniony na coś zasadniczo odmiennego od pieniędzy. Jeżeli więc kapitalista osiąga zysk bez własnej pracy, to ów zysk płynie z połączenia jego byłych pieniędzy z nową pracą cudzą, czyli ze spółki prawdziwego już kapitału (nabytego za pieniądze kapitalisty), z pracą jego dłużnika. Pieniądza jego nie odgrywają już żadnej roli, gdyż poszły w obieg i krążą dalej po świecie, pracuje zaś faktycznie prawdziwy kapitał twórczy, nabyty za bogactwo kapitalisty oraz człowiek obcy, który ów kapitał obrał sobie za narzędzie pracy. Nie pieniądza tedy kapitalisty robi mu pieniądze, ale prawdziwa dźwignia z uczepionym u niej pra-

cownikiem. W tych warunkach nie potrzebujemy już pytać: czemu pracownik dzieli się „swoim” zyskiem z wierzycielem. Dzieje się to dla tego, iż wierzyciel dał dźwignię, dłużnik dopiero pracę i ducha swojego, które zostałyby nadal bezsilne bez dźwigni. Zawartą została spółka. Jeżeli jako wynik do szkatuły kapitalisty wpływają z rąk dłużnika nowe pieniądze w charakterze „procentów”, to są one zyskiem cichego spółnika w przedsiębiorstwie twórczem. Czynny spółnik dzieli się z cichym wartością, stworzoną przez pracę i maszynę, wartością, któraby nie powstała bez udziału kapitalisty ¹⁾.

XX.

Teoria zysku handlowego. Związek wartości z własnością.

Ale nie o takiej operacji myślą ci, którzy zapewniają, że same pieniądze są prawdziwym kapitałem. Oni widzą, że pieniędzy mnoży się w ręku kupca, który niema warsztatu.

Otóż i tutaj dopiero prawdziwy, twórczy kapitał rodzi nowe pieniądze zupełnie na tej zasadzie, jak rodzi rzemieślnikowi. Różnica tylko w odmienności źródeł. Kupiec nie tworzy nowych wartości z przyrody, jak to czyni rzemieślnik i fabrykant, tylko, wydobywa na jaw istniejące a nie zapłacone nikomu i te sprzedaje. Dlatego nie potrzebuje maszyny, do którejby się przyczepił. On w swoim pieniądzu ma już

¹⁾ Nie kapitał zawarł tu spółkę z pracą, lecz bierny właściciel materii społecznej, z posiadaczem mocy społecznej. Jeden bez drugiego nie osiągnąłby zysków. Słusznie więc posiadacz mocy społecznej, pozbawiony materii społecznej, dzieli się wytworzoną wartością, bo istotnie część tej wartości stworzona została przez maszynę, na którą został zamieniony pieniądz kapitalisty.

ważkie ramię gotowe, i potrzebuje tylko nieważkiego. Jeśli się tedy czuje na siłach, przyśrubowuje się sam do ważkiego ramienia i wytwarza ze swych zdolności handlowych, ze swej wiedzy handlowej oraz ze swoich pieniędzy pełną dźwignię, czyli kapitał. Siła tej dźwigni zależy już tylko od proporcji ramienia nieważkiego (które sam reprezentuje), względem ważkiego. Więc i tutaj nie pieniądze są kapitałem, ale dopiero sam kupiec (jako siła duchowa) wraz z pieniędzmi, którymi obraca.

Kupiec czerpie swój zysk z towarów, kupując je na najtańszym rynku, sprzedając zaś na najdroższym, wydobywa w ten sposób na swą korzyść pewną część wartości, skoncentrowaną w towarach, a nie pokrytą ceną kupna.

Mechanista powie, że w takim razie kupiec przyprawia kogoś o stratę.

Ani myślimy upierać się, jakoby tu nikt nie tracił. Ktoś musiał stracić, zachodzi tylko kwestya kto stracił — i co stracił? Marx utrzymuje, że albo spożywca, albo wytwórca (czytaj robotnik), my zaś powiemy, że lubo się i to zdarza, jednak w normalnych warunkach ani jeden ani drugi nic nie tracą. Zachodzić tu mogą dwa odmienne stany rzeczy.

Pierwszy polega na wystąpieniu na rynku nowej ceny, a (oczywiście i wartości), pomimo, że jej nie wytworzył ani kupiec ani jego dostawca, drugi na rzeczywistej stracie, tylko, że traci tu ktoś taki, o kim Marx wcale nie myślał i kto sam nie uwierzyłby w swoją krzywdę, choćby go najusilniej o tem przekonywano.

Pomijając przypadki rzeczywistych krzywd, których się dopuszcza chciwość ludzka, w normalnym przebiegu operacji, rzekoma strata tego, który dostarczył kupcowi towaru, ogranicza się właściwie do zmniejszonego zysku. W przypadku zaś, o którym mówiliśmy, że dzięki działalności kupca pojawia się nowa wartość, nie traci nikt¹⁾, kupiec zaś zyskuje część utajonej wartości, która nabrała ceny na rynku.

1) Gdyż dawna cenność jest zapłacona.

Ze tego nie rozumieją mekaniści, niema w tem nic dziwnego. Kto powtarza za starym Trosnem frazes, który nigdy nie był poparty dowodami, iż „zamiana nie może być źródłem wzbogacenia się, albowiem każdy daje tyle, ile odbiera”, ten musi upierać się przy twierdzeniu, że zysk kupca powstaje z czyjejs straty, ale niechże kto powie: o jakiejże to równoważności towarów mowa u Marxa? Czy o równoważności cen czy też wartości? Po tem, cośmy wyjaśnili, każdy zrozumie, że równoważność cen nie decyduje o wartości, lecz tylko o jednakowej cenności towarów w chwili zamiany, i o niczem więcej, a co do rzeczywistej wartości — nie może być mowy o równej wartości towarów (więc np. towaru i pieniądza) choćby dlatego, że obaj zawierający transakcyę nie znają wartości towaru. Gdzież tu więc równoważniki w chwili zamiany, gdzie pewnośc, że każdy daje tyle ile odbiera?

Gdy Marx pomieszał dwie rzeczy pod jedną nazwą: kapitał twórczy i pieniądze, a także cenę z wartością nie mogło już być mowy o zrozumiałem wytłomaczeniu tak doniosłego zjawiska gospodarczego, jakim jest zysk przedmiotowy, realny i godziwy, jak również o zrozumiałości najważniejszego faktu ekonomicznego: przyrastania sumy bogactwa w społeczeństwach rozwijających się.

Trzeba było potępić wszelki zysk i nazwać go wyzyskiem i odbieraniem komus jego własności. A przecież samo prawo własności indywidualnej również pozbawiono podstawy.

Z chwilą, gdy dla wartości duchowych znalazło się miejsce równoległe do wartości materyalnych, okazało się, że pierwsze mogą być wymieniane na drugie, jako wzajem się pokrywające. Wszystko, co bywa pożądanem, już staje się towarem i przedmiotem zamiany, czy to będzie wartość duchowa, czy materyalna, czy to będzie usługa lekarza, śpiewaka, profesora, lub też sztuka płótna albo pudełko zapalek.

Tembardziej jednak staje się realną wartością kapitał duchowy, skoro żaden akt twórczy nie może zająć bez przyłączenia się kapitału duchowego do materyalnego i skoro duchowy jest właściwą przyczyną twórczości i ojcem dzieł ludzkich.

Ale nasz system wyznacza miejsce nie tylko dla wartości duchowych. Gdy one są własnościami indywidualnymi osobników, przeto mogą być wymieniane własnościami materialnymi jedne na drugie, jako godne siebie przedmioty zamiany. W systemie mechanistycznym nie ma właściwie miejsca ani na wartości, ani na własności duchowe. Wszystko sprowadza się tam do najniższej cenności prostej pracy ludzkiej i zdradza jaskrawą sprzeczność z rzeczywistością. Przez szkła systemu mechanistycznego dostrzegano tylko nierównomierny rozkład między osobnikami bogactwa materialnego, przeoczono zaś nierównomierność w rozkładzie kapitałów duchowych. Nasza teoria odsłania istnienie takich jeszcze niesprawiedliwości społecznych, których nie dostrzega szkoła materialistyczna. Nie dostrzega ona upośledzenia bardzo wielu wartości duchowych, ale za to w przypadkach, gdzie owego upośledzenia nie ma, gorszy się zaraz dostrzegana równowaga, mianując ją prosto dziełem zysku.

System materialistyczny uznaje tylko pracę prostą za własność indywidualną. Nawet i w systemie austriackim nie ma miejsca na własność indywidualną, zwłaszcza duchową bo nie ma tam miejsca nawet na realną wartość dzieł materialnych. Tam prawo własności indywidualnej przyjmuje się z góry, jako proste prawo przyrodzone, choć wcale tak nie jest, bo to właśnie prawo wyłącznie społeczne, możliwe tylko w świecie ludzkim. Ono opiera się na wartości duchowej indywidualności czyli na własności duchowej i pociąga za sobą drugie prawo, prawo do odpowiedniej mu wartości materialnej, możliwe do zrealizowania tylko przez prawo do zysku. Nie trzeba więc utożsamiać zysku jednego ze stratą drugiego, bo zysk w społeczeństwie, dziwnie prosto wiąże się z twórczością i z twórczości się wyłania.

.....

Zgoda, ale w takim razie jakimż prawem kupiec zbiera zyski, gdy on przecież nie tworzy? Sprawa kupca jest bardzo

prosta, (tylko należy ją rozdzielić na dwie i każdą osobno rozpatrzyć.)

Oto już w warsztacie czy w fabryce włóczona została do towaru znaczna ilość wartości, nie pokryta ceną sprzedaży kupcowi, w sprzyjających warunkach rynku część jej może być sprzedana spożywcy — bez jego krzywdy, bo spożywca i tak otrzyma bardzo znaczną ilość wartości darmo. Ale owa dodatkowa cenność, reprezentująca zysk kupca¹⁾, niekoniecznie jemu zawdzięcza swe istnienie. Zwykle ma ona inne pochodzenie.

Teraz rozpatrzmy, czy kto traci, jeżeli kupiec zyskuje część wartości, niewytworzonej przez człowieka.

Aby o tem zawyrokować dość przypomnieć, że do zjawienia się wartości nie jest wcale konieczne tworzenie jej przez człowieka. Przedmiot wartościowy i cenny może być całkowicie dziełem natury, tylko obcej temu środowisku, w którym staje się wartościowym i cennym. W takim razie kupiec, choć nic nie wytwarza może być dostarczycielem wartości przez sam akt przeniesienia przedmiotu ze środowiska, w którym przedmiot ów nie jest ceniony do środowiska, w którym będzie pożądanym i cenionym. Choć nic nie wytwarza — ów kupiec może być uważany wraz z jego pieniędzmi za prawdziwy kapitał, tworzący wartości, bo dzięki wiedzy handlowej i pracowitości przeniesie dzieło natury z jednego kraju, w którym jest bardzo nisko cenione lub wcale nie cenione, do kraju, w którym jest lub będzie cenione wysoko.

Właśnie handel surowcami lub półsurowcami płodami natury ma to do siebie, że przerzucając nadmiar płodów użytecznych z jednych krajów do innych, przymnaża wartości, choć ich nie wytwarza. Nie spożytkowywane na miejscu, czyli marnujące się, zamienia w pożądane gdzieindziej. Przez proste przenoszenie odgrywa rolę zupełnie taką, jakby wytwarzał wartości.

¹⁾ Cenność druga, wyższa od pierwszej cenności.

Kupca tedy można pod względem roli społecznej umieścić wpośródku między fabrykantem, a rolnikiem, gdyż łączy w sobie coś z działalności obu.

Kupiec, zwłaszcza hurtownik egzotyczny, odgrywa względem swego kraju taką rolę, jakby dzieła, które sprzedaje — wytwarzał. Różnica jednak w zyskach obu jest zupełnie naturalna i zrozumiała. Kupiec egzotyczny wprowadził w działanie większy kapitał duchowy, większą przedsiębiorczość i ryzyko, liczniejsze pokonał przeszkody, niżeli pospolity rolnik, zawsze pewny pokupności swego towaru.

Dotyczy to prawdziwych kupców, których odróżniać należy od spekulantów. Lubo nie są producentami, przynosząc towary z niedostępnych dla spożywców źródeł produkcji, ułatwiając nabycie, oszczędzając trudu spożywcom mają prawo dzielić się płynącym stąd zyskiem dla spożywcy. W gruncie rzeczy i zysk fabrykanta czy rzemieślnika z podobnych usług płynie. Przez oszczędzanie innym trudów i czasu służy twórczości innych. Zysk materialny jest wynagrodzeniem za dostarczenie innemu również bezpłatnej wartości — czyli powiększeniem swojej

*) Jeżeli zakupuje w Indjach lub w Ameryce południowej drzewo hebanowe albo korę chinową, tam, gdzie one mają małą wartość z powodu braku zastosowania, za małą cenność z powodu nadmiaru — i przewiezie do Europy, która pożąda drzewa o tych własnościach, i jeżeli do kosztów, jakie poniósł, doliczy sobie zysk osobisty, to nie można twierdzić, aby kogoś skrzywdził, choćby nawet krajowców, którzy nie dbają o te płody, albowiem ten, kto od niego nabywa, dostaje drzewo jeszcze o wiele taniej, niżeli gdyby po niewielką jego ilość sam pojechał do Bombaju, na archipeląg malajski lub do Peru. Kupiec wywożący płody naturalne z krajów egzotycznych, zyskuje w tym przypadku na samej przyrodzie, dzięki swej przedsiębiorczości, tak właśnie, jak szczęśliwy znalazca samородnej bryły złota w piasku złotodajnym. Zyskuje tem prawem, jakiem zyskuje rolnik, któremu gleba wyrabia płody rolne w drobnej części tylko siłami pomocników rolnych, w większej zaś części siłami przyrody (powinowactwami chemicznymi, i siłą życiową roślin i zwierząt), któremi kieruje jego kapitał duchowy.

własności z tej racyi, że powiększyłem równocześnie cudzą.

Zysk osobisty, przemysłowy i handlowy, jest spółuczestnictwem w zysku drugiego, jest oddaniem sobie usługi lub cenneści — za oddanie usługi lub cenneści innemu. Nawet zatem osiągając duże zyski mogą nie krzywdzić nikogo — lecz przeciwnie być dla innych bardzo użytecznym dostarczycielem wartości, cenneści i własności.

Oto, czego nie chcą czy nie mogą rozumieć materjaliści¹⁾, patrzący na świat oczyma tępego doktrynera, trzymającego się oburącz bezkrytycznie ukutej formułki, sprzecznej z rzeczywistym stosunkiem ludzi do ludzi, którzy wcale nie są jednowartościowi.

XXI.

O cenie i wartości ludzi.

Odkąd za źródło bogactwa uznano pracę, odtąd zapomina się niemal całkowicie o twórczej potędze ducha, odtąd nie spostrzega się, że Marx naznaczył na ludzi ceny despotycznie i jednostronnie. Skoro tylko powiedział sobie, że „praca pracy równa”, ideałem jego stał się jednaki udział wszystkich w bogactwie społecznym. W równym uposażeniu wszystkich chciał ujrzeć urzeczywistnienie raj na ziemi.

Kwestya nie okazuje się tak prosta, gdy zważymy, że dotychczasowa społeczna trudów ludzkich nie bywa jednakowa. Ideałem sprawiedliwości powinienby być rozdział bogactwa według

¹⁾ Zresztą — i szkoła austriacka tego nie rozumie. Boehm-Bawerk nie wytłumaczył powstawania zysku. W jego teorii zysk powstaje z niczego a jednak jest on tak realnym zjawiskiem gospodarczym (nie zaś pojęciem historycznym jak słusznie mówi sam B. Bawerk), że nawet w ustroju socjalistycznym nie może nie istnieć.

rzeczywistego udziału w jego wytwarzaniu, czyli według zasługi. Jak jednak? Tego nikt nie wskazał, gdyż natrafiamy tu na mnóstwo momentów, trudnych do oceny. Jedno jest wyraźne, mianowicie, że dwa bogactwa są rozłożone między jednostki zgoła niesprawiedliwie. Istnieje pewna ilość osobników, związana z pewną ilością bogactwa w stosunku słusznym, powyżej jednak rozciąga się kategoria nadmiernie uposażonych, oczywiście ze szkodą trzeciej kategorii, upośledzonych. Stosunku normalnego nie znamy; nikt jeszcze nie sformułował zasady, któraby odpowiadała koniecznym warunkom idealnej „sprawiedliwości”, skutkiem czego najdonioślejsza zasada, będąca centralnym punktem całej ciężkiej „kwestii socjalnej”, sprowadza się do kwestii właściwego stosunku dusz do bogactwa. Niema już takich, którzyby nie dostrzegali zjawiska niesprawiedliwości społecznej, jedni boleją nad niem, inni radziby je usunąć, lecz tu dopiero zaczynają się trudności, brak bowiem podstawy do reformowania złych stosunków.

Jesteśmy też świadkami oryginalnego widowiska. Niesprawiedliwy układ broni się przed narzuceniem równie niesprawiedliwego, innego, narzucanego przez teoretyka, który się pomylił.

Dla czego zaś musi się bronić? Oto dla tego, że doktryna owego teoretyka jest bardzo sympatyczną, a i zyskową dla licznej klasy t. zw. prostych robotników. Dla tej klasy jest obojętną kwestya prawdziwości doktryny. Niechby sobie była sto razy nieprawdziwa, dość na tem, że obiecuje poprawę bytu, — więc jest dobra.

Ponieważ jednak tak radykalna poprawa musiała by się odbyć nie tylko kosztem klas pozostałych, ale co ważniejsza, skończyć prawdopodobną ich zagładą, więc klasy te są również zainteresowane pytaniem: czy doktryna nie zawiera błędu? Ona rozumie, że reformy, dokonywane na domysł, byłyby mocno rezykownemi próbami

Wielu szlachetnych „szczęśliwców” chętnieby się zgodziło na każdy stosunek inny od dotychczasowych, byleby mieli pewność, że będzie on podyktowany przez prawdziwą znajomość przedmiotu. Istnieje też paląca potrzeba dociekań w do-

skonałym spokoju i bezstronności ale też, dopóki nie otrzymamy pewności, zachodzi również potrzeba bronięcia się przed reformami nadto radykalnymi, bo łatwiej jest burzyć niż budować.

Gdy prawdziwy uczony sto razy sprawdza wyniki swych dociekań, zanim postawi twierdzenie, jakże dziwnie odbija wiara w nieomylność własną owych „reformatorów” co to radziłyby natychmiast świat reformować zgodnie z pomysłami swojemi! I gdybyż tu chodziło o kwestyę akademicką, o trafność odczytania napisu hieroglificznego, tymczasem tu chodzi o rozwiązanie zadań nietylko najtrudniejszych, ale w dodatku najważniejszych.

Niewiele czasu upłynęło i nowe nabytki wiedzy, zamącają idyllę, któremi cieszone swoje serca.

Okazało się bowiem, że zaszłyby tu równość ale w barbarzyństwie, w tem właśnie, z którego wydo był niektóre ludy tylko narastający kapitał duchowy. Nowsze nabytki wiedzy odsłaniają nam tę prawdę, że kapitał duchowy, począłby się kurczyć i niknąć z daleko większą szybkością, niżeli narastał, a wraz z jego ubywaniem bogactwo materialne począłoby się redukować do coraz prostszych form, aż stopniałoby do poziomu zaspokajania zaledwie najniezbędniejszych potrzeb ludzkich. Gdy zaś równolegle z tem zwiększyłyby się powszechna ciemnota z jej ujemnymi stronami, wielkie zachodzi pytanie: w ilu też sercach ostałyby się isierki szczytnego humanizmu, gaszone bezustannie ciężką i coraz brutalniejszą walką o byt?

XXII.

Potrzeba rachowania się z wartością ludzi.

Bogactwo duchowe osobników nie może być poczytywane ani za dobro przyrodzone, ani za dobro ogólne. Nie jest ono ani niczyjem, ani społecznem lub cudzem.

Jest to osobliwe dobro, które wytwarza się w osobniku, nie ginąc wcale w jego otoczeniu. Ono się przyrabia. To jest jego pierwsza właściwość wyłączna, a druga jest jego doskonała znikomość¹⁾.

Jeżeli więc bogactwo duchowe narodu, pomimo znikomości indywidualów nie zmniejsza się, ale w społeczeństwach, podległych rozwojowi, rośnie, — nie jest to objaw nieznikomości, lecz tylko wynik bezustannego tworzenia się na nowo.

Potęga twórcza narodu, będąca potęgą dusz indywidualnych, jest zawsze nową potęgą dwóch pokoleń wstępnych.

Wystarczy, aby jedno pokolenie przestało nagle i zupełnie odtwarzać bogactwo duchowe, potęgę twórczą, a zniknie całkowicie i bezpowrotnie. Pokolenie następne będzie musiało zaczynać od samych podstaw i pomimo mozołu, zostawi następnemu bardzo skromną puściznę.

Cóż więc z tego, że bogactwo duchowe nazywamy darem całej przeszłości, gdy wystarczyłoby zaniedbanie się jednego pokolenia, aby ten rzekomy „dar” doszczętnie utracić? W podobnych warunkach — to, czem rozporządza ludność żyjąca — musi być uważane za prawą jej własność, bo dobrotek długiej przeszłości, nie został zatracony jedynie dzięki dzielności i woli tych, którzy żyją.

Zjawia się teraz pytanie: którzy to z żyjących są podtrzymywaczami owej najcenniejszej, ale najbardziej znikomej puścizny? Czy wszyscy w równym stopniu, i jeżeli nie wszyscy, — którzy to właśnie?

* * *

Mówiliśmy, że główna siła twórcza narodu przechowuje się w bardzo nielicznej ilości dusz, stanowiących jego kwiat i szczyty. Z tego powodu

¹⁾ Nie przenosi się na innego osobnika.

Każdy osobnik jest bańką mydlaną, a wraz z nim, cała jego potęga duchowa. Jego bogactwo z chwilą śmierci — przepada bezpowrotnie dla ogółu. Ono nie może być odstępione innemu.

bogactwo to można nazwać skarbem podwójnie znikomym, nie trzeba bowiem wiele do tego, aby naród bogaty duchowo, i z tego powodu potężny materialnie opadł do stanu bezsilności. Starczyłoby, aby przestały się odtwarzać wielkie i mocne dusze. Do tego, aby znikła wiedza głębsza, nauki, sztuki, wystarcza, aby się nie wytworzyli jej przedstawiciele. W takim razie zostanie mierność, otoczona ciemnotą. Tak więc to, co stanowi o potędze narodu, odtwarza się zawsze tylko w nader nielicznych osobnikach w narodzie.

Gdybyśmy bogactwo duchowe mogli mierzyć jak materialne, wówczas nieliczną garstką osobników najbardziej twórczych, przeważałaby szalę, na której umieścilibyśmy całe pozostałe mrowie narodu.

Czy można takie osobniki, uważać za własność niczyją albo ogólną? Nie! Materiał ludzki nie jest bezwładnym. Nie z samej pracy wyłożonej przez innych, powstaje i nabiera wartości niby kondensator i akumulator tego, co weń włączają. Dusza ludzka jest zrazu drobnem ziarenkiem, które może łatwo zmarnieć, zatrzymać się w rozwoju, ale także może bujnie rozrastać się i osiągnąć imponujących rozmiarów. Prawdziwy mocarz ducha, w jakiegokolwiek dziedzinie, zjawia się niewiadomo kiedy i skąd, a wyrasta najczęściej nie z tego materiału w którym pokładano nadzieje. Nie otoczenie tworzy wielką duszę, jej siłę i wartość, ona sama się tworzy. Może wystrzelić, niby rakieta z nizin, oświecając swym blaskiem cały naród, może siać się błogosławieństwem i chlubą jego, chociaż prawie nic nikogo nie kosztowała. W dziejach najsilniej zawazyli ludzie, którzy sobie zawdzięczali czem byli i co stworzyli.

Zważmy, co wzięli, a co dał z siebie ludzkości jeden Pasteur, jeden Lister, jeden Stephenson, Franklin, Gutenberg, a zgodzimy się, że wartość społeczna każdego z nich przewyższała o miliony razy zarówno ich własną „cenę” społeczną, jak „wartość” razem wziętych milionów innych, pospolitych osobników. Każdy z tych olbrzymów darował masom dobra, niedające się wyrazić w handlowych cyfrach pieniężnych, to, co kosztowali, jest drobnostką w porównaniu z tem, co dali.

Do kogo więc należą te wielkie wartości materialne, które mi i podobnym ludziom bez przerwy zawdzięczamy?

Aby to rozstrzygnąć dość przypomnieć, że każdy osobnik jest równocześnie swoją i społeczną wartością, ale właśnie dla tego wzajemne prawa wszystkich do wszystkich umarzają się i każdy zostaje panem siebie, pod warunkiem że niczego od innych darmo żądać nie będzie.

Jeżeli osobnik jest swoją własnością — to cała jego „wartość” społeczna musi być jego własnością, oczywiście dopóki jej nie sprzedał. Wyżej wyjaśniliśmy, że w trudnych warunkach rynku osobnik twórczy bierze za siebie cenę znacznie niższą od wartości. Jeżeli więc ubolewamy często słusznie nad zbyt niską płacą wyrobnika, robotnika, to wiemy, że istnieją na rynku „wartości”, które nigdy nie osiągają cen, odpowiadających choćby w przybliżeniu wartości ich rzeczywiście. Do takich stale i najmocniej upośledzonych należą wszyscy wielcy. Oni zawsze sprzedają się za bezcen i nigdy nie otrzymują ceny, którąby odpowiadała ich wartości.

Jeżeli jakaś wartość przechodzi z rąk prawego właściciela do innych za bezcen, to zyskują ci, którzy ją biorą, czyli straty osobiste wielkich twórców wyłaniają się dokoła nich w postaci odpowiednich zysków. Co traci jednostka, to zyskują ci, którzy własność jej nabywają lub nabyli po niskiej cenie.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu.

Jeżeli skromny uczoney utrzymujący się ze skromnej pensji odkryje praktyczny sposób zabijania filoksery i opublikuje swoje odkrycie, to hodowcy winorośli zarobią na nim miliony i będą je zarabiać corocznie, gdyż winnice ich byłyby bez niego od czasu do czasu dziesiątkowane nadal, dopóki by kto inny nie odkrył środka skutecznego przeciw filokserze.

Żadnemu z hodowców po uwolnieniu się w tych warunkach od szkodnika nie przyjdzie do głowy myśl, że znaczna część ich zysków płynie z pracy uczonego, nie zapłaconej według wartości, czyli że stanowi własność podarowaną im przez owego człowieka.

Nawet jeśli ktoś zwróci uwagę uczonemu, że odkrycie jego ma wielką cenność realną i założy on fabrykę środka przeciw filokserze i oznaczy taką cenę, żeby zyskiwał połowę tego, co oszczędzi sobie każdy właściciel winnicy, zostanie on niespodziewanie milionerem, ale i wtedy nikt nie będzie skrzywdzony. Właściciele winnic będą jeszcze radzi, bo zarobili to, co na pewno musieliby stracić. Nastąpi tylko rozdział zysków inny, niż w pierwszym przypadku i napewno słuszniejszy.

Wyobraźmy sobie teraz, że filokserę po kilku latach stosowania odkrytego środka zupełnie wytępiono. Majątek uczonego nie będzie się już powiększać, jednak właściciele winnic będą i nadal odnosić corocznie te same korzyści, bo pozbyli się radykalnie szkodnika; korzyści ich osobiste będą zależne od tego, czy skutkiem obfitości wina, towar ich nie stanieje. Jeśliby nie staniał, wówczas zyskiwać będzie hodowca, i jego robotnicy, którzy upomną się o podwyżkę płacy i otrzymają ją, bo hodowca będzie miał z czego zapłacić ich lepiej. Jeżeli zaś wino stanieje, hodowcy i robotnicy zostaną przy swych płacach, ale zysk zostanie, tylko rozłoży się niedostrzegalnie między wszystkich spożywców. Już nie sto tysięcy robotników w winnicach zostanie obdarowanych przez uczonego i nie paruset hodowców, — ale miliony ludzi oszczędzą sobie pewną sumkę rocznie.

Kto sądzi, że umie rozumować, ten przypisze taniłość wina słońcu, wiatrom, deszczom, wreszcie staranności robotników, ale mało komu przyjdzie do głowy, że to sprawiła cicha potęga, być może ukryta nadal w skromnym pokoiku i ani domyślająca się, że corocznie przysparza innym realne miliony.

.

Nie od rzeczy będzie uzupełnić ten przykład jednym z tysiąca autentycznych.

Karol Tellier przez lat 11 studiował sposoby konserwowania zapasów spożywczych za pomocą niskich temperatur i nareszcie w r. 1876 przywiózł pierwszy transport mięsa z Buenos-Aires, świeżego, pomimo, że podróż trwała 105 dni. Tryumf jego był zupełny, zabezpieczył się patentami, ale ojczyzna jego odmówiła mu poparcia i patenty rychło przepadły. Podjęli jednak jego wynalazek Anglicy i Niemcy, uzupełnia-

jąc w drobnych szczegółach i stwarzając przemysł, który wkrótce obrać kolosalnymi kapitałami. Powstały setki Towarzystw, eksploatujących wynalazek, ale Tellier przez całe życie pozostawał w ubóstwie, w ostatnich zaś czasach prawie w nędzy. Nie złamał się jednak duch wynalazcy. Blisko 80-letni starzec spostrzegł, że system oziębiania nie daje się zastosować w krajach o trudnych komunikacjach, zwrócił się więc do całkiem innej metody, do fabrycznego uwalniania płatów mięsa od bakterii wywołujących gnicie i następnie do obsuszania tych płatów. Praca została uwieńczona powodzeniem i w r. 1911 zaprodukował w kilku miastach francuzkich mięso świeże, chociaż dwumiesięczne, doskonałe w smaku i tańsze od oziębianego. Zastosowanie nowej jego metody wpłynęło w wielu krajach na stanięcie mięsa, zawiązało się już bowiem olbrzymie przedsiębiorstwo angielskie, realizujące wynalazek starca. Milionowe „wartości” marniejące w miejscach produkcji (w Kolumbii, Australii, Paragwaju zaledwie trzecią część bydła hodują dla mięsa, reszta przedstawia wartość jedynie skóry), przeczuci tam, gdzie są poszukiwane Mięso — pozbawione na miejscu i ceny i wartości, — odgrywające więc rolę niepotrzebnej nikomu czystej przyrody, przeobrazi w prawdziwe wartości i w towary. Tellier zmarł w 90-ym roku życia. Twórca ten olbrzymiego już przemysłu zmarł wprost z głodu i wycieńczenia na poddaszu. I trzeba trafiać, że w kilka chwil po jego zgonie nadszedł dla niego list z przekazem na 10,000 franków, przysłanym mu przez pewnego przemysłowca, który, przeczytawszy w dziennikach o nędzy wynalazcy, pośpieszył mu z pomocą — za późno“.

XXIII.

Gdzie prawdziwe źródło naszych bogactw?

Z takich to dobrowolnych lub musowych darów jednostek pracowitych, utalentowanych lub genialnych składa się lwia część ogólnego dobra narodów. Od czasów przedhistorycznych dokonywują się odkrycia, wynalazki i ulepszenia; inicjatorowie najczęściej wcale nie odnoszą korzyści, ale po każdym przejmują żyjący całe dziedzictwo duchowe, zwiększają je, sami mi-

jają i pozostawiają zwiększony oraz zmodyfikowany dorobek następcom. W ten sposób narastał kapitał duchowy oraz materialny, którego też przeważna część nie już nikogo nie kosztuje — nikt bowiem za nią nikomu nie pła ci. I oto główna przyczyna, dla której ceny dzieł ludzkich nie tylko nie osiągają ich wartości, ale zwykle trzymają się tak zdala od niej, że nawet nie troszczymy się o poznanie prawdziwej wartości dóbr, z których na każdym kroku darmo korzystamy.

Jeżeli po mocnych duchem pozostaje ich dziedzictwo to dlatego, że zawsze jest dość dużo tęgich dusz, aby je podjąć, a nawet powiększyć, aby owe bezcenne idee nie stały się monopolem jednostek.

Jeżeli powstaje wcielenie jakiejś idei w postać realną „rzeczy nowej“ i użytecznej, wnet setki umysłów twórczych, dokonywają ulepszeń lub przeobrażeń, dają jej nowe zastosowanie. Spójrzmy np. na działalność techników w sprawie zużytkowania odkrytej prężności pary wodnej i następnie coraz lepszego i wielostronniejszego jej zużytkowania.

Zaczynając od czysto teoretycznych działań Branki (1629 r.) i Papina¹⁾ mamy długi szereg zarówno naśladowców, jak rzeczywistych inicjatorów, widzimy łańcuch wybitnych twórców, którzy kolejno przeobrażają słaby kocioł parowy i słaby silnik parowy w postaci, funkcjonujące coraz energiczniej.

Savery, Newcomen (1712), James Watt (1770), Seguin, Murray, Evans, Cavé, Poncelet, Navier i setki innych, doprowadziły do tego, że dziś budują maszyny, dające przez całą godzinę siłę jednego konia parowego, kosztem zużycia, niecałego funta węgla! W połączeniu z innym szeregiem udoskonaleń, ulepszenia te pozwalają dziś przewozić 1000 kilogramów ładunku na odległość 40 kilometrów również kosztem spalania zaledwie funta węgla.

Któż odnosi korzyści z tych zwycięstw ducha oraz kto powinien odnosić? Jeśli zostanie zbudowany przez inżyniera kocioł parowy, dający 10% więcej siły, to odkrycie jego ma stałą wartość oszczędzonego opału. Gdyby część czwarta²⁾ tej wartości oszczędzonej dostawała się

¹⁾ który nawiasem mówiąc nieoceniony i zapomniany, jak tylu innych wynalazców, zmarł w nędzy.

²⁾ Przyjmujemy część czwartą dlatego, że połowę korzyści oddajemy ogółowi.

inżynierowi, stałby się on milionerem. Ale do tego potrzebaby aby postęp zatrzymał się oraz aby inżynier A mógł doczekać się zamiany wszystkich dawnych kotłów na jego model. Warunki te są nieziszczalne. Zanim rok upłynie już ktoś wprowadzi ulepszenia, skutkiem których dalsze zastępowanie zużytych kotłów będzie się już dokonywać nie na model A, lecz na B. Ale i to nie potrwa długo, inni bowiem zbudują jeszcze oszczędniejsze modele C, D, E i t. d. Zysk więc dalszy wymyka się naprzód z rąk A do B, potem z rąk B do C i tak dalej. I dlatego — nawet pomimo poszanowania dla własności osobistej, każdy inżynier następny będzie odbierać poprzednikowi słuszne jego zyski, z tego tylko powodu, że tworzy jeszcze większe wartości zanim tamten swoje sprzedał. W ten sposób wczorajsza wartość ceniona przeobraża się w nieposzukiwaną, dziś ceniona, stanie się jutro obojętną.

W tych wyścigach każdy z inżynierów zyskuje coś, ale najwięcej zyskuje szeroki ogół, który wszystkich przeżywa.

To samo trzeba zastosować do t. zw. kapitalistów. I oni jedni drugim odbierają zyskowność swych udziałów w przedsiębiorstwach Kres indywidualnym korzyściom zakreśla postępek i spółzawodnictwo.

Kwestya tedy: czy zysk, płynący z eksploataowania nowych odkryć lub wynalazków sprawiedliwie przypada jednostkom, stanie się tylko kwestyą stosunku inicjatora do właściciela materyi kapitałowej. Ogół bowiem małowórczy jest tym trzecim, który zawsze zyskuje.

Sprawiedliwsze więc wykonywanie prawa własności duchowej — nie naruszałoby interesów nizin, — redukowałoby jedynie zyski t. zw. kapitalistów.

Gdyby wartości duchowe wchodziły w spółkę z materyalami w proporcji słuszniejszej, niż to się dzieje, szeroki ogół nicby na tem nie tracił, a tylko pewna część bogactw prywatnych zmieniałaby po pewnym czasie właścicieli, przechodząc tam, gdzie być powinna, i niewątpliwie ku korzyści tego ogółu. Masy narodu, biorące słaby udział w tworzeniu, nie odczułyby ujemnie całego procesu, regulacya bowiem dokonałaby się ponad ich głowami.

XXIV.

O rzeczywistych sprawcach wzrastania drożyzny.

Jeżeli to prawda, że dzieła, wytwarzane coraz ekonomiczniejszemi sposobami, zawierają w sobie coraz mniej pracy ludzkiej, a z drugiej strony spółzawodnictwo inicjatorów i wynalazców, nie pozwala im długo korzystać ze zwycięstw ducha nad przyrodą, to w społeczeństwie, które się rozwija, dobrobyt sfer słabo twórczych powinienby się stale zwiększać, wszystko powinno by ogromnie tanieć, albowiem prawie nic nie bywa nadal produkowane sposobami mniej oszczędniemi. Drożeć nie powinno by nic, nawet przedmioty, wytwarzane po dawnemu, bez żadnego postępu.

Tymczasem ceny wielu, i to najpotrzebniejszych towarów wciąż rosną.

Jest kilka przyczyn podobnego stanu rzeczy niezależnych od siebie.

Pierwsza to niejednakowo szybkie wydłużanie się nieważkiego ramienia dźwigni narodu na całej linii wytwórczości (skutkiem czego cenność różnych towarów obniża się z niejednakową chyżością). Gdyby tu nie zachodziły komplikacje i przeszkody, to wobec stałego przyrostu mocy duchowej ceny dóbr we wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności obniżałyby się statecznie, choć nierównomiernie. Najbardziej taniałyby wytwory wysoko rozwiniętej i szybko doskonalącej się techniki (więc np. wyroby tkackie, drukarskie, przetwory chemiczne, dzieła większości gałęzi przemysłu metalurgicznego), — najślabiej niektóre podstawowe produkty rolnictwa, dzieła drobnych rzemiosł i wszystkie te, gdzie przeważną rolę odgrywa najprostsza praca ludzka. Nie byłoby podnoszenia się cen, skutkiem czego byłoby powszechnie oczywistem, że warunki życia wszystkich warstw narodu stale się poprawiają dzięki światłym.

Na przeszkodzie tak prostolinijnemu wyrażaniu się ogólnego poprawiania się dobrobytu staje obniżanie się wartości pieniądza pod parciem słabotwórczych rzesz do lepszego bytu.

Jeżeli dziś płacimy więcej za jakiś towar, to łatwo przyjść do wniosku, że ów towar „zdrożał”, ale kto tak rozumie, ten zapomina o automatycznej kurczliwości pieniędzy. Dość aby prosta praca ludzka musiała być opłacana podwójną ilością pieniędzy, aby pieniądz stracił połowę swej wartości¹⁾.

Wprawdzie nie pieniądz spada tutaj w cenie, bo tylko praca drożeje, ale wychodzi to na jedno, skoro jedyną cennością pieniądza jest praca ludzka.

Kto będzie wpatrzony tylko w większą ilość jednostek pieniężnych, płaconych dziś za towar, ten pomyśli, że towar zdrożał o całą różnicę między jego ceną dawną, a obecną, a tymczasem bardzo być może, że nic się więcej nie zmieniło prócz wyrazu, prócz ceny pieniądza. Pieniądz skurczył się, ale bez zmiany w nazwie. Trzeba odtąd dawać za wszystko więcej jednostek pieniężnych. Różnica w rozmiarach pieniędzy musi być wynagrodzona różnicą w ich ilości. Daje to wprawdzie wrażenie drożenia towarów, ale bez faktycznego drożenia. Nie łatwo spostrzegamy ten odwrotnie proporcjonalny stosunek cen pieniędzy do nie pieniędzy, ale dlatego, że w razie tanienia pieniędzy podlegamy podobnemu złudzeniu, jakiego doświadcza się w windzie, posuwającej się na dół. Zamiast odczuwać opuszczanie się windy, odbieramy wrażenie, że cały dom wznosi się w górę. Zamiast odczuwać drożenie pracy, odbieramy wrażenie, że towary drożeją i dopiero gdy zważymy, że jednak za tę samą ilość pieniędzy nie otrzymuje się już tyle towaru, co daw-

¹⁾ Czy może się co zmienić w cenności (= w cenie) dzieła, które dziś zawiera już tylko połowę pracy ludzkiej, dawniej niezbędnej, jeśli praca dzisiejsza będzie zapłacona dwa razy drożej niż dawniej? Nic, albowiem zysk którą dała maszyna dwa razy wydajniejsza, został pochłonięty przez dwa razy wyższą cenę pracy opłaconej. Produkt nie stanął dlatego że praca zdrożała.

niej, zaczynamy rozumieć, że i zdrożenie pracy stało się fikcją. Pieniądz wszystko wyrównał.

Wniosek z powyższego jasny. Ilość pieniędzy, płaconych za towary dziś i dawniej nie daje bezpośredniej wskazówki co do drożenia lub tanienia towarów.

Jeżeli więc towary nie tanieją tak szybko, jakby tego należało się spodziewać, pierwszą winą tego jest okoliczność, że praca ludzka jest towarem, obdarzonym stałą dążnością do sprzedawania się za możliwie największą ilość pieniędzy. Parcie słabo twórczych rzesz do lepszego bytu obniża cenę pieniądza z większą szybkością, niżeli potęga duchów mocnych przyrabia wartości bezpłatnej.

Jeżeli gdziekolwiek cena pracy prostej wzrasta, lub czas pracy przy tem samem wynagrodzeniu ulega skróceniu, tam zysk, któryby dać powinno spożywcom doskonalenie się techniki, maleje dla nich, lub całkiem unicestwia się wyższą ceną pracy; przechodzi ze spożywców na przedstawicieli pracy prostej. Otóż wobec faktu, że ceny pracy idą w górę, ceny bieżące towarów nie mogą już służyć za wskazówkę rzeczywistego ich tanienia, przeciwnie, bardzo często zupełnie maskują prawdziwy stan rzeczy. Największe złudzenie podnoszenia się cen towarów choć podnosi się tylko płaca słabo wydajnych robotników, zachodzi w tych gałęziach wytwórczości, w których są czynne kapitały najsłabsze.

Do takich towarów należą właśnie przedmioty najpierwszej użyteczności. Tempo opadania cen towarów najważniejszych w budżecie drobnym, rzeczywiście jest najsłabsze. Jeżeli więc np. chleb i mięso nie tanieją, mieszkania drożeją, wówczas robotnik nie odczuwa zwiększania się dobrobytu, pomimo, że kupuje tanio i zużywa wiele takich przedmiotów, bez których dawniej musiał się obchodzić.

Aby dostrzedz w całej jaskrawości błędność takiego rozumowania, wyobraźmy sobie, iż ceny pracy prostej wzrosły dziesięciokrotnie na całej linii wytwórczości. Jakaż stąd korzyść wyniknie? Żadna, albowiem ceny wszystkich to-

warów podniosą się gwałtownie, najwyżej zaś ceny przedmiotów, wytwarzanych w sposób mało ekonomiczny, a większość ich należy do kategorii najpotrzebniejszych. W tych warunkach zysk, spodziewany z wyższej płacy roztopi się w wysokich cenach towarów — zwiększając jeszcze dawne niezadowolenie, gorycz i urazę do sfer więcej posiadających. Mało kto uwierzy, że drożyznę wywołało podniesienie ceny pracy prostej, bo zawsze łatwiej i milej wmawiać w siebie, że się jest krzywdzonym, niżli, że się jest samemu powodem swej krzywdy bądź rzeczywistej, bądź urojonej. Jakkolwiek więc krzywdy tu wcale nie będzie, ale pozory jej będą, zwłaszcza, że w płytkim rozumowaniu spodziewano się z podwyżki cen pracy tego, czego ona dać nie mogła, mianowicie poprawy bytu. Oto błędne koło aspiracji szerokich mas słabo produkcyjnych, które nie liczą się z podstawowymi prawami ekonomicznymi.

Nie tędy więc droga do poprawy bytu mas szerokich. Choćby robotnicy zmówili się skutecznie i podnieśli cenę swej pracy stokrotnie, nic się dla nich więcej nie zmieni prócz tego, że ceny wszystkich prawie towarów podniosą się stokrotnie, czyli że rubel spadnie dla wszystkich do wartości kopiejki.

*

*

*

Wprost inaczej będzie, gdy wyobrazimy sobie, że przy tych samych cenach pracy kapitał duchowy wzrósł nagle [do dziesięciokrotnej potęgi. Wówczas ta sama ilość pracy zacznie dawać dziesięciokrotną ilość bogactwa. Cóż nastąpi? Ponieważ spółzawodnictwo dusz mocnych nie zniknie, bo jest ich nadmiar, więc ceny wszystkich towarów staną się w przecięciu dziesięciokrotnie. Nie będzie i tu równomierności, najtańszymi staną się znowu jedynie produkty kapitałów najekonomiczniejszych (najpotężniejszych), ale ogólny dobrobyt i spożywczość mas wzrosną do niebywałych rozmiarów.

Dwa te przykłady dowodzą niezbicie, że to, z czego szeroki ogół dziś korzysta, zawdzięcza on przeważnie potędze duchowej wyżyn narodu — i tak będzie zawsze. Polepszanie się bytu materialnego wszystkich warstw w narodzie płynie przeważnie z wyżyn, z niedocenianej potęgi twórczej tych, o których twórczości realnej szeroki ogół wątpi najmocniej, bo go wychowano w lekceważeniu społecznych (gospodarczych) zasług inteligencji zarówno bogatej materialnie, jak ubogiej. Od lat sześćdziesięciu czyni się wszystko, aby wpoić w szeroki ogół przekonanie, że tylko robotnik tworzy bogactwa, z których wszyscy korzystają, choć najskąpiej właśnie rzekomo prawdziwi ich sprawcy, robotnik święcie w to wierzy, nie domyślając się nawet jak potwornym grzeszy brakiem logiki a potwornym nazywamy go dla niezmiernie opłakanych następstw.

Jest to już jednak wyłączną „zasługą” Marxów, Leninów, oraz całej falangi złośliwych agitatorów, że tak gruntośnie poprzewracali w słabych głowach, iż trzeba dopiero zapraszać do porównywania bytu szerokich warstw narodu z bytem odległych naszych przodków, aby ocenić należyte te wielkie skarby, z których korzystają najmniej twórcze niziny — nie domyślając się, że nie swoim mięśniom ani głowom je zawdzięczają.

Krańcowi socjaliści którzy apoteozują tylko zylastą pięść, uzbrojoną młotem, a zapominają o głowie, która stworzyła młot parowy, narobili zła, bo zmącili pojęcie wartości i własności prywatnej, będące opoką dobrobytu społecznego i postępu.

XXV.

O niedostatku, ubóstwie i nędzy.

Dużo myślano nad kwestyą nędzy i nad środkami jej usunięcia. Jedni przyczynę jej upatrywali w prawie własności prywatnej, inni dopatrywali się źródła nędzy w zbyt szybkim

przymnażaniu się ludności, w braku pracy, chronicznie powtarzającym się, we wzrastającej drożyznie i t. d.

Kto nie chce tracić słów napróżno, ten musi odróżniać kwestyę nędzy od kwestyi ubóstwa i niedostatku.

Uczucie niedostatku najczęściej pobudza do wysiłków twórczych, jest dążeniem wyżej lub bronieniem się przed opadaniem, uczucie nędzy jest już tylko beznadziejnym bronieniem się bezsilności przed śmiercią głodową.

Czy jednak niedostatek krańcowy może być poczytywany za skutek niesprawiedliwości społecznej, czy może być usunięty na drodze społecznych zarządzeń?

Żdawałoby się, że zaradzenie nędzy powinny być łatwym jednak dużo daje do myślenia fakt, że nędza jest stałym zjawiskiem nawet w społeczeństwach, nie tylko najbogatszych, ale i najofiarniejszych.

Maltuzjaniści kwestyę nędzy sprowadzają poniekąd do kwestyi nadmiaru twórczości życiowej. Niewątpliwie mają oni dużo słuszności, ale dostrzegli jedną tylko przyczynę, gdy jest ich dwie, przyczem ta druga więcej waży od tej, którą uznali za jedyną.

Pierwsza tkwi w bujności życia, które stale i wszędzie powołuje do istnienia więcej ciał, niżeli ich może środowisko wyżywić. Instykt rozrodczy mnoży jestestwa żywe aż do przesylenia środowiska.

W całej przyrodzie życie tryska w ogromnym nadmiarze, ale warunki życia wszędzie są bardzo ograniczone, więc nadmiar idzie ustawicznie na zagładę. Wszystko nieudane ginie już na wcześniejszych stadyach rozwoju z powodu braku wolnego miejsca na ziemi.

Ale byt w cywilizacji odznacza się tem właśnie, że nawet bardzo wadliwy organizm ludzki rzadko umiera z głodu¹⁾. Nawet bez pracy można nie tylko trwać pośród ludzi, ale jeszcze dawać życie, będąc okazem nawskroś zwyrodniałym, czysta przyroda nawet dwu-

¹⁾ Częściej przytrafia się to, niestety, dzielnym dlatego, że ani tak głośno ani tak łatwo nie proszą o ratunek.

dziestu czterech godzin nie tolerowałyby tego. Cywilizacja jest też poniekąd cieplarnią dla wszelkiego rodzaju niedołęgów i wylęgarnią dzieci niedołęgów, które na łonie czystej przyrody nigdy nie mogłyby dożyć wieku dojrzałego.

Przybywa tedy obficie nikomu niepotrzebnego materiału na ludzi, nie tylko dobrego, ale i bardzo wadliwego, surowego, mało lub wcale nieużytecznego, a nawet szkodliwego.

Jedyną rację bytu człowieka w społeczeństwie stanowi jego użyteczność społeczna, warunkiem względnego szczęścia na ziemi jest krzepkość sił i zdrowie, ale dzisiejsze nasze pojęcia nakazują podtrzymywać już nie tylko emerytów lub wdowy i sieroty po nich, co jest najpierwszym obowiązkiem społecznym, ale wszystko bez różnicy, co tylko żyć zaczęło, czyli co zrazu jest tylko dziełem czystej przyrody i niczego więcej.

Szlachetni myśliciele na widok bezmiaru nędzy, w jakiej boryka się materiał ludzki na nizinach bytu społecznego, dzwonią na alarm, niestety, za mało są przyrodnikami, aby zrozumieć, że najgorliwsze nawet zaspokajanie potrzeb tych, którzy się już narodzili w warunkach niekorzystnych, nie zaradzi złemu, przeciwnie im więcej damy pomocy tam, gdzie panuje bezpłodność społeczna, tem więcej powstanie tam nowego życia surowego, domagającego się z kolei nie tylko ratunku przed zagładą, ale zaspokajania bezgranicznych, potrzeb ludzkich.

Jest gorzej. Cywilizacja podtrzymuje istnienie nawet samej szkodliwości społecznej, zawsze pod maską kultu dla duszy ludzkiej.

Był na łonie przyrody podtrzymuje się wysiłkami skutecznemi. Wszystko, co wyszło z normy, co się psuje, czysta przyroda uwalnia od ciężaru życia, zmniejsza sumę cierpień na świecie. Ale okrutne dzieło, przed którym zatrzymała się sama przyroda, pełni względem swych dzieci cywilizacja —

przez „litość” i „miłosierdzie”, nie uwalnia bowiem od ciężaru życia osobników, których byt stał się już samem cierpieniem lub nawet szkodliwością. Moralność ludzka sprzyściła się, aby mnożyć i przedłużać cierpienia pod pozorem ich uchylania, nagromadzać elementy rozkładające się lub rozkładowe, pod pozorem naprawiania ich. Etyka nasza walczy z naturą, ale nie tylko z cierpieniem, lecz z jedyną od niego wybawicielką, ze śmiercią, walczy zaś tak nieszezęśliwie, że miast przerabiać „zło” w „dobro” — mnoży głównie pierwsze.

Ona nagromadza elementy ujemne (passives) pod względem moralnym i zatruwa ciało społeczne. I tu właśnie mamy wiecznie bijące źródło nie tylko nędzy u dołu, ale większej części nieszczęść społecznych w ogólności. Wprost podziw bierze, czemu się o tej stronie bytu społecznego tak niechętnie myśli i mówi w nauce.

Hodujemy nie tylko męczenników, ale nawet zdeklarowaną szkodliwość i zbrodniczość, zawsze przez kult dla życia, ale deklamujemy potem z rozpaczą, że świat się psuje. Jakże się niema, psuć gdy samo miłosierdzie pracuje, aby materiał na ludzi stawał się coraz gorszym!

Miał słuszność znakomity socjolog, Lester Ward, gdy powiedział, że w sztuce społecznego rządzenia się żyjemy jeszcze jak „dzicy” z epoki „kamiennej”, a ludzie „z przerażeniem patrzeć będą kiedyś na nasze dzisiejsze stosunki gospodarczo-państwowe” Dynamic Sociology.

Nawet słabe i zapóźnione w rozwoju narody, zamiast wszystkie siły skierować na ulepszanie wyborowego materiału ludzkiego, pielęgnują dla przyszłych pokoleń nieszczęście, a za to dla ogromnej liczby zdrowych i dzielnych nie mają zmiłowania, gdy przyjdzie kryzys ekonomiczny. Rozpędza się w ciężkich latach¹⁾ wybo-

¹⁾ które zawsze przychodzą po lżejszych, sprzyjających mnożeniu się ludności.

rowy materiały ludzki na cztery wiatry, bez żalu i wyrzutów sumienia, toleruje się i ułatwia emigrację ludności najdzielniejszej, wyrzuca się za okno zdolność, zręczność, wytrwałość i wszelkie wyższe, a nawet najwyższe wartości, które ojczysta ziemia zaledwie wypielegnowała,—zawsze dość dużym nakładem, oddaje się to wszystko darmo na pożytek innego narodu, ale w domu hoduje się w dalszym ciągu i otacza możliwymi wygodami cherlaków, darmozjadów i szkodników, wydaje się ogromne sumy na forsowne pomaganie tym degeneratom, którzy stanowią w znacznej części wiecznych kandydatów już tylko do kadrów zbrodni i nędzy.

Hodowcę zwierząt lub roślin użytecznych, któryby mnożył najgorsze okazy, a najlepsze skazywał na zagładę okrzykniętyby waryatem i szkodnikiem, ale w gospodarce społecznej nazywa się to obowiązkiem!

Dopiero też może kiedyś wyższa moralność, społeczna, zacznie rozwiązywać racjonalniej kwestję szkodliwości społecznej, stanowiącej wiecznie otwartą i krwawiącą ranę społeczną i główne źródło nędzy i zbrodni.

Miał słusność Ward. Ludzie ze zgrozą wspominać kiedyś będą naszą „sztukę” rządzenia się, nasze pojęcia o obowiązkach miłosierdzia.

XXVI.

Co mniemać o szkodliwości drożyzny środków spożywczych?

Teraz dopiero miejsce na trafną ocenę pewnego zjawiska, powszechnie uważanego za nieszczęście narodu, mianowicie na wzmaganie się drożyzny środków żywności. Sprawa ta

wymagała uprzedniego zrozumienia, czem jest wszelka drożyzna, albowiem wcale nie jest identyczna z drożyzną środków nie spożywczych, a przytem wiąże się z kwestją granic wydajności ziemi, oraz zagadnieniem kierunku, w jakim potoczy się rozwój stosunków ekonomicznych, które ulegają coraz donioślejszym zwiłkaniom pod parciem szerokich mas do lepszego bytu.

Podnoszenie się cen żywności zachodzi we wszystkich niemal krajach, lubo nie z jedną chyżością i wywołuje wszędzie zaniepokojenie.

Jest to dla nas rzeczą dziwną, że niemal wszyscy traktują ową drożyznę jak o zło, przeciw któremu należy szukać środków zaradczych w coraz doskonalszej produkcji.

Dopóki tak mniema nieoświecony ogół, jest to rzeczą zrozumiałą. Ale dziwnem jest, że nie tylko ekonomia, lecz nawet socjologia uważa owe dążenia za pożyteczne dla dobra ogólnego.

Nie możemy jednak z taką prostotą spoglądać na zagadnienie drożyzny chleba powszedniego i wręcz musimy wyznać, że nie dziwi nas to zjawisko, nie żywimy złudzeń, aby obniżanie się cen głównych artykułów żywności, gdyby nawet było możliwe, miało wychodzić komukolwiek na korzyść.

Ludzie marzą, jako o szczęściu o pomnażaniu środków żywności.

Powtarza się tu zupełnie to samo, co w świecie przedstawicieli pracy niekwalifikowanej, który dąży jedynie tylko do podwyższania cen pracy i w tem widzi jedyne lekarstwo na biedę swoje. Przekonaliśmy się przecież, że podwyższanie cen pracy bez zwiększania jej wydajności jest deptaniem w miejscu bez pozytywnych rezultatów. Im wyższa płaca, tem wyższe muszą być ceny towarów, co w rezultacie sprowadza iluzoryczne korzyści robotnika do zera. To samo trzeba mniemać i o skutkach przymnażania żywności, lubo dla innych przyczyn i następstw. Błąd opiera się na przeoczeniu prawa natury, które znamy pod mianem stałego przesyce-
nia środowiska.

Środki spożywcze podlegają innemu prawu, niż pozostałe

działa ludzkie, w poprzek bowiem prawu podaży i popytu staje tutaj żywołowa dążność życia do szerzenia się. Nadmierna obfitość płótna, rzucona na rynek, obniży cenę płótna do granic ostatecznych i wyjdzie więc spożywcom na dobre. Ale nadmierna obfitość chleba, rychło powoła do życia nowy kontyngens ludzi i zwiększy zapotrzebowanie chleba, prowadząc stosunki do dawnego stanu.

Trwałego obniżenia się cen chleba nie należy spodziewać się jeszcze i dla innych powodów.

Gdy dawniej w płodach spożywczych znajdowało się bardzo dużo pracy przyrody, bardzo zaś mało pracy ludzkiej oraz kapitału, dzieła te pod względem gospodarczym przedstawiały się tak, jak dzieła przemysłu, wytwarzane przez najpotężniejsze dźwignie, pomimo, że były wytwarzane przez dźwignie słabe.

Dziś stosunek ten, w miarę przymnażania się ludności, zmienia się wciąż na gorsze. Twórczość natury musi być wspierana coraz mocniej twórczością ludzką, skutkiem czego w materyałach spożywczych tkwi coraz więcej pracy ludzkiej płatnej, a coraz mniej bezpłatnej pracy przyrody, produkty rolne zaczynają się stawać coraz bardziej dziełami przemysłu.

Zboże, mięso, ogrodowizny nie są już dziełami przyrody, zawsze w nich dużo pracy prostej, która kosztuje najdrożej i kompensuje wysokowartościową a niskopłatną pracę dusz mocnych. Pomimo więc, że są tu już zaangażowane nawet i mocne kapitały, są to jakgdyby dzieła słabych dźwigni.

Czy środków żywności będzie przybywać, czy nie będzie, nic się nie zmieni, bo w pierwszym razie będzie się wznagać zaludnienie, w drugim drożyzna, obie zaś przyczyny prowadzą do tych samych następstw.

Żadne doskonalenie produkcji środków spożywczych nie spowoduje obniżania się cen żywności, — ale za to niewątpliwie umniejsza i będzie umniejszać te wielkie zyski, jakie obiecuje na wszystkich pozostałych polach twórczości coraz ekonomiczniejsza gospodarka, i to o tyle właśnie, o ile przymnaża ludności.

W interesie ducha i dla osiągnięcia możliwie większe sumy szczęścia w świecie ludzkim, nie leży wcale mnożenie rodu ludzkiego w nieskończoność, ale jedynie ulepszanie dusz, bo świat ludzki to nie królestwo ciał lecz ducha, ilość zaś ciał nigdy nie zastąpi jakości dusz. Mnożyć należy to tylko, co idzie z ducha i służy duchowi. Co zaś sprzyja przybywaniu surowego a zwłaszcza pośledniego materiału ludzkiego, zuboża tylko naród, rozpraszając owoce twórczych wysiłków na większą liczbę głów i utrzymując status quo ante.

XXVII.

Wiek kapitalizmu.

Wiek XIX słusznie nazwano wiekiem kapitalizmu, bo jeszcze nigdy, nie był on tak twórczy, na obszarze, zajmowanym przez rasę białą, zwłaszcza przez najpotężniejsze ekonomiczne jej odłamy.

W końcu XVIII-go stulecia siła maszyn w Anglii równała się sile roboczej 10-ciu milionów ludzi, zrozumiemy co za przewrót zaszedł w ciągu krótkich lat 80-ciu. W roku 1870 siła machin doszła do wydajności siły miliarda ludzi.

Gdybyśmy nawet przyjęli, że przy tych machinach pracuje 20 milionów ludzi, a nad wytworzeniem ich pracowało choćby drugie 20 milionów, okaże się, że nad produkcją bogactwa Anglii pracowała w roku 1870 sama przyroda z siłą 960 milionów ludzi.

Jeżeli odliczymy starców, dzieci i niezdatnych do pracy, to będziemy mogli powiedzieć, że maszyny angielskie pracowały na korzyść Anglii z siłą całej ludności ziemi. Zatem duch anglików pracował dla nich z siłą ludności całej ziemi. Czy może nas dziwić szybki wzrost bogactwa Anglii, gdy

w ciągu lat 80-ciu wiedza zaprzęła tam sto razy więcej niż dawniej sił przyrody?

Sprowadziło to niesłychane przymnożenie bogactwa, a także przeobrażenie wszystkich stosunków ludzkich, tembardziej, że za Anglią, do wyścigu, poszło jeszcze kilka innych narodów. Tak nadzwyczajnego skoku w przyroście użytecznej twórczości próżnoby szukać w całej historii świata.

Jednak wcale nie w intencji podkreślenia dobroczynnej potęgi kapitału zamianowano wiek XIX wiekiem kapitalizmu. Uczyniono to w zamiarze wprost odwrotnym, dla napiętnowania społecznego ustroju mianem wyjątkowo niesprawiedliwego. Wszak to niezadowoleni ochrztili ubiegłe stulecie tem mianem, nadając mu treść złowrogą. Kapitał ogłoszono za „prawnie usankcyonowaną formę rabunku”, za wroga „pracy”.

Ustrój kapitalistyczny ma oznaczać ustrój, w którym nieliczni posiadają owoc pracy bardzo wielu osobników, odebrany im na drodze ciągle niesprawiedliwego dzielenia się zyskami, płynącymi ze wspólnej pracy.

Dlaczego jednak dopiero wiek XIX miałby być napiętnowany mianem „kapitalistycznym”, gdy wszystkie czasy znają kapitał i posiadaczy kapitału, skoro nigdy nie było innego ustroju nad kapitalistyczny.

Oto dlatego, że kapitał nigdy jeszcze nie pomnążał się tak błyskawicznie, jak w wieku XIX-m i nigdy jeszcze nie przysparzał tak wiele bogactw użytkowych, jak teraz.

Jeżeliby miało być prawdą, że kapitał jest owocem pracy, odebrany klasie przeważnie fizycznie pracującej, to z nieodpartą logiką należałoby przyjąć za prawdę, że ta klasa poczęła nagle w wieku XIX-stym pracować bez porównania silniej, niżeli we wszystkich wiekach poprzednich i że stosunkowo mała garść „wyzyskiwaczy” zagarnia ustawicznie dla siebie wszystkie owoce jej pracy. Tymczasem wszędzie dzień roboczy ulega skróceniu, a mimo to zapłata za pracę pozwala coraz lepiej żyć robotnikom, zwłaszcza w przemyśle fabrycznym, którego kapitały rosą z największą szybkością.

Pochodzenie tak błyskawicznie rosnących kapitałów jest zgoła inne. Fizycznym niepodobieństwem jest, aby to miał być owoc pracy najemników źle płatnych. Pomijając nieliczny kontyngens, cierpiących nędzę, przeważnie niepracujący, albo jako ciemny i niechętny, pracujący źle, cała pozostała ilość jako tako pracujących cieszy się nie tylko dość znaczną spożywczością, ale jeszcze corocznie odkłada w kasach oszczędności, mijionowe oszczędności, stając się na małą skalę klasą posiadającą.

Skądże się bierze to wszystko? Odpowiedź daje dopiero nasze ujęcie kapitału, jako maszyny, którą poruszają dwie nierówne siły: ludzkie fizyczne i siły przyrody, przyczem stosunek obu sił ustawicznie zmienia się w ten sposób, że pracuje na korzyść naszą coraz więcej sił przyrody. Kapitał — to istotnie zaoszczędzony owoc pracy, ale w małej tylko odsetce pracy zwykłych robotników i w ogólnej ludzkiej — w największej zaś części samej przyrody, puszczonej w ruch przez potężnych duchem. Nie może to już być owoc odebrany nieprawowicie robotnikom (na drodze niesprawiedliwego podziału zysków), tylko owoc, zdobyty na samej przyrodzie. Robotnicy w niczem się do niego nie przyczynili, bo zużyli już tę wartość, do której pojawienia przyczynili się istotnie swą pracą. Zagadka ogromnego przyrostu bogactw spoczywa w fakcie, że kapitał dzięki wysiłkom duchowym najświetlejszych nigdy jeszcze nie był tak mocny, jak obecnie.

Korzyści zatem, na które zawistnym okiem patrzy klasa robotnicza, płyną z bezpłatnej pracy przyrody, uruchomionej nie przez nich. Kapitalista czynny nie tylko nie potrzebuje czyhać na tanią pracę prostego robotnika, nie potrzebuje go „wyciskać jak cytrynę”, ale przeciwnie jest w możności opłacać ją i nawet opłaca ją coraz lepiej. Kosztem zbyt słabo opłacanych wyższych inteligentów, przedstawicieli wielkiej mocy duchowej. Wiadome przecież, że jest ich zbyt dużo na to, aby się mogli drożyć. Tworzą oni, dla innych, jak „bogowie”, dla samej przyjemności i żądzy tworzenia.

„Wiek kapitalizmu”, to pusty frazes, bo innego ustroju nad kapitalistyczny nigdy nie było i być nie może w społeczeństwie rozwiniętem z pieluch bytu przedspołecznego. Ustrój kapitalistyczny — to tylko rozwinięty ustrój społeczny, w którym marnieje to tylko, co samo się wydziedzicza pozbawione zalet społecznych.

Nie z krzywdy ludzkiej wyrosły i wyrastają bogactwa kapitalistów, lecz z rozwiniętej władzy nad przyrodą, jaką wywierają dzielni. I dlatego też pozostały za nią w tyle ciemnota, bierność i niedołęstwo, które umieją tylko skarżyć się i zazdrościć, gotowe zawsze brać, ale bez odpowiedniego dawania. Pracy dzielnej i głów dzielnych ustrój kapitalistyczny jest prawie zawsze sprzymierzeńcem, o ile tego nie pokrzyżują źli ludzie jakiegokolwiek kategorii.

Kapitał mocny, więc bardzo twórczy, jest źródłem nie tylko bogactwa tych, którzy nim rozporządzają, ale także obniżania się cen większości towarów i dóbr publicznych, więc nigdy ubóstwa rzesz słabotwórczych. Między bogaceniem się jednostek mocno twórczych, a ubóstwem słabo twórczych niema związku przyczynowego. W zwykłym porządku rzeczy nie kapitał, ale ciemnota mas i próżniactwo są źródłem ich ubóstwa.

Nie zgadza się ten wynik z oklepanemi frazesami niesumiennych demagogów i agitatorów komunizmu ukrytych wrogów i szkodników narodu, dlatego, że owi płytki, a złośliwi pochlebcy tłumów nie chcą mu mówić prawdy w oczy — i wszystko złe widzą po jednej stronie — zamykając oczy na istniejące po drugiej.

Nie zamierzamy iść wzorem pochlebców. Nie myślimy twierdzić jakoby szerokim warstwom pracującym bez własnego kapitału nigdy nie działa się krzywda. Przeciwnie, jesteśmy głęboko przekonani, że świat ludzki pełen jest krzywdy, podobnie, jak zwierzęcy i możemy być raczej zaliczeni do pesymistów, bo wierzymy, że krzywda jest nieśmiertelną i nic jej nie usunie z oblicza ziemi. Ale też właśnie dlatego, że z krzywdą należy walczyć, aby ją sprowadzać do

możliwego minimum, mamy obowiązek dobrze rozróżnić krzywdzicieli od sprawiedliwych, abyśmy się sami nie stali krzywdzicielami i niewdzięcznikami.

* * *

Widzieliśmy, że słabe kapitały nie mogą rościć pretensyi do równie znacznych zysków co mocne. Widzieliśmy, że duże nawet zyski nie muszą płynąć z krzywdy ludzkiej.

Prawdą jest, że bogactwo, niesprawiedliwie jest rozdzielone, że nie według zasług, ale według ślepego trafu lub przemocy, ale ta niesprawiedliwość dotyka nie tych, którzy rozporządzają jedynie tylko niższemi władzami ludzkiemi.

Nie z „potu” tych wszystkich, którzy się najgłośniej upominają o własność wielkich, zagarniętą jakoby przez t. zw. „kapitalistów”, ale z wysiłku i wiedzy duchów najświetlejszych (kapitału duchowego) powstaje bogactwo, a gdyby tych duchów nie stało, znikłby kapitał, zużyty wkrótce przez wszystkich.

XXVIII.

Czemu towary tanieją zbyt powoli?

Raptowny wzrost potęgi twórczej ziścił się w krajach najbardziej oświeconych i przemysłowych, siła robocza maszyn Anglii, Francyi stała się kilkadziesiąt razy większą, niż była przed stu laty, jednak ceny dzieł przemysłu fabrycznego nie spadły wielokrotnie, jak tego należało oczekiwać.

Ogromna obniżka cen zasłaby nieuchronnie, ale pod wa-

runkami: 1) aby ta sama liczba ludzi tym samym wysiłkiem ciał wyrzucała na rynek o tyle więcej towarów, o ile wzmogła się siła fizyczna kapitałów; 2) aby odbiorców tych towarów była ta sama ilość ludzi, co dawniej, nie zaś większa; 3) aby siła wszystkich kapitałów stała się maksymalną, i 4) aby produkowała te same co dawniej przedmioty, co dawniej.

Żadnemu z tych warunków nie stało się zadość:

1) ludność wszystkich krajów wzrosła (dwukrotnie);

2) tylko część kapitałów czynnych stoi na wysokości technicznego maximum chwili;

3) siła twórcza nie idzie wyłącznie na produkowanie bogactwa takiego samego, jak dawniej. Iście bajeczne siły twórcze narodów przodujących, wcieliły się zaledwie w małej części w zwykłe bogactwo prywatne, w ogromnej zaś części w kapitały oraz w bogactwo publiczne.

Jako bogactwo publiczne, krajowe, służy on wszystkim w kraju, choć nikomu wyłącznie, ale jako kapitał prywatny zwrócił się na zewnątrz, i służy już przedewszystkiem za narzędzie bogacenia się.

Jest jeszcze trzeci i czwarty upust dla potęgi twórczej mocno rozwinięta produkcja dzieł zgoła wątpliwej użyteczności. Tu należą chęć i potrzeba reklamy i zaćmiewania się wzajemnego, militarizm wreszcie produkcja przedmiotów prawdziwego zbytku. Wszystko to mocno zredukowało korzyści, przewidywane dla szerszego ogółu i zwolniło mocno tempo opadania cen towarów rzeczywistej użyteczności.

Jeżeli jednak uwzględnimy szczególne warunki, w których znalazły się narody mocno twórcze, spostrzeżemy, że nie mogło stać się inaczej. Siła twórcza kapitałów mocnych nie mogła pozostać w roli dostarczycielki dzieł użytecznych wyłącznie dla ludności kraju własnego, albowiem istnieją korzystne rynki zbytu dla towarów poza krajem, dalekie od nasycenia.

Towary nie mogą spadać gwałtownie w cenie w kraju bardzo twórczym, dopóki zagrani-

ca gotowa płacić ceny dość wysokie, z powodu że u siebie musiałyby płacić jeszcze wyższe.

Więc dopóki za te same towary można osiągać na rynkach zewnętrznych ceny lepsze, dopóty nie leży w interesie wytwórców wstrzymywanie się od produkowania ich w ilości zbytecznej dla kraju, ani też obniżanie cen na rynku wewnętrznym.

Zamiast produkować coraz taniej dla kraju, producenci woleli produkować dość drogo dla obcych, poszukując na coraz odleglejszych rynkach zbytu. Choćby igła lub maszyna do szycia kosztowały 10 razy taniej, naród nie może zużyć igieł i tych maszyn więcej, niż ich potrzebuje. Choćby płótno nie wiem jak taniało, zużycie jego ma swoją granicę.

Ale czego jeden naród nie potrzebuje, tego może pożądać zagranica, która to wszystko produkuje drożej, bo większym nakładem pracy ludzkiej. Otóż mnóstwo towarów tanich zaczęło odpływać do krajów obcych. Narody słabo produkcyjne, zamiast wyrabiać je swojemi, droższymi sposobami, zaczęły je chętnie kupować u obcych. Rozwinął się kolosalnie wywóz i handel.

Produkcya towarów codziennej potrzeby, stała się dla narodów mocnych produkcją materji kapitałowej. Materji kapitałowej ustawicznie przybywało. Ponieważ zaś nie można było już tej ilości uruchomić z równą korzyścią na wewnętrzne potrzeby kraju, przeto poszły do pracy na obcych terenach, poszły na podbój ekonomiczny obcych krajów na korzyść macierzystego.

Ostatecznie egoistyczna ich działalność stała się pożyteczną dla przyszłości ich kraju, oddaliła tylko chwilę przesylenia rynku wewnętrznego przez rozszerzenie go w rynek światowy, mogący pochłonąć bardzo wiele i zapewniający do czasu mocnym narodom nie tylko owocną działalność, ale i wielki przyrost bogactw. Działalność mocnych dusz w narodzie oraz kapitalistów, lubo jeszcze nie dała całej ludności zysku spodziewanego, to jednak rozszerzyła ich ojczyznę i zwiększyła jej siłę.

Aby gruntownie zrozumieć, co się teraz dzieje w świecie,

trzeba porzucić ciasny widnokrąg jednego miasta, powiatu, a nawet kraju i spojrzeć z wysoka na glob ziemski. Trzeba spojrzeć na sieć dróg żelaznych, coraz gęściej oplątujących ogromną jej powierzchnię. Wszak już kosztowną linią drogi żelaznej możnaby opasać dwadzieścia dwa razy ziemię na równiku! Dość spojrzeć na pajęczą płataninę drutów telegraficznych i kabli podmorskich, na dziesiątki tysięcy statków, krążących po wszystkich morzach, na te tysiące miast i miasteczek, opatrzonych siecią wodociągów, rur gazowych, przewodów elektrycznych i t. d., i t. d., i dość pomyśleć, że jeszcze przed stu laty nie było tego wcale, aby pojąć gdzie skierował się ów bezmiar sił przyrody, posłusznie pracujących pod kierunkiem ludzkiego rozumu i woli? To wszystko nie dzieło mięśni ludzkich, jak zapewniają socjaliści i anarchiści, nie dzieło przeważnie mięśni ludzkich, jak to było w starożytnym Egipcie w Helladzie i Państwie Rzymskim, ale, dzieło samego cieplika, uwalnianego przez geniusz duchów najświatlejszych z węgla, pary wodnej, to dzieło sztywności żelaza, twardości i elastyczności stali, powinowactw i antagonizmów chemicznych, siły ciężenia, magnetyzmu, elektryczności i t. d., i t. d.

Dość ogarnąć wzrokiem te wszystkie urządzenia, aby pojąć, że wybujały jak nigdy kapitalizm lat ostatnich oddał się na usługi wszystkich. Każdy coś skorzystał nawet najbiedniejszy.

Znikły odległości, zbliżyły się kraje, wymiana towarów odbywa się tak łatwo między odległymi krajami jak do niedawna między wioskami. Tym samym kosztem, co dawniej spożywaliliśmy płody własnej okolicy, jadamy płody czterech części świata, znikła groza klęsk głodowych, dawniej dziesiątkujących kraje, tysiącom nowych potrzeb łatwo czynimy zadość. Płacąc stosunkowo skromne podatki, korzystamy z niezliczonych dobrodziejstw wielostronnej własności publicznej, jesteśmy za drobną opłatą obsługiwani przez pocztę wszechświatową, przez drukowane słowo, tanie jak nigdy, wszystkich współwłasnością są niezliczone wygody publiczne, i to takie, o jakich do niedawna nie marzyło się nawet największym potentatom. Słowem powiększyło się kolosalnie

nie tylko bogactwo prywatne, ale publiczne, t. zn. należące do wszystkich, nawet najuboższych osobiście. Każdy bierze udział w tem wszystkim, czy kto posiada jeszcze prócz tego własny majątek, lub go nie posiada. Kapitał nie obsługuje jedynie bogatych, jak o tem bałamutnie zapewniają socjaliści, komuniści i anarchiści, przeciwnie, rozszerzył jak nigdy bogactwo publiczne, dostępne darmo lub prawie darmo dla wszystkich.

Skądże wzięła szybko potężniejszą moc twórczą ducha angielskiego, a wkrótce potem francuskiego, materię kapitałową, której poprzednio nie było znowu tak wiele? Otóż zrazu duch twórczy wziął się małemi środkami do wyzyskiwania bogactw naturalnych kraju własnego. Węgiel i żelazo własne przeobraził w maszyny, w koleje żelazne i okręty. Wcielił się w dźwignie coraz potężniejsze, które oddały się na usługi handlowi międzynarodowemu, Dzieła przemysłu angielskiego a później i francuskiego szły arteriami wodnymi i lądowymi do najodleglejszych krajów, a wracały surowe i półsurowe płody naturalne obcych krajów. Przerabiano je w ojczyźnie na dzieła przemysłu, rozsyłano znowu, biorąc wzamian płody naturalne. Zasadą handlu, jako źródła bogactwa narodów, jest kupowanie towarów tam, gdzie są najtańsze, sprzedawanie tam, gdzie za nie najlepiej płać. Najtańszymi są wszędzie swojskie płody natury, więc sieć ulepszonych komunikacji zaczęła Europie Zachodniej służyć do coraz tańszego sprowadzania tych płodów, które w krajach obcych spoczywają w nadmiarze. Te płody w stanie półprzerobionym lub całkiem przerobionym sprzedawano zaraz do krajów, gdzie były pożądane, ale niedostępne dla braku własnego handlu i dróg komunikacyjnych. Zyski stąd płynące, w znacznej części przeobrażano w mocny kapitał, więc rozszerzano i ulepszano sieć komunikacji, zwiększając swą siłę handlową oraz przemysłową. Oto rozwiązanie zagadki czyim kosztem rozwija się coraz potężniej sieć komunikacji angielskich, lub za angielskie pieniądze budowanych w krajach obcych i służących przedewszystkiem Anglii. Rychło Anglia stała się dostarczycielką dzieł ludzkich, zaś odbiorczynią dzieł przyrody obcych krajów,

ciągnąc ogromne zyski ze swojej roli. Za jej przykładem poszło kolejno kilka innych narodów, najlepiej przygotowanych do rozwinięcia tej samej siły. Podzielono się terenem operacji handlowych i „sferami wpływu” i dziś kraje te zarzucają swemi towarami rynki całego świata, co więcej, rozrzucają już nawet materję kapitałową w postaci pieniędzy, oddając ją za opłatą do użytku tym narodom, które własnych mają za mało.

Towary zatem mocnych narodów płyną nieprzerwanemi potokami po całej ziemi i powracają pod postacią pieniędzy albo tanich surowych płodów do ognisk przemysłu, skąd znowu w ten sposób wracają w postaci surowych płodów lub większej ilości pieniędzy. Ekscentryczny prąd kołowy towarów wytwarzanych ekonomicznie w ogniskach silnej produkcji musi trwać póty, póki nie wyrówna braków wszędzie, dokąd ma dostęp. Wówczas dopiero ceny w kraju o mocnej produkcji zaczną ulegać obniżce, wywołując kolejno wszędzie odpowiednie obniżki.

Zysk więc krajów mocnych na tem polega, że za czysto duchowe wartości — biorą materialne, podobnie, jak strata krajów słabych w tem znowu leży, że oddają materję kapitałową (złoto lub bogactwo naturalne, chociaż mają ich ilość ograniczoną) za wartości, podlegające zupełnemu spożyciu, które oddawców niewiele już kosztują, bo płyną z nieopłacanej już nikomu potęgi duchowej. Kraje przemysłowe zaopatrują świat pozostały w bogactwo, podległe spożyciu, ale odbierają bogactwo naturalne (bo innego nie potrzebują), przeobrażające się w kapitał mocny. W ten sposób narody mocne, zubożają bez przerwy ludy mniej twórcze, które spożywają więcej niż tworzą, i nie mogąc płacić dziełami własnego ducha, rabuj-swe ziemię z bogactw naturalnych.

Nad wyzuwaniem z naturalnej własności narodów słabo produkcyjnych, ale dużo spożywających, pracuje cały system środków komunikacyjnych i cały system kredytowy narodów mocnych.

Co więcej narody mocne nie dają czasu słabszym

do wzmocnienia się, bo wciąż je ubiegają. Mocny kapitał cudzy, niby smok dwugłowy zapuszcza swe dwie paszcze we wszystkie zakątki świata, i jedną paszczą zsypuje wartości, ale drugą czerpie znacznie więcej, niż daje.

Od wieków prowadzi się taki proces, ale dawniej dokonywał się na małą skalę, więc nie wyrządzał szkód gwałtownych.

Dopóki potęga ducha nie była tak wielką, u niektórych przedstawicieli rasy białej, póty nie stanowiła niebezpieczeństwa dla rozwoju narodów uboższych duchem. Dojrzawały one wiekami w ciszy do czasu, aż przychodził na nie okres męźnienia duchowego. Jedne rosły w górę i rozwijały swoistą cywilizację, inne drzemały jeszcze na nizinach, szarpane od czasu do czasu przez wyprawy wojenne chciwych łupu sąsiadów, ale szarpane niezbyt szkodliwie. Z czasem przychodził zmierzch siły drapieżnych sąsiadów, wyczerpanych używaniem, a wtedy budził się naród drzemający, niekrepowany, swobodny, goił swe rany i rósł powoli w siłę twórczą oraz bogactwa.

W tak sielankowych stosunkach, trwających przez liczne wieki, wywołało gruntowny przewrót dopiero ostatnich lat kilkadziesiąt. Już nie tylko siła ramienia, nie zastępy męźnych wojowników, nie miecz, nie łupy i kontrybucje wojenne, nie okropności wojny, okrywające kraj zgłiszczami i mogiłami wycieńczającą ludy słabsze i rzucającą je pod nogi zwycięzców, ale mocno twórczy kapitał, idący na podboje na pozór z różdżką oliwną i dłonią pełną nęcących oko i serce bogactw. I dokonywa podbojów stokroć cięższych niżeli dawne wyprawy krwawe po łupy.

Już trzecie pokolenie narodów mocnych pracuje nad kompletnym gospodarczym podbojem świata, ale bierne, słabotwórcze i ciemne narody i ludy, choć zadłużają się coraz głębiej u bogatych dostarczycieli dobrobytu, nie spostrzegają, że przejadają swoją ojcowiznę, a gdy przyjdzie opamiętanie, nie będzie już ani co ratować, ani czem wyrwać się z niewoli, bo choćby się i zja-

wiła moc duchowa, to bez własnej materji kapitałowej — i bez własnej ziemi będzie już zmuszona pracować tylko na rzecz właścicieli tej ostatniej. Narody słabe nawet u siebie w domu staną się już tylko sługami i dłużnikami obcych.

XXIX.

Nauka o potrzebach narodu.

Znaczna część pisarzy, określa ekonomję, jako „naukę o dobrach”, Karol Gide jednak słuszną wprowadza poprawkę, mówiąc, że przedmiotem ekonomii nie jest samo bogactwo, ale „stosunki powstające między ludźmi żyjącymi w społeczeństwie, w zakresie ich potrzeb materyalnych” ¹⁾.

Z uwagi jednak, że właściwie niema stosunków ludzkich poza społecznych, można powiedzieć, że przedmiotem ekonomii są stosunki międzyludzkie, póki chodzi o jednostki ludzkie, międzynarodowe zaś, o ile chodzi o społeczeństwa. Na nic bowiem nie zda się generalizowanie stosunków społecznych, skoro ponad osobnikiem, stoi zawsze nie „ludzkość”, ale naród, żywa całość skończona sama w sobie, ze swemi własnymi prawami do bytu, do niezależności i doskonalenia się wszechstronnego. Kartezjusz odkrył dopiero połowę prawdy, gdy powiedział: cogito — ergo sum, myślę — więc jestem. Druga połowa tej prawdy odsłoniła się z chwilą rozpoznania stosunku mowy do myśli. Dziś „ergo” kartezjuszowskie ma inne zakończenie. Myślę, więc jestem, ale nie sam, bo jestem przecież człowiekiem przez to, żem częścią na-

¹⁾ „Zasady ekonomii społecznej”. Warszawa, 1913, s. 3.

rodu. Myślę, więc jest nademną naród, rzecz większa odemnie. Myślę, więc jestem synem mej Ojczyzny. Czy ona wielka, czy mała, jednak mi droga, bo tylko ona jest moją.

Wszystko, co żyje, musi walczyć o miejsce na ziemi, o zachowanie swej indywidualności. Zwierzę, ta biedna efemeryda, prowadzi walkę prostą i jedną, bo tylko o zachowanie swego ciała i gatunku, ale człowiek musi prowadzić aż trzy walki o zwierzęcą sytość, zaspokojenie ludzkich potrzeb ciała, o interesy ducha, wreszcie o interesy narodu, ojczyzny.

Gdy wszakże niejednakowa jest potęga gospodarcza narodów, ich polityka gospodarcza nie może być jednakową. Polityka ekonomiczna narodów silnych dąży jak widzieliśmy do najkorzystniejszego wyzyskania stosunków sąsiedzkich, polityka zaś narodów słabszych do obrony, zwłaszcza na punktach najbardziej zagrożonych.

Olbrzymie znaczenie Adama Smitha polegało właśnie na tem, że pierwszy wykazał w czem leży słabość i potęga narodów, że był pierwszym ekonomistą narodowym. Marx jest rzecznikiem tylko człowieka, a nawet jednej tylko klasy ludzi i dlatego jest apolityczny, międzynarodowy, a nawet wprost antynarodowy. Jednak gdy Smith był ekonomistą narodu mocnego, nauka jego nosiła cechy jednostronne, dopiero Fryderyk List¹⁾, jest ekonomistą narodowym, bo uzupełnił dzieło Smitha, który był dlań jeszcze nazbyt kosmopolitą oraz indywidualistą, jako bezwzględny rzecznik niekrepowanej konkurencji. Łatwo jednak zrozumieć czemu Smith, będąc narodowym, mógł być kosmopolitycznym. Oto on nie drżał o przyszłość narodu swego, nie obawiał się dlań niczyjej konkurencji. Dopiero List, patriota niemieckiego narodu, bardzo wówczas słabego ekonomicznie, mógł spostrzedz, że co jest dobrem dla mocnych, może być zgubnem dla słabych. Więc szukając środków do prędkiego podźwignięcia sił swej ojczyzny, udowodnił, że nie rolnictwo ani handel, ale do-

¹⁾ Das nationale System der politischen Oekonomie, Stuttgart 1840. Siódme wyd. 1884.

piero „siła przemysłowa wpływa na wszechstronny rozwój narodu”. Zauważył, że narody bogate i potężne przechodziły w swym rozwoju przez cztery fazy, z których dopiero ostatnia daje bezwzględną przewagę nad innymi narodami; więc ponieważ narody nie żyją w odosobnieniu i nie stoją na jednym stopniu rozwoju, przeto pomyślny rozwój narodu słabszego gospodarczo wymaga innej polityki niż polityka silnych, a także wymaga polityki, zmieniającej się stosownie do potrzeb chwili.

Gdy w pierwszej fazie mało jeszcze kapitału, przeto na zaspokajanie wszystkich potrzeb musi wystarczać rolnictwo. Należy dbać o jego rozwój i o najkorzystniejszy wywóz płodów rolniczych. W tej fazie trzeba obcemu przemysłowi otworzyć wolną drogę do kraju.

W drugiej fazie zawiązuje się w kraju wytwórczość przemysłowa. Ponieważ ona jest zrazu słaba, więc rozumna polityka nie pozwala na utrudnianie przywozu obcych dzieł przemysłu, zwłaszcza narzędzi i maszyn, dopóki nie wzmocni się własną w tym kierunku wytwórczość. Wówczas dopiero system celi ochronnych, uwzględniający słabsze strony przemysłu, sprzyjać będzie dalszemu jego wzmaganiu. Wprawdzie taka polityka wywoła podrożenie wytworów krajowych, ale wzmocni warsztaty narodowy, zapewniając ceny niskie w przyszłości.

Ta trzecia faza rozwoju trwać musi, póki siła wytwórcza nie przewyższy siły przemysłowej innych narodów. Wówczas trzeba powrócić do zasady wolnego handlu, bo przemysł mocny nie lęka się już konkurencji obcej, a za to otrzymuje taniej obce płody rolnicze i materiały surowe, co mu daje nową siłę.

Pięćdziesiąt tylko lat stosowania podobnej polityki, przy dzielności i pracowitości narodu niemieckiego, pokazało do czego dojść można. Z narodu przeważnie rolniczego, ubogiego i zalewanego produktami przemysłu obcego, Niemcy pod koniec XIX-go stulecia stały się narodem silnym i bogatym — i dziś wyzyskują wszystko, co dokoła nich jest słabszem eko-

nomicznie ¹⁾. Pod niejednym względem prześcignęły nawet swych nauczycieli i skutecznie zalewają produktami swego przemysłu rynki Anglii, Francji a nawet Stanów Zjednoczonych Ameryki, nie mówiąc o tem, że zdobywają kolejno egzotyczne rynki zbytu, dotychczas wyłączny teren operacyjny tamtych.

Zasługą Lista było, że drogę do najszybszego rozwoju potęgi narodu dostrzegł wówczas, gdy jeszcze nie rozumiano jak dziś: co znaczy materya kapitałowa wsparta wielką wiedzą — i gdy nie było jeszcze tak olbrzymich różnic między kapitałem mocnym, a słabym.

Na tle naszej koncepcji, wszystko, czego gorliwie dowodził na mocy wewnętrznego przekonania, i czego współczesne mu umysły nie rozumiały, wydaje się oczywiście, elementarnem i naturalnem.

Zasługą Lista jest jeszcze zwrócenie uwagi na przeciwstawność dwu klas w narodzie: kupców i wytwórców, więc zwrócenie uwagi sfer rządzących, aby rozróżniały wymagania, nie jednako skwapliwie czyniły im zadość. Interesem przemysłowców jest utrudnianie przywozu obcych dzieł przemysłu, więc system ceł ochronnych, interesem kupców zwłaszcza obcych narodowi, jest ułatwianie przywozu.

Wśród przemysłowców hasłem jest korzyść narodowa, choćby w przyszłości, edukacja narodu, wyrabianie potęgi twórczej własnej, wśród kupców hasłem doraźny interes spóżywców, choćby zgubny na przyszłość, właściwie zaś interes osobisty kupca. Tu hasłem patriotyzm, tam hasłem, a właściwie szyldem humanizm kosmopolityczny.

Wytwórca widzi w zagranicznym konkurencie wroga nie tylko osobistego, ale wroga kraju, ale dla kupca kosmopolity obojętnem jest od kogo kupuje. Ponieważ zaś zarabia lepiej na towarze zagranicznym, niż krajowym, więc przekłada

¹⁾ Pisane to było w roku 1912, gdy nikt nie podejrzewał możliwości huraganu wojennego, który rozpętany przez Niemców, zdruzgotał ich potęgę, ponieważ stała się zbyt zachłanną i groźną dla świata. Mięło cztery lata i co za zmiany!
(Przyp. autora).

zagraniczny, hamując rozwój przemysłu swojskiego. Hasłem kupca, zwłaszcza obcego narodowi, jest nabywać towary najtaniej, choćby z końca świata i choćby to zabiło jakąś początkującą gałąź wytwórczości krajowej.

W dzisiejszych więc czasach wszędzie, gdzie stan kupiecki bierze górę, jako doradca sfer rządowych, tam dzieje się narodowi krzywda.

Do hamowania zaś rozwoju narodów ekonomicznie słabych skutecznie się przyczynia prócz klasy kupców importerów, jeszcze bezwiednie klasa robotnicza, żywiotowo dążąca do podwyższenia ceny za pracę swoją. Jest to dążenie zupełnie usprawiedliwione, o ile chodzi o interesy jednostek ludzkich, ale odbija się fatalnie na interesach narodu gdyż w kraju o mocnym przemyśle płaca robotnika mniejszą gra rolę niżeli w kraju słabym.

*
* *
*

Dawniej narody przeważnie rolnicze mogły mężniec powoli, albowiem pracowała na nie siła twórcza samej ziemi, siła życia, zastępowała twórczą siłę ducha. W ten sposób Polska XVII-go stulecia, pomimo bezsilności przemysłowej, nietylko miała co jeść, ale była względnie bogata, gdyż prowadziła dość znaczny handel wywozowy do Anglii, Holandyi, Włoch i innych krajów, kraj więc mógł rosnać w siły i zdobywać materię kapitałową do dalszych inwestycji. Dziś byłoby to niemożliwe, gdyż Polska dlatego sprzedawała swe zboże, bo miała znacznie mniej ludności i przy dawnych sposobach gospodarowania nie starczyłoby zboża nawet na własne potrzeby. Siłę twórczą ziemi musi wesprzeć już nawet na roli potęgą ducha i pieniądź. Zkąd go zaś brać, przy tylu nowych potrzebach rozmnożonego narodu? Ileż energii nowej musi naród wyłonić, aby sprostał zapotrzebowaniu bogactwa, podlegającego zużyciu, potrzebom, rosnącym nakształt kuli śnieżnej, i aby jeszcze mógł odkładać materię kapitałową na powiększanie i wzmacnianie kapitału? Co dziś poradzą nawet tęgie głowy, choćby istniały, gdy niema pieniędzy na założenie

warsztatu **postępowego**, wreszcie, gdy już jutro warsztat wzo-
rowy, zanim się zużyje, okaże się niezdatnym w wyścigu,
bo obcy wymyślą doskonalszy? Osobliwie gdy naród niecier-
pliwi się i radby mieć wszystko, co mają członkowie narodów
potężnych i zasobnych. Przecież już nawet nie można odgrodzić
się, jak dawniej, cłami ochronnymi, aby dojrzewać samo-
dzielnie, bo na to narody mocne nie pozwolą. Dziś o traktaty handlowe wypowiada się wojny

I właśnie z tego powodu zarysowała się nam w roz-
dziale poprzednim iście tragiczna perspektywa dla narodów
słabych. Dość spojrzeć na kolonie egzotyczne, aby poznać,
daleko zaszedł już podbój krajów zapóźnionych. Narody silne
jak rozebrały już między siebie wszystkie ziemie, należące do lu-
dów najsłabszych. Podobną rolę, odgrywają inne narody mocne
i tylko, że w koloniach dość jeszcze ziemi dla dalszej ekspansji
pozostałe narody nie odczuwają jeszcze całej przewagi, któraby
w innych warunkach spadła na nie.

W takich warunkach co mają robić narody zapóźnione,
choć nie pozbawione zdolności do rozwoju zwłaszcza te, które
nie mogą prowadzić własnej polityki gospodarczej?

Jeżeli dziś nawet Państwa wielkie, uchodzące za potężne,
nie mogą się wyzwolić, z pod ekonomicznej przewagi narodów
silnych jakaż perspektywa przed narodami, które z a l e w a o b-
c z y z n a, nie dając zdolnościom krajowym czasu na zmo-
cnienie się.

*

*

*

Zdawałoby się, że niema już ratunku dla narodów zapó-
źnionych, których położenie z każdym dziesiątkiem lat ulega
gwałtownemu pogorszeniu.

W istocie, musiałoby się tu skończyć zagładą miejscowych
cywilizacji, gdyby kapitał był tem, za co go ekonomiści brali.
Ale spuścili oni z uwagi czynnik nieważki, który może nie tylko
złe odrobić, ale nawet klęski obrócić w zwycięstwa, oczywiście,
o ile naród nie jest u kresu sił swoich duchow-
nych i chce istnieć.

Naród wyzyskujący może zadawać drugiemu ciężkie klęski materialne, może także wynaradawiać wiele jednostek, ale jest jeden haracz, który musi spłacać, chce, czy nie chce, narodom zdolnym do rozwoju. Haraczem tym jest jego własna potęga duchowa. Naród który umie pobierać ten haracz, nie jest stracony.

Istnieje ogromna różnica między ludem, pogrążonym w duchowej stagnacji, a narodem już wyrobionym, dzielnym i czynnym. Różnica conajmniej taka, jaka zachodzi między kulą bilardową, zostającą w spoczynku, a kulą, będącą w ruchu. Tam lada pchnięcie nadaje biernej kuli kierunek narzucony, tu zaś kierunek już jest dany, więc, aby ruch wstrzymać, trzeba o wiele większej siły, aby zaś wstecz skierować — jeszcze większej. Ale za to dość niewielkich pchnięć naprzód aby ruch przyspieszyć.

Jest jeszcze jedna pozycja, tępiąca ostrze najazdu mocnych kapitalistów na kraj słaby, mianowicie nieuniknione przyswajanie sobie przez naród obcych elementów czynnych. Rozważmy z czem idą przedstawiciele narodów mocnych na podbój ekonomiczny i przeciw czemu? Dzielny osobnik lokuje się ze swą potęgą w kraju, który zamierza eksploatować. Robi on pieniądze, bo wie, jak się wziąć do tego i nie doznaje przeszkód z powodu otaczającej go bezsilności ekonomicznej. Idzie w pełnym rynsztunku swej potęgi, ale język swój musi zostawić w domu. Z narodem wyzyskiwanym może się komunikować tylko w jego mowie. Chcąc nie chcąc staje się tedy dwujęzycznym. Z tą chwilą jednak wchodzi jako obcy atom do wielkiego zbiorowiska atomów miejscowych, złączonych wspólną więzią języka i tradycji. Jego moc gospodarcza odbiera narodowi wyzyskiwanemu trochę bogactw materialnych, ale nie całkiem darmo, gdyż na tle spóżywania naród zapładnia się pierwiastkami wyższości przybysza, dusza zaś jego, lubo zrazu obca, żywa się jednak częściowo z duszą kraju, jeżeli nie jest barbarzyńskim i jeżeli każe się szanować.

Stąd dzieci przybysza, przygwożdżone majątkiem do narodu, wśród którego wzrosły, zlewają się najczęściej z duszą

kraiu, zaś dusze wnuków wcale już nie czują się obco, boć przecież one całe, jak są, wytworzyły się w środowisku, w którym przyszły na świat. Nie kraj dziadków, ale nowa ojczyzna wytworzyła je, jakimi są, od początku, więc wszystko, co charakteryzuje rozwiniętą duszę krajowca — jest już ich własnością. Tylko krew została obca, dusza jest już w pełni krajową. To nie są już przybysze, ale w dosłownem znaczeniu tego słowa dzieć jednej ojczyzny¹⁾. Kapitał obcy i przymnożony staje się integralną częścią bogactwa narodowego, a to za sprawą ducha narodu.

W ten sposób znaczna część kapitałów, wychodzących na podbój ekonomiczny, przeobraża się w bogactwo krajów podbijanych. Proces przenikania się wzajemnego narodów dokonuje się ciągle, i najsukuteczniej broni narody rozwijające się od gospodarczego wywłaszczenia. Miast osłabiać wzmacnia je i przyspiesza dojrzewanie duchowe.

Szkody wyrządza tylko przyływ obcych towarów, przeznaczonych na zużycie, wszelkie bowiem narzędzia, maszyny, surowce i półsurowce — oraz materya kapitałowa, pożyczana dla wzmocnienia produkcji, przynoszą daleko więcej korzyści, niż straty.

Jeśli teraz zbilansujemy wpływy, rezultat nie okaże się tak rozpaczliwy, ale pod warunkiem, że naród, który chce żyć, stoi twardo przy swym języku i tradycji, pielęgnuje swoją odrębność, a rozwija moc twórczą.

Zwróćmy się na chwilę do stosunków naszych jako do ilustracji tych cech ogólnych.

1) Nie można jednak tego utrzymywać o takich „krajowcach“ którzy stanowią w kraju obcą narodowi kulturalną całość i posługują się obcym językiem. Ci są ekspozyturą tego narodu, którego językiem choćby zepsutym, się posługują, pozatem są zawsze obcem ciałem względem narodu, wśród którego mieszkają.

XXX.

Pro aris et foci certamen¹⁾.

Gdy się powiedzie wzrokiem po naszym przemyśle, po naszym handlu, po naszej gospodarce rolnej, a potem ogarnie się rzutem oka nie nasz przemysł, kwitnący na naszej ziemi, nie nasz handel i nie nasze kapitały i głowy, pracujące u nas ale nie dla nas, mimowoli serce zamiera z trwogi o przyszłość i zawisa u warg pytanie: czem się to dzieje, żeśmy wciąż tak biedni i bezsilni i czy nie zapóźno już na ratunek?

Można bowiem spierać się jeszcze, czy jest z nami źle lub bardzo źle, ale niepodobna ukrywać, że gdyby podobny stan miał potrwać długo, musiałby się zakończyć wydiedziczeniem i rozplynięciem się w obcych dzielniejszych całościach.

Czy nie zapóźno? Pytanie to nabiera tragicznej siły gdy zważymy, jak mało jest głów, któreby grozę sytuacji oceniały, a zwłaszcza gdy zważymy, ilu zalet duszy, jakich wysiłków potrzeba, jakiego hartu i ofiarności ze strony uświadomionych, aby porwać za sobą co nieświadome niebezpieczeństwa i skarłałe w fatalnych warunkach nierównej walki w niewoli.

Przecież dzieło odrodzenia możliwe jest tylko póki naród nie znalazł się u kresu swych sił życiowych, a któż nas zapewni, żeśmy już nie próchnem?

Chełpimy się wprowadzić starodawną kulturą ducha. Nie jesteśmy, ludem, któryby się dopiero wyłaniał z pieluch bytu, ludem, któryby potrzebował swoją cywilizację budować od podstaw.

Nie potrzebujemy wstydzić się swej przeszłości. To pra-

¹⁾ Chociaż cała praca ma charakter ogólny, niepodobna mi zakończyć jej bez zejścia, choćby na chwilę na węższy teren stosunków i potrzeb narodu, którego jestem synem.

wda. Duch nasz chadzał już po wszystkich wyżynach, dostępnych człowiekowi; w mowę naszą oblekały się już najsubtelniejsze abstrakcje, podatna ona do każdej najszczytniejszej pracy. Niema dziedziny ducha, do której nie wnieśliśmy swej dobrej części. Zdolności nasze wcale nie są w zaniku, przeciwnie, wszędzie, gdzie trzeba dużej nawet potęgi i harmonii ducha, energii i lotności, umiemy pracować nie gorzej od innych, mamy już na punkcie uzdolnień opinię nawet wśród obcych ustaloną. Niema zakątka świata, gdzieby nasz duch i wola nie pracowały owocnie, bądź dla siebie, bądź dla obcych, choć najczęściej dla obcych. Ale cóż z tego? Sądzimy, żeśmy przystosowani do bytu społecznego, boć przecież „jesteśmy jeszcze prawdziwymi Europejczykami” i nic ludzkiego nie jest nam obce, ale zapominamy, że siedm dziesiątych narodu tkwi w objęciach głębokiej ciemnoty i bezsilności gospodarczej; zapominamy, że naród nasz w gorszym położeniu od ludów, zwanych „dzikiemi”, bo gdy tamte mają jeszcze co jeść we własnych lasach i szałasach, naszego narodu cały przyrost, i to najzdolniejszy, musi w charakterze surowego materiału rozchodzić się na przepadłe po szerokim świecie, opuszcza zaś ojczyznę z wyrzutem, jak macochę, na łonie której byłoby mu jeszcze gorzej.

Gdy fale emigracji angielskiej stworzyły już potężne i rozległe ojczyzny poza Anglią (np. Amerykę Północną i Australię), bo szły bądź z jednym, bądź z dwoma kapitałami, my nie umiemy utrzymać w swych rękach nawet odwiecznie własnych, a szczupłych dziedzin. Ziemia się nam pali pod stopami, dach gore, po znędzniałych i uszczuplonych naszych ogrodach chadzają swobodnie kozy i wieprze, ale my wciąż tkwimy głowami w chmurach i nie czujemy już nawet żeśmy żywym anachronizmem, wśród ludów dawniej nam równych. Metamorfoza świata dokonała się ponad naszymi głowami, byliśmy przy niej nieobecni i ztąd niedowierzanie nawet: czy rzeczywiście wszystko się zmieniło tak bardzo dla nas na gorsze?

Niestety — tak! Nam się przecież jeszcze zdaje, że prawie wszyscy umiemy pracować, ale to złudzenie, a pły-

nie z niedopatrzenia czem dziś prawdziwa i owocna praca, że wysiłek ciał w niej niczem, a wszystkim już tylko potęgą wiedzy i organizacyi.

Szczycimy się naszą starą i dostojną cywilizacją, uważając ją za jakiś skarb nieprzebrany, zapominamy jednak, że cywilizacja nasza — to my sami. To, co minęło — należy już do historii, to cień i wspomnienie. Cywilizacja musi być ciągle żywa; musi tkwić w nas samych; musi być naszą duszą i naszymi siłami. Zewnątrz nas, jest niczem. — Zresztą zapominamy, że jeszcze nigdy nie była „nasza” cywilizacja cywilizacją całego narodu. Lud miał i ma do dziś swoją, przedhistoryczną i tę trzeba zmocnić, pogłębić i rozwinąć. Nigdy także nie była jeszcze ta nasza „wyższa”, nadludowa, tak znowu świetną, jak się nam z oddali wydaje. Wszystkie złote nici, które nas wiążą z powszechnym nieludzkim postępem mocy i dobra, zawsze były nie liczne i wątłe. Rwały się i rwą do dziś ciągle, bo nas na wyższych piętrach pracy zawsze bywało o wiele zamało. Nasz duch wystrzelał wprawdzie wysoko, ale zawsze zbyt wązkim i wątłym słupem, skutkiem czego niemasz w nim ciągłości. Każde pokolenie zaczyna wszystko po swojemu i niemal od początku. Nasza cywilizacja, ta prawdziwie nasza nie jest jeszcze ani wysoka ani szeroka. Musi być ona nadbudowana; wszystko tu jest dopiero do zrobienia. Baczmyż, aby nam starczyło czasu zanim słabych i wydziedziczanych nie zaleją obce fale!*)

Niejedni z pośród nas chcą usypiać nasze sumienie legendą, żeśmy ofiarami fatalnego położenia geograficznego między Zachodem i Wschodem, że jako kresowcy, musieliśmy od wieków tracić zbyt wiele sił na prostą obronę bytu. Że trudno było rozwijać się bujnie, gdy się zbyt obficie krew wylewało.

Niewątpliwie jest w tem trochę słuszności, ale i to nas ani rozgrzesza, ani pociesza. Nie my bowiem jedni toczyliśmy nieszczęśliwe boje. Żaden z potężnych dziś narodów nie

*) Tekstu tego nie zmieniamy, pomimo zaszytych gruntownych zmian politycznych w naszym bycie.

stąpił po samych różach, przechodziły i one ciężkie chwile. Czemuż ich losy tak różne od naszych? Czemu tylko nasze rany i blizny krwawią tak długo i trzymają w bezsilności? Rzucamy to pytanie nie w formie wyrzutu, lecz w poszukiwaniu diagnozy i ratunku.

Otóż wszystko zdaje się przemawiać za tem, że słabości naszej samiśmy przyczyną, co zaś najważniejsze, że nie jest ona śmiertelna. My rozwijamy się tak świetnie i śpiesznie, jak nigdy. Zdradzamy żywotność, rokującą najlepsze nadzieje. Los twardy jest nam dobrą szkołą, bośmy silniejsi, niż byliśmy kiedykolwiek. Twórczość nasza nigdy jeszcze nie była tak wielką, jak dzisiaj, ani tak wielostronną. Pomimo pozorów upadku stoimy w apogeum dotychczasowych sił naszych ¹⁾. My tworzymy już dużo i dość ekonomicznie, tylko nie umiemy jeszcze oszczędnie używać.

Nie wszyscy rozumiemy, że tajemnica dobrobytu i potęgę gospodarczej nie leży w samej oszczędnej twórczości, ale w większej mierze w oszczędnem używaniu. I tylko dlatego brak nam kapitałów, że nie umiemy jeszcze prostego bogactwa przeobrażać w kapitały. Obcy nam jest zmysł oszczędności jak również organizacyi sił twórczych. Trudno też obrać chować ile corocznie tracimy na tej drodze, ale to pewna, że tylko w tej otchłani toną siły nasze. Trzeba abyśmy wszyscy byli kapitalistami, a dzisiejszy system kredytowy umożliwia to każdemu; tylko dzięki drobnym kapitałom rosną tak gwałtownie siły roztropnych i mocnych sąsiadów. Tworzyć więcej niż zużywać, w tem główny ratunek, poza tem hodować siłę pod wszelką postacią, hartować duszę, tępić zaś szkodliwość społeczną i niedołęstwo. Bronić się anarchii i rozbieżności działań, bo te najsilniejszą całość rozkładają; karmić ojczyznę mocnym czynem i miem.

¹⁾ Cały ten rozdział, pisany przed wojną, zostawiamy w nienaruszonej formie, choć tak dużo się zmieniło u nas i dokoła nas. Przystosowywać go do chwili, choćby przełomowej, w wydaniu niezmienionem nie czujemy się ani w prawie, ani w obowiązku.

(Przyp. autora w grudniu 1918 r.).

Gdy jest wielką i potężną — wolno umierać indywiduom choćby tylko dla jej większej chwały; tak dla ojczyzny swojej świadomie i dumnie ginął pod biegunem z jej słodkim imieniem na ustach kapitan Scott z towarzyszami. Wolno i warto umierać nawet wielkim indywiduom. Ale gdy jest biedną i uciśnioną tego rodzaju ofiary byłyby zbytkiem, a nawet występkiem. Dla takiej trzeba żyć, aby pracować, aby rozwijać swą moc, a przez to jej moc do granic ostatecznych. Tylko nie wolno żyć dla siebie i jak nam dogodniej, — trzeba żyć dla niej, dla całego narodu. Nie wolno, powtarzam, pracować przestarzałą wiedzą przy przestarzałych warsztatach, trzeba zastępować słabe dźwignie dźwigniami ostatecznej doskonałości, bo tylko takie są coś warte w obliczu ostrego spółzawodnictwa.

Nie otaczać się zbytkiem, zwłaszcza obcego pochodzenia, choćbyśmy nawet mieli do tego osobiste prawo, ale po pracy w warsztatach, szkołach i na uniwersytetach, walczyć wśród kurzu fabryk tak zajadłe z obcą konkurencją, jak zajadłe rycerstwo walczyło dawniej wśród dymu krwawych zapasów, bo i to godne wnuków rycerskich, gdy warunki bytu uległy gruntownej zmianie.

Pamiętajmy, że n i k o m u nie zależy na naszym bycie prócz nas samych, więc też znikąd, tylko od siebie samych musimy oczekiwać ratunku.

I nie mówny, żeśmy słabi i ciemni, bo każdy rodzi się słabym i niedołącznym, a jednak może dochodzić do szczytów potęgi.

Hodujmy tylko silnych ludzi, silne głowy i charaktery, — bo w nich moc narodu. Dość wytworzyć, choćby wysiłkami, jedno dzielne pokolenie, — a moc narodu zacznie już rosnać jak lawina, bo takie jest prawo społeczne, że potęga ludzka wprost z niczego wyrasta, wbrew prawom prostej mechaniki. Ona szerzy się jak pożar, tylko nie trawi jak pożar, lecz buduje.

XXXI.

Widoki na przyszłość.

Żyjemy w epoce, jakiej świat nie widział. Gwałtowny rozwój techniki tak przeobraził warunki życia, że trudno się zorientować: dokąd prowadzi. Pesymiści twierdzą, że wytwórczość przemysłowa doszła już do granic niedorzeczności; tak komplikuje potrzeby, że aż utrudnia życie. Żądny tworzenia zysków „przemysł” zalewa nas potopem rzeczy naprawdę nikomu niepotrzebnych, będąc raczej zawadą niż ułatwieniem życia, rzeczy coraz lichszych w swoim rodzaju.

Dlatego sądzą, że cywilizacja, która taką produkcję wywołała, załamała się własnym ciężarem, ciężarem nieszczęść, jakie sprowadza, grzebiąc w gruzach z trudem wznoszony gmach dzieł materialnych. Ponieważ zaś wielu żywi głębokie przekonanie, że cały ten tandetny zbytek i „dyabelski” nadmiar, jest okupywany nędzą, krzywdą i zdziczeniem mas robotniczych, przeto z rozczuleniem wspominają dawne dobre czasy, w których nie było 10-piętrowych domów, niespokojnych telefonów, szalonego zgiełku i ścisku po miastach, zalewu drukowaną bibułą, oślepiających słońc elektrycznych nad byle kramem i t. d. i t. d. Wszystko, co z takim trudem i kosztem rozwoju dusz zdobywamy, nie zwiększyło sumy szczęścia ludzkiego, ani uczyniło ludzi lepszymi. Orgia, która wszystkich wyczerpuje, musi się źle skończyć, przedewszystkiem zaś dla tych, którzy ją wywołali.

Narzekania te czarno nastrojonych umysłów polegają w znacznej mierze na nieporozumieniu.

Więc naprzód nie trzeba wymagać od „postępu” techniki tego, czego on dać nie obiecywał. Tylko w głowach poetów i optymistów może utrzymywać się myśl o jakimś trwałem i powszechnem szczęściu na ziemi. Postęp nie usunie, ani nie zmniejszy cierpień, bo to nieodłączne towarzysze zarówno pro-

stego życia, jak skomplikowanego; on tylko rozszerza skalę uczuć, a więc w obie strony, czyniąc życie psychiczne pełniejszym i głębszym. Zmiana ciągła i coraz większa obfitość odcieni, oto wszystko, co postęp niesie. Tęsknota za dawnymi „lepszymi” czasu, opiera się na prostym złudzeniu perspektywicznym. Zawsze człowiek idealizuje przeszłość, zawsze mniema, że stoi u kresu nowości oraz możliwości, zawsze nieufnie spogląda w przyszłość; zawsze tym, co się starzeją, zdawało się że świat leci, w przepaść, a jednak on trwa — wiecznie młody. Więc zanim się potępi nowe zjawisko, trzeba zrozumieć: w czym ono gorsze od dawnych i nie zamykać oczu na strony dodatnie.

Prawda, że często źle korzystamy z rosnącej potęgi twórczej, że szafujemy jej owocami lekkomyślnie, jak dzieci, którym udało się rozniecić ogień, a nie wiedzą jeszcze, że on uietylko grzeje, ale pali. Fabrykanci i kupcy wymyślają coraz bezmyślniejsze zabawki dla starych dzieci, byle maszyny warczały. Świat potrząsa błazeńskimi dzwoneczkami ale nie dziw, bo większość dusz jeszcze nie dorosła do wyższych rozkoszy. To nie elita zordynarniała, lecz tłum nie może jej sprostać w pochodzie rozwojowym. Jaki chwilowo popyt, taka podaż. Ale wiedza, która to wszystko wywołała, przynosi nie same szkody i błazeństwa. Mądrość, która jej towarzyszy, ukrywa się szczerze nie w swych skromnych świątyniach i pracuje nadal gorliwie, zarówno pod zwiołowem parciem twórczości i głodu poznawania, jak z bezinteresownej miłości ludzi i ideałów, pracuje bezwiednie nad tem, aby wszystkim było lepicj.

To, co nas przeraża lub gorszy, to tylko skutek gwałtownego rozwoju twórczej potęgi, do której nie zdążyły dopasować się masy. Rządy kapitałem spoczywają jeszcze przeważnie w rękach nowożytnych barbarzyńców, cóż więc dziwnego, że dwa światy ludzkie: górny i niski, dzieli szersza niż dawniej przepaść? Że walka o dobra materialne pełna jest nadużyć? Pamiętajmy przecież, że nie z rajy zesłiśmy na ten padoł, że nigdy na świecie krzywd nie brakowało, więc i pod iym względem, nic się tak bardzo na gorsze nie zmieniło.

Kto zdaje sobie sprawę z faktu, że ta huczająca fala praw-

dziwych i tandetnych bogactw, co świat zalewa i wywołuje zgorzsenie, jednak coraz mniej pracy kosztuje, ten będzie ufniej patrzeć w przyszłość. Nie dlatego, aby miał wierzyć, że rychło zjawi się nieziszczalny na ziemi raj, ale dlatego, że nie uwierzy, aby dlatego tylko było o wiele gorzej, że jest inaczej. Nie uwierzy, aby zjawisko, którego bujność przyprawia nas o zawrót głowy, miało być samym tylko zatrutym owocem i zapowiedzią sromotnego upadku.

Jedno jest faktem, że żyjemy w chwili istnego wybuchu potęgi twórczej, oddawna kielkującego, i ten nas zaskoczył nieprzygotowanych. Marnujemy zbyt rozrzutnie nadmiar sił, które geniusz ludzki rozpętał. Ale to jeszcze nie racya, aby tak miało dziać się i nadal, lub też abyśmy mieli łatwo wyczerpać ów źródło, który dziś toczy w sobie dużo mętłów. Przeciwnie, kto patrzy bez uprzedzeń na cały „postęp”, ten zgodzi się, że przyszłość nie zapowiada się ciemna.

Na rozkazy ducha ludzkiego oczekuje tak niewyczerpany ogrom sił przyrody, że jutro już może zaćmić wczorajsze tryumfy. Jeśli potęga techniki będzie wzrastać w podobnem tempie, jak rosła w wieku XIX-ym, to niedalekim jest czas, gdy ludzie z uśmiechem pobłażania przypominać będą sobie tryumfy i zachwyty naszych czasów. Ale choćby nawet prawdopodobne postępy techniki zawiodły, to i bez nich, samo to, czem geniusz ludzki już dziś rozporządza, może przeobrazić świat ludzki w ciągu niewielu lat o wiele gruntowniej, niż to uczyniły trzy ubiegłe pokolenia. Dotychczas bowiem obserwujemy jeszcze ciągle głównie powiększanie samego warsztatu twórczego. Fabryka bogactw materialnych wciąż się jeszcze buduje, pochłaniając na rzecz kapitału to, co mogłoby już służyć szerokim warstwom pod postacią czystego bogactwa. Twórczość buduje kapitały dla przyszłych pokoleń. A przytem większość narodów jeszcze nie stanęła do mocnej produkcji. Gdy ognisk wielkiej twórczości przybędzie, wówczas nadmiar mocy twórczej obróci się z konieczności na produkcję tanich bogactw użytkowych. Dla narodów przodujących w twórczości, będzie to kres gwałtownego bogacenia się, dla pozostałych stanie się

początkiem ery dobrobytu. Wówczas też dopiero rozwój dobrobytu pójdzie po zdrowej linii produkcji, opartej o rynki własne. Dziś z powodu wielkich nierówności narody mocne zatapiały większą część sił twórczych w kosztowne komunikacje wszechświatowe, niezbędne dla eksportu; na siły militarne, przeznaczone do obrony lub do rozszerzania granic, oraz na rozszerzanie sfery wpływów handlowo-przemysłowych. Dziś owe komunikacje służą głównie do powiększania kapitału. Przewożą towary i kupców. Ale z chwilą, gdy rynki obce zadawalniać się zaczną miejscową mocną produkcją, zyskowność produkcji na eksport stanie się mytem. Środki komunikacji zejść też do roli skromniejszej i ogólnie użytecznej. Gorączkowe przebieganie globu wzdłuż i wszerz przez wyżłów handlu i przemysłu ustanie. Dziś poczty i koleje uginają się pod przewagą czysto handlowych depeesz, listów i przesyłek, a ludy pod ciężarem politycznej i ekonomicznej nierównowagi; jedne gorączkowo dławią, bo mogą, inne rozpaczliwie bronią się przed zupełnem zdławieniem. Później i ten ciężar osłabnie skutkiem zmniejszonej zyskowności handlu międzynarodowego. Znikną ludy niezdolne wznieść się do wyżyn samodzielności gospodarczej, a ziemie ich opanują ludy mocne. Produkcya tych ostatnich z konieczności zwróci się ku zaspokajaniu potrzeb własnych. Można też spodziewać się, że wzrost mocy twórczej narodów, zdolnych do rozwoju, odbije się nie tylko całkowitą poprawą ich własnego dobrobytu, ale nawet wzrostem dobrobytu mniej twórczych warstw ludności krajów dziś eksportowych. Utrata bowiem obcych rynków zmusi kapitały do pracy u siebie, rozdział bogactw w narodzie stanie się równiejszy.

Korzyści staną się obustronne, a najbardziej odczują je słabotwórcze sfery narodu. Kto zaś będzie tej nowej fazy twórcą? Znowu tylko potężni duchem, inicjatorowie i osobniki rozległej i gruntownej wiedzy.

Niech więc oba kapitały rosną, bo tylko one mogą rozwiązać kwestyę socyalną ku powszechnemu zadowoleniu. Dopiero przesycenie kapitałem wyzwoli ród ludzki z pogoni za tem, co wydawało się warunkiem

szczęścia i wówczas przyjdzie kolej na rozumną oszczędność w używaniu i na ograniczenie produkcji mnóstwa rzeczy istotnie zbytecznych. Dzięki temu kapitalizm o dzisiejszych formach sam się strawi, bogactwa stanieją, pracowanie zdrożeje, kapitał zaś bez żadnych wywłaszczeń stanie się własnością mas szerokich. Proces ten już się rozpoczął w najbardziej twórczych narodach, a będzie się dalej toczyć z nieuchronną koniecznością. I nic w tem dziwnego. Gdy bowiem sama surowa praca jest zrem, przed którym dopiero moc twórcza stawia wartości (tem większe, im potężniejsza), bo tworzy wprawdzie przez pracę, ale literalnie z niczego i to w progresyji rosnącej wbrew prawom fizycznym i biologicznym, gdy sama przyroda pod parciem geniuszu ludzkiego tem silniej pomaga, im więcej wiedzy i mądrości towarzyszy funkcji, którą nazywamy pracowaniem, to jasnym jest, że przed dzielnym i oszczędnym stoją piękne perspektywy.

Jednak tyleż szkód, co brak mocy i materji, wyrządza zła organizacya sił, które powinny być spletem współdziałań nie zaś przeciwdziałań. Narody przodujące zdołały już zredukować nieuchronne tarcia do możliwego minimum i zbierają tego owoce, u słabych zaś i zacofanych nawet mocna twórczość rozbija się jeszcze o bierność i bezpłodność mas, mądrość o tępą ciemnotę, dobra wola o złą wolę.

Naród pod względem organizacyi sił można też porównać do jednej maszyny lub fabryki. Jeżeli więc zastanowimy się nad pytaniem, czem różni się maszyna wydajna od mało ekonomicznej, zrozumiemy różnice gospodarcze między narodami. W maszynie wydajnej bierna masa została zastąpiona przez konstrukcyę. Gdy w prostej maszynie było jeszcze dużo materji słabo spójnej, a mało energii, później stosunek staje się odwrotny. Zachodzi ekonomizacya materji na rzecz energii. Wszystko zostało tak uporządkowane, aby najmniejszą siłą osiągać największy skutek. Usunięto co było zbyteczne, zostawiono tylko, co niezbędne. Rozłożono najbardziej celowo siły i opory, odrzucono materiały mniej zdadne, przybrano właściwsze, skoncentrowano mechanizm i sprawiono, że

przy mniejszej objętości i wadze daje o wiele więcej żywej energii. Wymiana usług między częściami maszyny została doprowadzona do doskonałości. Usunięto tarcia i bezużyteczne balasty, zmniejszono straty energii i dopięto celu. I w fabryce doskonale urządzonej, mamy szczyt oszczędności w działaniach, osiągnięty przez usunięcie wszystkiego, co by funkcyje całości utrudniało. Masę zastąpiła konstrukcja, materję energia, duch energję i materję.

Ale wszystko to funkcjonuje oszczędnie póty, póki nie wcisną się przeszkody. Jak dobry zegarek zaczyna „źle chodzić”, jeżeli wpadnie do mechanizmu choćby włoszek, tak samo powstaną w fabryce straty i zastój jeżeli zajdzie uszkodzenie jakiejś części lub źle funkcjonowanie któregoś pracownika. Fabryka nieskomplikowana daleko lepiej znosi takie przeszkody, ale też mała z tego pociecha, bo mniej daje korzyści, co zaś ważniejsza, spółzawodnictwo nie pozwala już cofać się do pierwotnych stosunków. Lubo więc w całym „postępie” daje się wyczuwać czająca się w nim rozkładowa potęga bezwładności, dla której pokonywania stają się niezbędne coraz większe wysiłki, lubo redukuje to korzyści, oczekiwane teoretycznie od postępu, niepodobna już wracać do stanu natury.

Koncentracja np. ludności po wielkich miastach jest jednym z warunków bytu społecznego, oszczędza bowiem bezmiaru wysiłków, dawniej niezbędnych; choć więc wymaga coraz doskonalszego dopasowywania się do siebie wszystkich, choć każda siła dzika wywołuje ogromne tarcia, zamęt i redukuje korzyści, nie można wracać do pierwotnych stosunków, lecz raczej zabiegać, aby tarć było coraz mniej.

Jeżeli teraz zważymy, że żywiołów słabouspolecznych i szkodliwych niepodobna ze społeczeństwa usuwać w ten prosty sposób, jak to się dzieje we wzorowej fabryce, to łatwo zrozumiemy, że pozostaje tylko przerabianie ich na dodatnie.

Wygląda to na paradoks jeżeli powiemy, że z postępowaniem zachodzi konieczność coraz większego krępowania swobody jednostek po to, aby wszystkim zapewnić więcej swobody ruchów i dobrobytu, a jednak tak jest. Ludzie muszą rachować się coraz bardziej z cu-

dzym interesem, aby zabezpieczyć sobie poszanowanie własnych interesów.

Gdzie tedy charakter ludu mniej sprzyja składowej organizacji sił, tam, choćby nie brakowało jednostek dzielnych, zawsze będzie dużo zamętu i strat.

O ile też w przyszłość rodu ludzkiego można spoglądać z ufnością o tyle, gdy chodzi o narody, sprawa przedstawia się gorzej. Przyszłość jest tylko przed najzdolniejszymi do życia w coraz skomplikowańszem stłoczeniu, czyli przed obdarzonymi instynktem ładu i karności. Każde też opóźnienie w rozwoju tych zalet działa podwójnie szkodliwie, gdyż wzmacnia pozycję spóźzawodników. To też przed narodami zapóźnionymi, a zdolnymi do rozwoju jedna już tylko alternatywa. Albo wybić się całą siłą pośpiesznie wyrabianej potęgi rozumu i woli, a zarazem zmysłu oszczędności, niezbędnej dla wytworzenia materii kapitałowej, — albo roztopić się w mocniejszych całościach. Trzeciej drogi niema, bo na samoobronę pół-mocą, pół-wysiłkami, pół-dążeniami w dzisiejszym stanie świata ludzkiego — z a p ó ź n o.

K O N I E C.

ERRATA.

Z powodu choroby autora i niedokładności zastępującego go korektora zostały w trzech arkuszach druku (2, 3 i 4) niedopatrzone następujące ważniejsze omyłki drukarskie:

<i>Str.</i>	<i>wiersze</i>	<i>zamiast</i>	<i>ma być</i>
17	1	mechanisci	mechanycyści
20	1	lizycznych	fizycznych
21	8	Jednak	jednak
23	10	albowiem	albowiem
23	16 od dołu	wcale nie mieć jej	nie mieć jej wcale
23	10 od dołu	wcale może	może ona
24	14	cena	ocena
25	2	zastosowanie	zastosowaniu
25	3	biernika	miernika
30	15	substelniejszych	subtelniejszych
31	10 od dołu	potrzebując	potrzebują
34	3	powściągliwosc	powściągliwość
35	11 od dołu	zachowanie się	zachowanie się
35	8 od dołu	podobnie	podobne
36	13	nam	nami
36	18 od dołu	niemi	niem
37	18	jest	która jest
38	10 od dołu	wielkosc	wielkości
44	17 od dołu	ze względu	ze względu
45	11 od dołu	rzeczywiście	rzeczywiście
46	9 " "	zie osobnik	nie osobnik
46	8 " "	łroporządzania	rozporządzania
46	4 i 5 od dołu	caostki	całości
50	1	zostało	zostałyby
53	12 od dołu	niejednakowość	zwiększając niejedna- kowość funkcjonalną
56	2	również (wykreślić)	
58	16	wartości i przedmiotów	wartości przedmiotów
58	17	morale	mortale
59	6 i 7 od dołu	rozumieją	rozumieć
63	12 od dołu	by	był

